

DZIEŁA



WYKŁADY

*JULJUSZ KADEN.
BANDROWSKI*

**MATEUSZ
BIGDA**

*2
masto*

RÓJ

Wybitne dzieła XX w.

- SYGRYDA UNDSET**
Cykl. „Krytyka córki Luwrana”
Przekład Wandy Kragen
- WIANEK, ŻONA, KRZYŻ**
9 zł. 12 zł. 12 zł
- WIOSNA** 8 zł
Przekład W. Kragen
- PANI HJELDE** 7 zł
Przekład M. Kuncewiczowej
- JENNY** 10 zł
Przekład Zbigniewa Grabowskiego
- HARRIET WAAGE** 7 zł
Przekład Stefana Granowskiego
- MACIERZYŃSTWO** 6 zł
Przekład Marii Kuncewiczowej
- GIRAUDOUX: BELLA** 7 zł
Przekład Marii Kuncewiczowej
- PAUL MORAND**
- ŻYJĄCY BUDDA** 7 zł
Przekład Jarosława Iwaszkiewicza
- JOJER**
- PORTRET MŁODEGO ARTYSTY** 9 zł
Przekład Z. Alli
- PAUL MORAND**
- MAGJA CZARNYCH** 7 zł
Przekład Wacława Rypowicza
- OP. ON SINGLAIR**
- NAFTA t. I—II** 18 zł
- KRÓL WĘGIEL** 12 zł
- MOKRA PARADA** 10 zł
- SLUŻBA PANSTWOWA** 11 zł
Przekład Antoniny Sokolles
- TOMASZ MANN**
- CZARODZIEJSKA GÓRA** 36 zł
Przekład J. Kramsztyka
i K. Czaubowskiego
- BUDDENBROOKOWIE t. I—II** 20 zł
Przekład Erny Librowiczowej
- ANDRÉ GIDE: FALSZERZE** 10 zł
Przekład Stanisława Balińskiego
i Jarosława Iwaszkiewicza
- HERMAN HESSE**
- WILK STEPOWY** 8 zł
Przekład Józefa Wittlina
- NARCYZ I ŻŁOTOUSTY** 10 zł
Przekład M. Tarowskiego
- SIDDHARTHA** 7 zł
Przekład Kamilarza Błotczyńskiego
- HEMINGWAY ERVERT**
- POŻEGNANIE Z BRONIA** 12 zł
Przekład Z. Grabowskiego

*Patrz dalszy ciąg
na ostatniej stronie*



Z CYKLU:
CZARNE SKRZYDŁA

MATEUSZ BIGDA

1. GRUNT
2. MASŁO
3. SPIŻARNIA

MATEUSZ BIGDA

M A S Ł O

JULJUSZA KADENA-BANDROWSKIEGO

UKAZAŁY SIĘ:

- Niezgula*, powieść, Lwów 1911, wyczerpane.
Zawody, nowele, wyd. II, Warszawa 1922.
Proch, powieść, wyd. II, Warszawa 1921.
Zbytki, nowele, Kraków 1914, wyczerpane.
Piłsudzczycy, wyd. IV, Warszawa 1932. Nakł. Kadry.
Iskry, Wiedeń 1915.
Bitwa pod Konarami, Wiedeń 1915.
Mogły, wyd. II, Lublin 1916, wyczerpane.
Spotkanie, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane.
Łuk, powieść, Warszawa 1929, wyd. II.
Wyprawa Wileńska, Warszawa 1919, wyczerpane.
Podpułkownik Lis-Kula, wyd. II, Warszawa 1919.
Wianki, Warszawa 1920, wyczerpane.
Wiosna 1920 roku, Warszawa 1921, wyczerpane.
Rubikon, nowele, Warszawa 1921.
Generał Barcz, powieść, Lwów 1930, wyd. II.
Wakacje Moich Dzieci, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane.
Przymierze Serc, nowele, Zamość 1930, wyd. II.
Miasto Mojej Matki, Lwów-Warszawa 1928, wyd. III.
W Cieniu Zapomnianej Olszyny, (Z cyklu: *Miasto Mojej Matki*), Lwów-Warszawa, wyd. II.
Europa Zbiera Siano, Lwów-Warszawa 1927.
Nad Brzegiem Wielkiej Rzeki, Lwów-Warszawa 1928.
Rzymianie Wschodu, Warszawa 1928, nakł. Sekcji Bibliofilów Pol. Uniw. Warsz.
Na Progu, Warszawa 1928, Gł. Księg. Wojsk.
Lenora (Z cyklu: *Czarne Skrzydła*), Lwów-Warszawa, wyd. II.
Tadeusz (Z cyklu: *Czarne Skrzydła*), powieść, Lwów 1929.
Stefan Zeromski, Lwów 1930.
Trzy Wyprawy, Lwów 1930.
Pióro, Miłość i Kobieci, Warszawa 1931.
Za Stołem i na Rynku, Lwów 1932.
Aciaki z I-szej A. Lwów 1932.

W przygotowaniu Mateusz Bigda: *Grunt*
Maso
Spizarnia

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

M A T E U S Z B I G D A

M A S Ł O

Dr. E. Barylski

**Kolekcja
Emila Kornasia**

W A R S Z A W A – 1933

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”



OM KEK

327034

sygn. 313450/II

Biblioteka
DRA MED. EDWARDA BAZYLZUKA

~~13~~ 542.

N^o 1880

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr ⁴⁴/201^{4 OM}.....

Rozdział I.

(Gdy gwiazda lśni).

Kompletny człowiek! Szanowna to figura, taki kompletny człowiek! Czy raczy teraz cierpieć?... Słowa te patetyczne, błazeńskie i nieszczerze pragnął Tadeusz wypowiedzieć głośno, układając zastrzelonego chłopka pod dębczakiem.

Mówienie, — och, mówienie! Nie wypowiedział słów onych, tylko szumiały mu w głowie porywem dojmującej ironji i chyba prawie radości, radości — od której włosy jeżyły się na głowie.

Chłopiek dostał w podstawę czaszki. Chyba bowiem tam właśnie, między karkiem a głową znajduje się podstawa czaszki?!

Nie zdarzyło się jeszcze Tadeuszowi, by kogośkolwiek tulił, czy też układał do snu. Na wojnie nigdy tego nie było. Wiadomo, jak się kładzie ranego, wiadomo też, jak załatwiać umrzyków. Z dziewczynami też nie uznawał Tadeusz nigdy takich rozślmaczonych, ojcowsko-macierzyńskich zabiegów. Dziewczyna jest do brania, do miłości, rozkoszy, czy nawet dla rozpaczy jeśli kto chce, — nie do ceckania.

Tymczasem tu pod drzewem układał tego chłopka swojego nader równo i pieczołowicie. Aby głowa wyżej wypadła, niż nogi! Tak samo, jak gdy w pociągu walizki zakładał do wagonu swemu dyrektorowi, aby siedzenie wypadło w stronę jazdy.

Ułożywszy w tak serdecznym sposobie postać zmarłego, wyszedł młody Mieniewski na szosę. Tu jednak przypomniał sobie znowu, że oczu umrzykowi swemu nie zamknął. Przeskoczył więc rów z powrotem, i z zimną przekorną myślą, — istne urzędowanie, — zamknął chłopowinie powieki. I znowu wy dostał się na szosę.

Szosa, — kupa kamieni przydrożnych, po lewej ręce rów i owo miejsce pod dębczakiem. Dalej, wgłębi, — sosenki za sosenkami, ściele się głucha niepamięć puszczy leśnej, ogromna, bezgraniczna.

Należy dobrze zapamiętać miejsce. Miejsce, godzinę nocną — aby zeznać dokładnie.

Tadeusz wyciągnął z tylnej kieszeni portfel i na własnym bilecie wizytowym zapisał godzinę. Poszedł szosą kawalek, aż natrafił na kamień szosowy z wypisanym kilometrem i setkami metrów. Znow zapisał, potem odliczył ilość kroków uważnie aż do owego miejsca, które nietylko znał już dokładnie, ale, niby małą scenę szopki liturgicznej, miał już chyba na zawsze żywe we wspomnieniu.

Pozegnać się z tem miejscem i działać!

Ruszył naprzód, prowadząc konia za uzdę.

Moje kroki i kroki konia, droga prosta, lasy śniegiem pokryte, wichur pośród tych lasów, zagaj-

ników i krzewów, czas, — omdlały w nieskończonej samotności. Dalekie, jakże dalekie szczekanie psów, jedno światło malutkie czuwające w ciemności, — a potem jeszcze drugie, pewno wieś.

Zeby my tam mogli spać, — rozumiesz, — mówił Tadeusz w półobrocie do konia. — No więc rozumiesz teraz, siwek, kto tu Lachowski, kto tu hrabia, ordynat, — a kto ja?...

Koło Lachowic obskoczyły go psy okrutne, którym odkrzyknął po swojemu: — servus!

Poznały człowieka ordynacji.

Tadeusz zmierzał prosto do samego plenipotentą, pana Wrony, którego widział raz tylko, podczas uczty w sławetnym Grandotelu w Lachowie. Świtało już. Zadymka spadać zaczęła, wielki powiew nocy, siny i wilgotny jął się ścielić po ziemi, odsłaniając świat znany i tak obojętny.

Któraż godzina?

Tadeusz przypomniał sobie matkę, która o tej mniej więcej porze idzie teraz w Krakowie do klasztoru Felicjanek. Pośród zadymionych i uroczystych fotografii rodzinnych wisi też nad jej łóżkiem, — w tłocznych ramach z brązu, — fotografia obu synów, Stanisława i Tadeusza, gdy jeszcze obaj nosili długie włosy.

Otóż to, proszę mamy — pomyślał ironicznie, — właśnie o to chodziło!

Szedł prosto do pałacyku pana plenipotentą Wrony. Znał tę bombonierkową willę z zewnątrz, nigdy tam nie był w środku.

Psy, stróże nocni, krzyki i awantura.

Służba pozapalała wszędzie elektryczność, gospodyni telefonować chce już po policję. Tadeusz mówi fagasowi głównemu, — stul pysk, idjoto i obudź swego pana, — pod ścianami pomyka w pstrych atlasach jakaś stara Francuska z papierowemi papilotami w zwichrzonych kudłach.

Tadeusz wepchnął fagasa w drzwi półotwarte, a sam wlaź do salonu. Salon rokoko, meble złożone, jest też część mahoniowa, jakieś pal-meczki, czy bazyje tantazyjne pod szklanemi kloszami, dużo świętych obrazów z emaljowanem sercem na odkrytej piersi. Na głównej ścianie kilku wąsatych przodków, olejnych, w starej ramie rozartych, jak powidła.

Usiadł tu młody Mieniewski pod ścianą, na pokręconym stołeczku rokokowym i tak siedział, — człowiek kompletny, — w starym honwedzkim kożuszku, w bryczesach wielkiej wojny światowej, w których jeszcze u matki znalazł był okruszynę dawnego, wojennego chleba. Siedział ociekający błotem, strudzony i wielce zamyślony.

Nareszcie wyłonił się z amfilady pokojów pan plenipotent Wrona, w biało czarnej, jedwabnej piżamie, w czerwonych safjanowych pantoflach i w narzuconej na plecy futrzanej bekieszcy.

Tadeusz nie wstał na powitanie gospodarza.

Pan Wrona wychylił z puszystego kołnierza pomarszczone oblicze purchawki, groźnie patrzące mętnemi oczętami.

Tadeusz opowiedział mu zgoła obojętnie cały wypadek. Tak, — strzał celny, w podstawę czaszki.

O której to było godzinie. Określił też możliwie dokładnie miejsce wydarzenia.

Pan Wrona, herbu Sas Młodszy, zastygł w bezruchu i tak trwał w pyjampie, w bekieszy, w czerwonych safjanowych pantoflach, niby posąg wielce osobliwej, lecz srodze obrażonej godności. Posąg ów szurnąwszy parę razy po posadzce, jął wreszcie mówić.

Słowa to były nikłe, szeleszczące tak samo właśnie, jak podszewka pantofla szeleści po podłodze. Że — ordynacja nie odpowiada, nie może „za to” odpowiadać. Odpowiada za broń krótką swej straży leśnej, nigdy za karabinki. — Skąd wzięliście, panowie, karabinki?! — Ordynacja mogła je była mieć ewentualnie, używanie ich jednak, to rzecz zgoła odmienna! — Ordynacja mogłaby pomóc, ewentualnie przy układach. Układać się można z ludźmi zawsze, o wszystko, wszędzie.

— Ale pan, panie Mieniewski, ze swojej strony winienby też przedsięwziąć jakieś kroki. Może przez adwokata, ordynacja służy panu adwokatem, — najlepiej byłoby ułożyć się z rodziną zabitego. Spróbować, ludzie są zawsze ludźmi, — pan nie wie, naturalnie, jak się nazywa ten chłop? Przedewszystkiem zapłacić coś, cokolwiek, na początek, o ile jednak wiadomo wybrał pan pensję naprzód? Nie pamiętam, za ile miesięcy.

Pan plenipotent Wrona zaśmiał się miłosiernie i pobłażliwie, odślaniając za zwiędłemi wargami czelść niebiesko-czarnej gęby.

Tadeusz wstał z rokokowego pufu i bez jednego słowa odpowiedzi chrymnął kawaleryjskim ka-

rabinkiem o posadzkę. Potężny łoskot rozległ się w całej willi, drzwi salonu, jedne, drugie i trzecie otwarły się raptownie. Ukazała się w nich cizba kozuchów straży nocnej, przesiana babskim, nocnym przyodziewkiem kucht, bon i zon.

— Rozumiem pana, przyjacielu, — wołał za Tadeuszem Wrona, — jakże pana rozumiem, młodzieńcze!

Zabić z powodu ordynacji, to już nie to, co erasmowskie wypadki, matematyczne, zimne i nędzna paćkanina z Kostryniami i polityczno-dyplomatyczne wpływy w procesie, czy też dopełniające manewry przy wyborach. Zabić na służbie ordynacji to wypadek patriarchalny, rodzinny, choćby w niewielkiej części zapisany jednak na rachunek ordynata, pana hrabiego Lachowskiego, ojca tej ziemi lachowskiej. A zatem wypadek, kto wie, czy nie szanowny? Tradycyjny?!

Prawda, — musi się odbyć śledztwo. To prawda. I władze muszą zjechać. To prawda. Strony muszą też przybyć i niby także jacyś tacy świadkowie. Musi przecie przyjechać rodzina zabitego. To prawda. To wszystko jeszcze przed istotną rozprawą. Ale jakież to przybywanie tych stron, jakie gadanie władz i jakie śledztwo, gdy wszystko, co tu stoi, — stoi na ordynackiej ziemi, przybywa końmi ordynacji, oddycha wszędzie powietrzem ordynacji?!

Choćby nawet rodzina zastrzelonego chłopca, — zwał się Krasno, — a więc rodzina Krasnów, matka, trzy córki, chłopiec, — jak z wierzby wystrugane, szare toto i karłowate, zaśmierdłe i spłoszone... A te-

raz jedzie bryką dworską. — Panie Święty! — bułankami ordynacji! Wiezie ich stary Ignac w granatowym płaszczu z hrabskimi koronami na okrągłych srebrzystych guzikach. I taka moc jest na tym świecie, że choć tatusia, czyli starego Krasno zastrzelili tam w lasach ordynackich, Ignac, wioząc sieroty z wdową, nie da im słowa dobrego podczas drogi. Taka jest moc na świecie — takie są ludzkie względy.

Próba krzywdy nie znaczy nic.

A cóż znaczy Tadeuszowi owa splakana baba, szara, wyschła, piejąca głosem kury zarzynanej? Tadeusz — żołnierz legji lachowsko-cudzoziemskiej! Zęby swoje już ma i — spełnił obowiązek. Są pokrzywdzeni? Kto nie jest pokrzywdzony? Póki się taki właśnie twardy wieczysty lód nie sformuje w człowieku, — nie jest człowiek człowiekiem.

Ucztę mu szykowali lachowscy legjoniści ze swym rotmistrzem na czele. Ucztę na pożegnanie. Nim tu znów wróci na rozprawę sądową. Tadek nie przyjął ucztę. Człowiek, w którym się już osadził wieczysty lód, nie gada z byle kim, woli się mrozić sam. Odszedł stąd całkiem skromnie, piechotą, tą samą szosą pośród lasów, koło danego miejsca i dębca w pogodny dzień słoneczny.

Próba krzywdy nie znaczy nic... — Oto co myślał Tadeusz po długiej drodze przebytej szosą, rozparty na ławeczce ogrodu zoologicznego w Lachowie. W nędznej odzieży, wypchanej marchwią, którą był kupił dla zwierząt ogrodu, — czuł się ogromnym panem. Ogromny i surowym!

Taki borsuk siedzi tu w klatce i setki innych borsuków latają na swobodzie. Taki lis wacha pręty, a tysiące szczęśliwych lisów bobruje po kurnikach. Człowiek w którym się już sformował lód, wie, że na świecie niema krzywdy i pokrzywdzonych, a tylko jest jedyna różność losu.

Tadeusz dał niedźwiedziowi wszystką marchew i przeświadczony bezczelnie o całkowitym bezpożytku swego dostojnego istnienia, ruszył stąd na stację. Mijał po drodze dawne bastjony, — Lachów bowiem był ongiś fortecą, bronił się wiele razy, przysparzając sławy ojczyźnie. Ciągnęło Tadeusza, by pójść na stare szkarpy i wsadzić bezrobotne paluchy w okratowanie ciemnych kazamat.

Krowy się pasły na dawnych wałach, a pomiędzy flankującymi fosami chłopcy grali w guziki.

Bezrobotny na szkarpach? Poszedł na dworzec.

Na dworzec chodzi się w bezrobotnym stanie, tu się czeka i przesiaduje i wypatruje przed szynami u stalowego brzoza cudzych losów. Tu się krąży w zgrzytaniu białawego piaseczku, którym publiczna troska wysypała kostkę podłogi, tu czyta się rumiane afisze o oszczędności, o superfosfacie, o kwiatkach na piasku, o pożywności piwa, cukru, o dobrodziejstwie ubezpieczeń. Tu ogień wielki płonie na malunku, — a tu ubezpieczony śmieje się poślizgiwie z głupiej pustoty ognia.

Afisze przeczytane.

Należy teraz kupić peronówkę.

Dorobiłem się, — skonstatował Tadeusz, peronówka nie stanowiła już w jego budzecie pozycji tak

bolesnej, jak gdy odjeżdżał z Osady. Z peronówką—
na peron.

Cicha muzyka dzwonek telefonicznych, drobne stukotanie telegraficznego aparatu, wzniosła powaga murowanej „wodokaczki”, kilku chłopów palących papierosy, pośpieszni żydzi z koszami kurcząt, dalej zaś tory a na nich zmiana miejsca, cienkim połyskiem blasku rozpostarta stąd, — aż na koniec świata.

Tadeusz czekał tu jakiejś okazji, okoliczności, trafunku, znajomości. Słońce już zachodziło. Zajechał pociąg. Żadnej, żadnej okazji. Małutki hałas ludzki zagął w stukocie kół. I znowu nic, odgłos dzwonek stacyjnych wtopiony w bezgraniczną dalekość ciemniejących już pól.

Mieniewski powrócił do miasta. Przeszedł się dookoła rynku ciemnymi podsieniami. Popatrzył jeszcze na wieżę ratuszową i na godzinę miejską. Obszedłszy ratusz, jał wędrować bocznymi uliczkami. I tu, już niedaleko rynku, napotkał niespodzianie ów sklepik, który później tak wielką rolę odegrał we wszystkich sprawach Tadeusza. Działo się to przed bramą, w której głębi lśniło kamienne brukowisko.

Dwóch ludzi, obszarpany zdechlak z drugim zdechlakiem, windowali na wóz po położonej desce białe drewniane beczki. Uginali się pod ciężarem ładunku, raz wraz zstępując do rynsztoka, którym spływały brudne wody Lachowa.

Ładowali, potem znów zachodzili do sklepu, gdzie inny człeczyna w białym kitlu liczył i zapisywał skrzętnie. Na perkalowym szyldzie dwuokien-

nego tego interesu odczytał Tadeusz ogromne, farbą czerwoną wyciągnięte litery:

MASŁO.

Zapach szedł z głębi sklepu dość osobliwy, — eteru, spirytusu, mleka, serków, serwatki, jakby szpitala, oraz potu zmieszanego z oborą.

Ładowali już czwartą beczkę w górę na szeroką platformę ku zadom karych koni. Zady owe błyszczały w ciemniejącym zmierzchu miasteczka, niczem pyzate oblicza bliźniaczych bóstw, trwających obok siebie tak zgodnie.

Nie odrazu tutaj zgadali się ci dwaj panowie z Tadeuszem. Najprzód wpychanie beczek na platformę. Odznaczyła się tu zaszczytnie siła Mieniewskiego. Zdechłacy nie mogli ciężkim beczułkom dać rady, jeden miał przetrąconą rękę i kawałek metalu wstawiony zamiast kości, drugi był już raz kiedyś „przerwany w środku”, więc go krew zalewała przy każdym natężeniu.

— Zalewa mnie ta krew wewnętrzna, nikt nie widzi, ale zalewa.

Takie to połamańce mają wytoczyć beczkę na platformę i jeszcze jak, piorunem, duchem, — bo furmana szlag trafia z pośpiechu.

— Prędko, raz dwa, — wołają oba zdechlaki, — ale uważajcie obywatelu, byście nie powalali beczek, bo Anglik nie zje maselka z brudnej beczki!

Obywatelu?! Obywatelu, — było to zawołanie legionowe, z czasów najbardziej krwawego trudu i najdotkliwszego marzenia o Ojczyźnie. Obywatelu, — tak się mówiło na samym brzegu wojny

światowej, gdy nie było jeszcze Ojczyzny tyle, co dziś, — na całe kila dla każdego.

— Anglik wam nie tknie masła z zawałanej beczki!

— Jaki Anglik?

— Beczka ma tak odjechać — skrzeczały zapocone niedołęgi — czyściuteńka, obywatelu. Taka ma być koloru cielistego jak podkolanie czternastoletniej brzany.

Tadeusz ustawivszy nader zręcznie siódmą już beczulkę, zawołał do zdechłaków: — Patrzcie panowie, jak stoją te beczulki. Żeby to Anglik widział, toby mnie chyba teraz z radości gdzieś pocałował!

Wobec tak parlamentarnego obrotu sprawy, uznali wszyscy trzej, że mogą się już sobie przedstawić. No i są trzy nazwiska, — Mieniewski, Chybac i obywatel Tylko.

Wóz odjechał.

Stali tu jeszcze nad rynsztokiem, bo mieli jeszcze prawo do odpoczynku, po tak wydatnym trudzie. Tyle beczek — tak ciężkich. Chmara dzieci żydowskich pobiegła za wozem, w stronę rynku, który siwemi murami mienił się pod ciemniejącem niebem.

Pan Tylko wszedł do sklepu, ręce wycierając o portki, coś tam meldował blondynowi w białym kitlu i poszli we trzech, Chybac, Tylko oraz Mieniewski do Masarni Centralnej.

Masarnia Centralna odznaczała się w Lachowie tem, że trwał tu za szybą główną okazowy salceson o powierzchni wykładanej wszelakim tłuszczkiem i cynadrami wędzonemi i innemi mięsnemi ko-

lorami — w odznakę herbu sławnej rodziny wielkich hrabiów Lachowskich, tutejszych ordynatów.

Obywatel Tylko badał tę sprawę, gdy tylko zoczył ów salceson poraz pierwszy. Okazało się, że gdyby nawet skrajać, — trzebaby krajać na trzy centymetry wgłąb salcesonu, tak głęboko jest za pomocą kostki mięsnej zapuszczony ten herb odznaki w istotę salcesonu.

— Patrzysz i niby śmieszne — wydziwiał przed wystawą pan Tylko. — Tymczasem wcale nie. Pomyśl, jak ci on te różne mięsa musiał wybierać, jak ich tam szukał w świni. I przykrawał, — cholera! Patrząc na to i płacząc, codzień. Bez tej głupoty świętej niema wcale zaszczytu.

Smarkali, czy może nawet płakali wszyscy trzej.

Przy jedzeniu i piwku nie pytano wciąż o nic Tadeusza. Sami opowiadali swe ekspozycje na temat wielkiej spółdzielni Masło. Ich obu wzięto tutaj do agitacji pośród ciemnego chłopstwa, gdy nie wiadano jeszcze, że oni obaj, — to przecież legjonści!

Sprawa jest zasadnicza, ustanowiona w programie powojennym, posiada nawet naczelną swą dewizę: *przez krowę do kobiety*. Innej tu drogi niema. To jest maksyma ideowa całego tego gospodarczego ruchu. Oczywiście jest także inna o wiele praktyczniejsza, aby wszelkim wywozem podtrzymywać nasz bilans. Ale jeżeli o ideał tu chodzi, to właśnie to: — *przez krowę do kobiety*. Możemy też tu dodać: — *przez świnię do szacunku dla matki*, bo pamiętajcie, że na połowie drogi między świnią a matką, — stoi klozet. Świnia żre łajno

ludzkie, z łajnem zjada wąglika. Daje go potem w swem mięsie człowiekowi, co jest dla tego ostatniego śmiertelne. Czyli, aby ta świnia nie żarła łajna, muszą być wychodki, a gdy będą wychodki, nie będzie synek patrzył, jak jego matka rodzona gołem siedzeniem świeci, a znów wtedy matczyzna skromność, ochędóstwo i czystość odbije się na krowie.

Obywatele Tylko i Chybacz aż posmutnieli nagle od ogromu wypowiedzianych tak szczerze prawd. Przez całą drogę stąd aż za cmentarz, do nędznej opuszczonej chałupy, gdzie się Żydy mieszcili, powiadali obywatele Tylko i Chybacz wciąż o mleku i sprawach MASŁA.

O aparatach mifi i ile łajna krowiego jest zawsze w chłopskiem mleku, czasem bywają myszy, lub nawet także szczury. O tłuszczomierzach i całą jakąś legendę o pielęgnacji śmietany; o różnych kierownikach filij, matołach, co nie umieją, dranie, śmietanki po ludzku ochłodzić, — że ci przyjeżdża zawsze o wiele zadaleko zakwaszona. O głupiej sprawie lodu, którego nigdy nie starczy od mrozów do mrozów i o krowach, które się cielą u nas całkiem błędnie, zamiast na jesień, to, cholery, na wiosnę się cielą!

W nędznej chacie huczało od kroków Tylki i Chybacza, którzy uznali, że na cześć gościa należy kwaterę nieco oczyścić. A potem leżeli na podłodze w tej izbie obywatela Tylko, który uznał, że trzeba się sobie przedstawić raz jeszcze z nazwiska, a także z dawnej przynależności wojskowej, gdzie, kto, kiedy w jakim oddziale służył.

Po tej wymianie honorów Tylko uznał, że wy-

pada sporą chwilę odczekać, aby te sprawy zdążyły wpłynąć do służbowej wiadomości rozmówców.

Gdy obywatel Tylko uznał, że chwile przepi-sowe minęły, obrócił się na swym sienniku i podał leżącemu obok Tadeuszowi papierosa. Takie bowiem wymiany nazwisk zawsze okadzone być powinny chociażby jednym tylko papierosem. Gdy dopalali, Tylko przewrócił się ospale na barłogu i rzekł:

— Wynika z tego, żeście to wy, obywatelu zastrzelili ostatnio chłopą w lachowskich lasach.

— Prawdziwie to wynika, — odpowiedział Tadeusz.

— Dobrze, żeście zabili, — rozumiał Tylko. — Rzecz kosztuje, ale wytwarza mores. Złe, że się musiało stać pod flagą ordynacji. A najlepiej, że wogóle żyje w was ciągle jeszcze całe to zabiwanie. Widać, że zdrowie macie i ikra pozostała ta sama. Macie przed sobą przyszłość.

Filozofja takowa za ciężka się widziała Mieniewskiemu. Mało to miał onego lodu w sobie, lodu, — przewyciężenia ludzkiej krzywdy. Przypomniało mu się w tej chwili pod wydartym dachem nędznej izby dawne kazanie na froncie, gdy do nich, legionistów, przyjechał biskup i w pięknym lesie sosnowym, za frontem, podczas cudnego dnia rozpoczął swe kazanie od słów wzniosłych: — w krwi twojej żyw!

Nie w żadnej krwi, — dopowiedział sobie Tadeusz na szeleszczącym barłogu obywatela Tylki, — żyw w maśle!...

Już dnia trzeciego stało się dzięki sprytniej zręczności długich rąk Tadeusza, że go wzięto (pan Wolański, szef filji lachowskiej) od mycia lokalu, czy też kotła, czy też wirówek, czy wygniatacza maślanego. — To wszystko myte i czyszczone być musi, — powiedz sobie Mieniewski krótko, — czyszczone musi być, jak karabin.

Ale wzięto młodego Mieniewskiego już do samego masła, do układania i wycinania wdzięcznej rozetki z pergaminowego papieru w pięknych bukowych beczkach na równym łonie masła.

Taką miał zręczność, że powycinał rozetki, jakby wyszedł ze szkoły jakichś sercanek nabożnych, — a tymczasem, — pytał przechodem Chybacz, — ile masz, draniu, dziwek na sumieniu?

Taką miał zręczność, że gdy na wygniataczu wielkim, niby balja hotelowa, — przerabiał, miazdzył, oraz solił masło — solenie zawsze bywało równomierne, gdzie spróbować ten sam zawsze zostaje smak.

Widzisz! masz wciąż jeszcze swój dryg, z ikry to masz. Taka zręczność idzie z przyrodzonej srogości, — mówili razem Tylko z kolegą swym Chybaczem, gdy znowu rozmawiali „o życiu” w żydowskiej chałupie, gdzie Tylko miał kwaterę. — Chirurg też, dlatego ma dryg w rękach, że ma z krwią do czynienia i właśnie — z ludzką!

Oni obaj, Chybacz i Tylko nie mieli już tak czujnej władzy w rękach, ani też tego smaku łajdakięgo, jakim zasłynął Tadek. I dlatego los mieli marny.

Czegóż tu nie robili? Zaganiali adwokatom



klientów, śpiąc w hoteliku, w norze strasznej, na pryczach wstrętnych, którą to norę ustanowił pewien adwokat dla chłopów, przyjeżdżających tutaj na działówki, to jest sprawy sądowe o swe rodzinne, czy też spadkowe działy. I z książkami jeździli po wsiach, e— żebyś to widział, bracie, — z książkami tutejszego księgarza. Kultura, drogi obywatelu!

Chodzili długo po wsiach z pastą do tępienia szczurów, z polecenia starostwa, z papierem województwa. Konieczność gospodarska!

Kultura — i konieczność. Pismo chcieli zakładać — i założymy jeszcze pismo! Propaganda. Kultura i konieczność i propaganda.

— Biję w mordę za wymówienie przy mnie słowa propaganda. Ale, niema co mówić, — najlepsza rzecz jest pismo, — ogłoszenia. I zamiatali miasto. I spluwaczki czyścili, oraz wychodki w przeznaczonym banku ubezpieczeń. — Różnicy wam nie robi, — powiada pan dyrektor. Potem niedźwiedzia wieźli z drugiego końca Polski z polecenia zarządu miasta. Ale cóż, bydlak zdechtł — i nic nie zarobili. Różne, różne imprezy. A dlaczego? Bo już nie mieli ikry. Ze sztukowaną ręką, albo też wewnątrz dwukrotnie oberwany, — już nie ugryziesz, bracie! Teraz są na wylocie też, z spółdzielni MASŁO u twarдых ludzi Bigdy. Wszędzie są na wylocie, to też wstydzić się muszą swej wojackiej przeszłości.

— Teraz tu wszędzie widzisz obywatelu, okrzepłych ludzi Bigdy, a sam Bigda co też zamierza? Mieć wolną rękę, mieć wszędzie czyste pole!

Radzili więc Tadeuszowi przycaić się i służyć.

Wejść tu, wejść tam i wszędzie. Chybaż i Tylko dadzą mu wszędzie pomoc. Dobre słowo i konspirację. I jeszcze nawet rodzinę po tym zabitym chłopie może jako obrobią, żeby znów nie świadczyła na sprawie zanadto przeciw tobie?

Dobre słowo i konspiracja. A nie oni, to inni: mało to jest tych ludzi dzielnych, dzielnych, lecz uciśnionych?!

— Na świecie są wogóle ludzie zawsze dwojacy: ludzie przelanej krwi, albo przelanej wody. Woda zmyje wcześniej, czy później każdą przelaną krew. Dlatego Bigda spławi nas ostatecznie.

Tadeusza uznali zgodnie za człowieka zdrowego, człowieka przelewanej krwi. Okazało się bowiem, że takie ma talenty, nie tylko rąk, ogromnie zgrabnych, lecz tak czujnego smaku. Talent smaku zaskoczył tutaj wszystkich, a oni przecież żyli tu głównie z rozumu własnej śliny.

Inni, kursa mleczarskie kończyli nawet, aby się wznieść na te poziomy. A Mieniewski miał w gębie, jakoby klucz! Może dzięki wstawionym zębom? Czy jak? Czy już go matka na świat tak urodziła?

Miał taki smak i taki węch i taką czujność nieomylną, że pan Wolański i panie pomocnice małej centrali MASŁO dębiały żywcem przy wszystkich nowych próbach.

Masło musi mieć sto warunków, aby mogło smakować. Smakować tutaj, w kraju nie wielka jeszcze sztuka, ale smakować na szerokim świecie?!

Gdy wychodzą do walki Duńczycy (tam ci mój bracie, krowa, jak, bez obrazy, u nas zalicza się matrona), Duńczycy, Estończycy, Holendrzy, albo

jeszcze Szwajcarzy, — u których krowy na hale ślipingami se jada! Zagranicą! Gdy za twojem masełkiem ojczystem nic przemówić nie zdoła, ani twe bohaterstwo, ani ta krówka czuła z ogonem załaj-nionym. Twoje ojczyste masło, — nagie w obliczu świata!

Ma je wziąć Francuz na język, albo Anglik, ma je sobie dla własnej przyjemności rano w Hyde Par-ku, czy tam gdzie w Picadilly puścić przez nos i ma odczuć przyjemność z tego. A tymczasem tutaj w ojczyźnie nie rozróżniłeś dobrze i masełko zaczęło smaczek oleju i jakąś skisłość rodzimą, albo spleśniałość, może zbyt tradycyjną, lub smak obo-rowy, czyli gówienko krowie zaleciało od masła, albo smak fermentacji?!

A tu różne składniki jeszcze, tłuszcz, sernik, lub maślanka, popioły, czyli związki nieorganiczne, a tu jeszcze produkty rozkładu cukru mlekowego!

— Żeby umieć tak wachać, to się trzeba urodzić na to, — wołał z zachwytem Tylko.

Tadeusz — już od pierwszego razu: — gdy mu dali na głębokim wydrążonym świdrze metalowym wyciągnięte z małej beczulki masełko jedno, jak sobie nosem delikatnie przeciągnął nad bieluskiem pasemkiem takowego masełka i o milimetr od powierzchni nigdzie swym olim nosem nie zawadził... Jak później drobną łyżką kościaną dziabnął w masełko, zmarszczył je delikatnym naciskiem, ono zaś maciupkami kropelkami serwatki spociło się i pod naciskiem zapłakało, — ma mieć w sobie szesnaś iz procent wody, za nic na świecie więcej... Jak potem taki zuchelek, czyli grudkę masełka wziął Tadeusz

do ust, wargami sobie ostrożnie położył na języku, odczekał aż się brajka nieco rozpuści i spłynie pierwszą cieczą na jakies pierwsze smakowe gruczołki, a znów następującą cieczą na jakies drugie, głębsze smakowe gruczołeczki...

A znów potem, skoro się już maselko rozciekło po całej jamie ustnej, gdy je Tadeusz pogonił znów językiem, o podniebienie roztarł i przez nos puścił, że różnolitym zapachem rozwiało się po całym wnętrzu, jak się rozlega głos struny po całym pudle skrzypiec, — rzekł wszystko odrazu. Czem zalatuje, jaka kwaśność i czy pasteryzowane i czy nie zatracą orzechem i wszystko, wszystko, — wszystko!

Próbowali tak Mieniewskiego przez kilka dni. Starzy sortjerzy, — wedle słów pana Wolańskiego, — płakaliby nad takim talentem.

— Znalazłeś pan, — wołał z zachwytem pan Wolański, — znalazłeś pan tu u nas nie chleb, lecz masło swojej egzystencji! I będziesz pan należał do sortjerów natchnionych Rozumiesz pan? Natchnionych!!

Natchnienie owo polegało u Tadeusza na zapamiętałości w robocie. A znów zapamiętałość wywodziła się z tyłu doświadczeń, z tak rozmaitych nieszczęść! Ileż razy wśród długich rzędów bezułek zdawało się Tadeuszowi, że już skończone wszystko w jego zabawnem i tak hecownem życiu?!

Pozostaje jedynie lepka, macierzyńska woń masła!

W tę woń spływało wszystko, — matka ze srebrną tacą śniadaniową i walizki tego jakiegoś Kostrynia starym łachmanem Dusia okrywane na peronie

Osady Górniczej i znów rozprawa, trzej znudzeni sędziowie drzemiący nad aktami...

Najlepiej było myśleć właśnie o wszystkim innym, smak tworzył się zaś wówczas sam, już po za wszystkim, spokojny, idealny, tak nieomylny, że aż nakoniec zupełnie obojętny.

Krocząc od faski do faski i od beczki do beczki, krocząc z kościaną łyżką w rękę, oraz z drażonym świdrem metalowym, wyobrażał sobie Tadeusz — wszystko przeszłe i możliwe, niemożliwe, szalone, zwykle, głupie.

Wyobrażał tak sobie wszystko wcale zręcznie i zgrabnie i nieraz nawet w bardzo harmonijnym związku, aż nakoniec wszystko to zbiegało, jak po dróżce, czy też tasiemce białej, czy też po takim właśnie pasemku maślanego tłuszczu, nad pewną szosę znaną, pod pewien dębczak zaśnieżony, tak, zaraz tuż za rowem...

Zaraz za końcem metalowego świdra, zaraz za połyskliwą smugą masła widać znów tego chłopka burego, jak jęczy panie, panie, — i jak spływa pocziwie w mlecznym, ach, macierzyńskim smaku przez gardło, rozciera się po wargach, wypełnia usta, spływa i jest wypluty wreszcie do spółdzielczej spluwaczki.

W takim stanie dość osobliwej równowagi, ale zarazem wzdęcia, — pierwsze już bowiem prace sortjera maślanego odbiły się boleśnie na żołądku, — dostąpił Tadeusz Mieniewski, jako marny praktykant, bez studjów, — ogromnego zaszczytu.

Pan Wolański przedstawił młodego adepta samemu panu posłowi Deptule, który przyjechał tu na

ważne polityczne zebrania, odbywał wiec poselski, gromił Odrodzeńców, a potem jeszcze, — jak mówili wtajemniczeni, odbywał szereg konferencyj z potentatami ordynacji i nawet pono z plenipotentem Wroną.

Tadek z Deptułą porozmawiali sobie w tymże samym, jedynym zresztą hotelu Lachowa, to jest w Grandzie. Na dole, oczywiście, w tak zwanym gabinecie, którego niskie okna wychodzą na podwórze.

Za podwórzem małym i starsznie brudnym ciągnie się plac rozległy, skąd wyjeżdżają autobusy do sąsiednich miasteczek. Szum autobusów, zapach benzyny i warczenie motorów, — to przecie Europa, tutaj w tej dziurze zapomnianej — wielkie światy, nieomal kronika Paramounta, dźwiękowiec bezprzestrzenny, zarazem niebotyczny!

Deptuła sprawę postawił jasno, już zaraz przy ogórkach.

— Tylko niech będą jeszcze raz takie same, pani b dziejko, tak samo małosolne. Pan jako sortjer, panie Mieniewski, winienes jeść możliwie jaknajwięcej kwasów, ogórki, wiśnie, jabłka, dobrze też przy tem palić.

— Otóż, panie Mieniewski, może być tak, lub owak. Rodzina zabitego Krasny, znana jest dobrze w stronnictwie Bigdy. Jak się wdowie co da i może jako sieroty zaopatrzy, to nie będą tak znowu ściśle dochodzili. Zależy także, co za człowiek był Krasno? Teraz już Krasny niema, rzecz wiadoma, tak, ale jednak był. Więc tu ludzie zaświadczą. A znow świadczenie ludzkie zależne jest od ludzi... Ordynacja bronić się będzie sama, oczywiście. Tam

wysuwa się już argument, żeście nie mieli pozwolenia na inną broń, prócz krótkiej. Będziesz pan jeszcze i z tego paragrafu odpowiadał. Jesteś pan rezerwistą, który nadużył prawa noszenia broni. Jak się będzie broniła ordynacja? To znów zależne jest od ustawienia okoliczności. Jak my będziemy z ordynacją? Jak oni będą z nami? Są to już niemal sprawy polityczne. Patrz pan kochany, najdroższy mój Tadziku, jaka ta polityka wszędzie jest umęczona? Pańska wolność zależna jest od tego — kto był Krasno co o nim wiedzą i powiedzą najbliżsi przyjaciele i krewni, zależna jest od adwokata, a także od obrotu rozgrywek politycznych.

Za dużo było smaku w tej komedji! Smak nie maślany, ale żywego mięsa. Spożywali zaś teraz właśnie kawior, — poseł Deptuła w chwilach istotnej pracy politycznej musiał jeść rzeczy bardzo esencjonalne, ach, bez względu na koszt, jakie tam koszty, gdy idzie o kraj cały?!

Pod oknem tał się hałas motorów, za ścianą graли taperzy znane tanço, — na ścianie pod naddartą tapetą wisiał oleodruk jeszcze z rosyjskich czasów, wobrażający czteronietrowy dom Towarzystwa Ubezpieczeń w Petersburgu. Dom pokryty był śniegiem, sanki jeździły po ulicach, po trotuarach chodziły strojne panie, ubrane, jak Tadeusz pamiętał matkę z pierwszych czasów dzieciństwa.

— No, doskonale, — mówił młody Mieniewski do Deptuły. — rozumiem doskonale, wy sobie będziecie rozgrywali z ordynacją i z ordynatem, jeszcze wam jedna sprawa przybywa do rozgrywek, a ja się przydam na zakładnika przeciwko ordynacji i prze-

ciw socjalistom i może nawet przeciwko memu ojcu. No więc kupuje mnie pan za zabitego chłopka —

Tu stała się rzecz dziwna! Deptuła w najszczer-
szem oburzeniu roztkliwił się nad Tadeuszem. Zapła-
kał prawie nad cynizmem powojennego życia, nad
cynizmem młodzieży.

— Daj pan spokój, panie Deptuła, — wściekał
się już Tadeusz, — kręci pan i zagania, robisz pan
sobie większość, — żadna większość nie hańbi —

Deptuła wyrzwał potężną pięścią w stół, aż
dwie butelki piwa zleciały na podłogę. Zakazał Mie-
niewskiemu mówić tak zuchwale, cynicznie, — bez
szczypty idealizmu w piersi.

— W nic nie wierzycie, — krzyczał oburzony, —
wszystkoscie podeptali, z warg wam nie schodzi żar-
gon waszego cynizmu! A przecież człowiek winien
myśleć i trochę, choćby trochę przewidywać. Mater-
ja, — huczał Deptuła, wodząc lśnjącem czołem
pomiędzy butelkami, — zemści się zawsze na
materjaliście. Ale humanizm, dranie, przez was po-
kopany, nigdy nie zginie.

Była to chwila dla Tadeusza wstrętna, — tkwił
teraz nad nim pysk Deptuły, — pod wydętem, tak
białym czołem sine olbrzymie wargi.

W polityce, jak w polityce, natomiast gdy o mło-
dzież chodzi, on, Deptuła, długoletni wychowawca
młodzieży... — Objąwszy Tadeusza przez pól, lejąc
prawdziwe łzy, zionąc z gęby kawiozem, wódką, pi-
wem, — wypowiedział nad złocistą oliwą po sardyn-
kach całą Odę do Młodości Mickiewicza.

— Słuchaj tych wierszy, gamoni, — wołał do
Mieniewskiego. — I wierz, albo mi nie wierz. Szczyp-

ta idealizmu, pięta Achillesowa każdego polityka, szczypta idealizmu musi się miotać w piersi Deptuły. Ja cię znam, ja cię wiem! Tacy, jak ty z pod moich skrzydeł, z siódmej, czy ósmej klasy wyfruwali na wojnę. A kto ich przygotował do tego? Do powstania? Legjonów?! Takie właśnie Deptuły! Teraz wraca sobie młokos do życia normalnego i jakim to żargonem gada do profesora? Myślisz, że — Bigda i polityka, Ciarachy, Kosy, Dolańscy, czy biskupy Bokaniewiczze, czy tam Lachowski, czyli też przemysłowcy jak Strzęgorz, to już straszny kompromis?! Owszem, trzeba się rozgaleziac. I musi tu być wszędzie rozumna zabudowa własnego stanowiska. Ale gdy ktoś podejdzie do Deptuły z sercem, — z świeżością? Z humanizmem? Gdy ktoś podejdzie od strony romantyzmu?! Ma całego Deptułę, — jak na dłoni.

Gęba mu drżała. Czarne żyły wiązały się na skroniach, głos basowy wrzał w gardle dziką pasją szczerości.

— Wszyscy mają Deptułę za machera, za drania i cwaniaka! A tymczasem, — płakał rzewnymi łzami, — ten Deptuła to dziecko!...

O, była to uciecha, chyba że już największa: — Deptuła gardził przecież tem pokoleniem krwawej szczeniakerji. Teraz korzył się, wył i ślinił, — w nadziei, że zdoła wkońcu tego durnia oszukać.

Oszukał!

Tadeusz wzruszył się niepomiernie.

— Rzuć pan to wszystko, — nasunął się na postła Deptułę — i wróć pan do swojego powołania. Wracaj pan do młodzieży, jak ja sobie powróciłem do

masła. A tak, rozumie się, — pokora całkowitej prostoty.

Sama myśl o gimnazjum, jeszcze w małym miasteczku przyprawiała Deptułę o mdłości. Ryczał więc teraz, płakał i zwierzał się z tęsknoty i rzekomo pogardzał sobą przed tym głupim Mieniewskim, — niby to zakłamany i nawrócony grzesznik...

— Humanizm, mój ty najdroższy Tadeuszu, humanizm i romantyzm! Możesz mieć gdzieś w naszej Spółdzielni Bigdę, ja też mam gdzieś, — wolno nam raz być ludźmi i stać nas na ten zbytek!

Potem pili, potem mówili sobie rzeczy ostateczne a potem się spierali szlachetnie o śmierć biednego Krasny, którą Tadeusz na siebie brał, — posiedzę psia krew, chociażby lat dziesięć, — Deptuła zaś odradzał i całą sprawę wyroku brał ochotnie na małe, ściśle polityczne krosienka. Spieszyli się do nocy w huku odjeżdżających autobusów, wypili nawet ze sobą bruderszaft, gdy nagle zajechało prześliczne auto pana Wrony.

— Do widzenia w Warszawie! — uśmiechnął się Deptuła, wsiadając do auta tak jakoś dramatycznie, jakby się kładł do trumny.

W kilka dni później już był Tadeusz w Warszawie.

Czy jest się czem pochwalić temu miastu? Niema.

Zaczął znów od roboty najprostszej, od pobijania bukowych beczek. Potem zabłysnął znowu pergaminową rozetką, prześlicznie układaną z fałdów i zmarszczek pergaminu na masle. Potem odznaczył się czułością ręki przy maszynie, formiarce zagranicznej w głębiach białej, kaflowej halli zlewanej ciągle wodą.

Czucie trzeba było mieć do tej maszyny nie byle jakie, gdyż jedna część formiarki, przesuująca kichę maślaną pracuje prędzej, a druga, która małąską ósemeczkę masła w papier zwija, — pracuje znacznie wolniej. A więc rzecz cała dość trudna do wyczucia — jak to określił jeden z praktykantów, — bo to jakby w człowieku zadek pracował znacznie prędzej od gęby.

Mieszkanie znalazł sobie młody Mieniewski w szarym kompleksie domów między Hożą i Wspólną. Przy rodzinie, naturalnie z nader skomplikowaną drogą do klozetu, przez jadalnię niechętnych gospodarzy. Droga owa potrzebna była wielce, gdy znów z prowincji nawaliły dziesiątki tysięcy kilogramów, które badać wypadało teraz, już bez względu na żołądki sortjerów.

Odnaczył się tu Tadeusz, wzbudzając podziw maślanym inżynierów. Nie mogli dociec skąd mu się bierze takie znawstwo. Tymczasem zaś rzecz była prosta, Chybaż i Tylko umieli ją określić odrazu: — znawstwo bierze się z ikry życiowej.

Tutaj w piwnicach pośród beczek bukowych, których wnętrza błyszcząły cielistym łonem masła, przedstawiony został Mieniewski wraz z kilkoma innymi inżynierami maślanymi panu posłowi i prezesowi Bigdzie.

Scena wypadła dość osobliwie, gdy się zważy okoliczności sortjerskiej pracy. Beczek bukowych stało tu dziś w piwnicy kilkaset. Od obu końców hali szły ekipy, po trzech sortjerów w białych kitlach z białymi kościanymi tyżeczkami. Przed sortjerami

wożny z metalowym świderkiem do sondowania beczek.

Maślany inżynierek nakłuwa beczkę, pociąga nosem wzdłuż drążkowego świdra, próbuje, żuje, — pluje białym strumieniem do ogromnej spluwaczki i klozetowym papierem obciera skrzętnie usta. Za pierwszym inżynierem robi to samo drugi, — trzeci.

W takiej to chwili wielkiego tempa pracy ukazał się w drzwiach betonowej piwnicy poseł Bigda, prezes Spółdzielni MASŁO, która gdyby pod jego łaskę w porę nie odpłynęła, — idealiści powołali ją wprawdzie do życia, ale im zaraz podczas pierwszych obrotów większych zabrakło pieniędzy, — byłaby już zginęła dawno i bezsławnie.

— Cóż-to robicie tutaj, — zawołał Bigda swem płaskim słowem w drzwiach. — Pocóż to takie plucie uprawiacie?

Za panem posłem Bigdą postępował szanowny sztab, najważniejsze postacie Rady Nadzorczej, oraz dyrektorowie. Przeodziali się wszyscy fachowo w mleczarskie kitle, jeden tylko Bigda pozostał w grubym paltocie.

— Trzeba próbować „ustnie“, bo chemicznie, na smak, nie da się masła zbadać. A polykać nie można, gdyż od takiej ilości popękaliby ludzie przy sorterskiej pracy.

— No, to plujcie panowie, — uśmiechnął się łaskawie Bigda do dyrektora dającego objaśnienia.

Poseł Bigda trwał w drzwiach i patrzył, jak ich skręca, jak się zwijają, jak się im gęby krzywιά, jak z nich strzyka i strzyka białawym sosem masła.

— Na to jest inteligent, — do delikatnej pracy. No, więc ma delikatną. Czyli, — w sam raz dla siebie.

Patrzył na nich, jak teraz już na wszystko, nieprzeniknioną obojętnością. Musiał tak wszędzie postępować. Musiał i chciał, przed przesileniem, gdy już ze wszystkich stron garnęli się do niego ludzie podstępni, niepewni, a tak chciwi.

Trudziła się w prezesie Bigdzie miara czasu, ponad wszelkie pojęcie. Ale go nie zmyliła ani jednego razu. Nie zmyliła go też w sprawie Spółdzielni MASŁO. Nigdy nie miał wielkiego serca do swych organizacji gospodarczych. Wolał, po prawdzie mówiąc, — politykę, — w której się ludzi rozgniata z mocą i na proch, jak kamienie.

Ekonomiczne jednak sprawy i już zewsząd wgadane bardzo, i wszystkim takie pilne, świadczyły o rozumie, przewidywaniu. Nie mógł dozwoląć Bigda, aby w ekonomicznych środkach grzebała cudza ręka. Ręka musi być wszędzie swoja. Tymczasem widział, że się już coś zachwiało w Radzie Nadzorczej MASŁA. Przeciekało tam gwałtowniej — z polityki. Czy ludzie Stachowskiego bruździli, czy nawet biskup z Katolickiej Współpracy?

Na brużdzenie Bigda pozwolić nie mógł, gdyż dawać chłopom pieniądze za mleko, — to głosy chłopskie przy sobie zachowywać. A znów płacić za mleko i filje zaprowadzać i filjom dopomagać, — trzeba dokładnie wiedzieć, którym?

Wiedział, chociażby tu, w MASLE o fanatykach mleka, eksportu jajek, sera, którzy się darli z wszystkich sił do roboty. Ale fanatyk ma tę

wadę, że wierny. Niema z nim żadnej gry. Poseł Bigda miał słabość do gry cichej, ponurej, a niewiernej. Dawał kredyty draniom. Wówczas uczciwi w krzyk. Patrzył, jak się to żarło i skrzętnie czuwał, — zgóry. Zawsze się wkońcu jedni przeciwko drugim wygadali i zaszkodzili sobie i znów miał wolną rękę.

Patrzał teraz z pod ospałej, rzekłbyś kamiennej, powieki, jak mlamlali przezutem masłem, jak z nich dryzdało białawą sikwą do spluwaczek — i śmiał się w duchu. Odpoczywał. Gdyż wypoczywa człowiek wśród fanatyzmu bliźnich. A cóż dopiero, gdy rzecz właściwa nie tkwi bynajmniej w mleku, ani w dokładnej pracy, lecz na innym terenie, osłył

Chodziło tu nie o kredyty nawet, ani lajdackie certyfikaty wywozowe, a o sprawę ministerstwa Rolnictwa z ministerstwem Przemysłu i Handlu. Walka szła pomiędzy złodziejami i fanatykami (handel — rolnictwo) o standaryzację wywozu. Fanatycy pragnęli zaostżenia przepisów wywozowych. Handel, — z namowy wszystkich prywatnych kupców, — nie chciał standaryzacji. I piszczał, straszyl ciągle: — bilans nie wytrzyma standaryzacji. Ale tu nie chodziło o bilans, lecz ile kto zarobił!

Poseł Bigda nie miał jeszcze decyzji dla tych kwestyj. Bo przecież jeszcze i interesy miasta, stolicy, wchodziły do rozgrywki. Unormowanie handlu mlekiem po miastach.

Przesunął sobie Bigda w głowie obecny Zarząd Miasta i wzruszył ramionami: — ojcowie miasta

żeby mieli mieszkańcom wapno dawać do picia, nie pójdą na licencję.

Tak to tak! Ale znowu głównymi dostawcami nabiątu do stolicy nie byli ludzie Bigdy, lecz drobna chłopska własność Odrodzeńców i wielka własność z obozu Stachowskiego. Już czas dać im po portkach! Ba, może jeszcze nie czas?...

Holoty nigdy nie dość: Bigda przyszedł tu wierne z powodów miary czasu i że pragnął zlustrować spółdzielnię i że pragnął utwierdzić się już w jakimś tam przekonaniu. Ale przyszedł tu również, aby przysporzyć robocie tutejszej wtajemniczonego odpowiedzialnie człeka. Myślał o tym Mieniewskim młodym, wypędku i żołnierzu niby jakimś, o którym wspominał po bytności w Lachowie pan Deptuła.

Deptuła na te rzeczy jest — jak nikt! Trzymać takiego kielbia, takiego Mieniewskiego za kark i mieć — swojego powiernika.

Bigda ziewnął rozgłośnie. Czynił to podczas publicznych okazji zawsze, aby doświadczyć ludzi. Tresurę mieli tutaj widocznie dobrą, nie można nic powiedzieć. Ziewnął, a oni nic, starają się i plują, i podcierają sobie gęby klozetowym papierem.

Na ten widok, Bigda roześmiał się donośnie. Śmiechu pana prezesa nie zdołał wcale zagłuszyć warkot maszyn napędowych, zalatujący zgóry.

No, to macie panowie dość dziwny chleb, — mówił płaskimi słowy Bigda. — Inny fachman zarabia, gdy wsuwa, gdy przysparza sobie, zagarnia, czy tam jak, a wy żyjecie z tego, że wydajecie z siebie!

Był to, ma się rozumieć, żart. Bigda brązowym okiem spojrzął dokoła. I tak mu już utkwiła ta chwila, że ją później pamiętał w najbardziej obcych i najdziwniejszych okolicznościach: — W betonowej piwnicy gromada ludzi w białych kitlach, pragnąca się uśmiechnąć, — powykrzywianemi boleściwie gębami.

Poproszono pana prezesa, — nim przejdzie między rzędy beczutek, by się dał zważyć. Wyborna waga stoi tutaj. Ważono wszystkich, było to niby w modzie, ludzie wazyli się przy tem zajęciu skrętnie, by wiedzieć ile im znów ubyło. Każdy tu przecież chorował na kiszki, na żołądek, — od „pracy smakującej”.

Najmniejszy z pośród asystentów, Mieniewski dostąpił zaszczytu ważenia pana prezesa.

— A kto pan jesteś? — spytał Bigda.

— Jestem Mieniewski.

Posel Bigda znał przecież tego Mieniewskiego, jeszcze jako małego sąfla z czasów, gdy się w młodości z leaderem Mieniewskim spotykali. Bigda był wtedy — młody chłop radykalny, a pan poseł Mieniewski, — wspaniała trąba gniewu robotniczego. Chadzał wtedy leader po swem mieście z dwoma długowłosemi chłopakami, — jeden z nich będzie chyba ten właściciel Jeden z nich będzie ten, a drugi nastal do Naszej Nafty. Bigda pamiętał ludzi, jak ich pies tylko zapamiętać potrafi. Kiedy się teraz patrzył na Tadeusza Mieniewskiego, mógłby jak najdokładniej określić na czem się zasadzała różnica pomiędzy obu braćmi, starszym i młodszym.

Bardzo duża różnica istnieje między nimi, — pomyślał.

— A od kiedy pan u mnie pracuje? — Wszystkie instytucje, czy kluby, spółki akcyjne, czy towarzystwa, — jakiegokolwiek interesy, jeśli do nich należał Bigda, były odrazu jego. Tak o nich mówił, tak rozumiał i koniec.

— Od niedawna.

Bigda spojrział uważnie z pod kamiennych powiek. Z wrodzoną sobie miarą czasu i z wężem tyle lat nieomylnym mógł być w takiej sekundzie jednej rozeznąć się w młodzieńcu. I nie był to dla Bigdy wysiłek zbyt specjalny. Patrzył, zaciskał lekko szczęki i wciągał w siebie brzuch. Niedużo, lekko, aby tak tylko, lekko, wypchnąć powietrze z płuc. Wtedy się rozeznawał trafnie.

Uczył tak i teraz, porównując twarz syna z twarzą ojca. Porównanie utwierdziło pana prezesa Bigdę, że ojciec czyli leader Mieniewski pochylił się już znacznie i bardzo się już stoczył po swojej pochyłości. Oraz, że z takiego młodego drapieżnika możnaby się dochować nie byle jakiej sztuki. Rzecz była dla pana posła Bigdy dosyć ważna, skoro pragnął córkę wydać za Stanisława Mieniewskiego. Należało się w takim wypadku poznać ile możliwości na całej rodzinie i obejrzeć wszystkie próbki tej krwi, by nie kupować kota w worku.

Nie Stanisław, a bardziej ten, Tadeusz patrzył na kota, słowem na drapieżnika. Tamten, ten z Naszej Nafty większy i łagodniejszy, — w całym obejściu gładszy. Może głupszy? Ale znacznie łaskawszy. Ten zaś, to zbój. Niby bohater, z twar-

dych warcholów zawsze, co los wyzywają! Najgorsze ścierwo, — spaczy każdą stopniową pracę i budowlę i wszystko!

To będzie ścierwo, — pomyślał poseł Bigda, — ścierwo z linii Kainów, Kain.

Tamten, Stanisław, znacznie lepszy — i Abel.

Poseł Bigda ubawił się tak wiernem porównaniem. Wierne było o tyle, że określało zwięźle charakter braci. Charaktery, ale nie los, — broń Boże. Jeżeli o los chodzi, — gdzie rządzi Bigda, tam przykłady nie znaczą nic. Abel jest na to, aby mu było dobrze, gdy służy dla pożytku — i tak będzie!

— Od niedawna, powiadasz pan, że pracujesz pan u mnie. A skądżeś pan tu przyszedł? — Dla Bigdy nie istniały słowa przybył, przyjechał, dostał się, czy też dostał posadę. Ludzie z miejsca na miejsce mogli tylko przychodzić.

— Pracuję w MASLE, — odpowiedział Tadeusz, — przypadkowo. Przedtem pracowałem w ordynacji lachowskiej.

— W ordynacji lachowskiej? — Bigda spojrzał na Tadeusza przezroczyście żrenicą. Wiedział z długoletniego doświadczenia, że gdy tak patrzy, ludzie łgać nie potrafią.

Tadeusz uśmiechnął się.

— Wówczas pośpiesznie Bigda: — A gdzieś pan zęby stracił?

— W życiu, panie prezesie.

To znowu dało posłowi Bigdzie nadzwyczaj do myślenia. — A nie przeszkadza to panu teraz w życiu albo chociażby tu, przy smakowaniu?

— Zęby nie mają smaku.

— Zęby mają swój smak! — Bigda uśmiechnął się, odstaniając swe własne, płaskie, mocne, żółtawe nieco, ale, — ileż to lepszy kolor od białego połysku sztucznych?

Uśmiechali się niby tak jakoś czule, szczerząc do siebie zęby. Bigda zwarł nagle szczęki i rzekł:

— Pan byłeś legionistą?

— Byłem.

— A teraz u mnie służysz?

Zachciało się Tadeuszowi warknąć teraz. Powiedzieć, że nie on sam — obaj Mieniewscy młodzi służą bigdowym pracom. Lecz nie powiedział tego. Zrobiło mu się niewymownie żal brata, który sobie tak chwalił posadę borysławską. Odrzekł tedy Tadeusz zwięźle:

— Tak, teraz jestem w MAŚLE.

— Masło jest miękkie, — uśmiechnął się poseł Bigda. — Nawet bez zębów możesz się pan doskonale wyrobić u nas. — Bigda stanął na podjum żelaznem, patrząc pilnie na Mieniewskiego. Oddawał kolejno Tadeuszowi płaszcz, kapelusz, starą, bardzo ciężką papierośnicę srebrną, ogrodniczy scyzoryk, jakby sektor do ścinania gałęzi. Pan poseł śledził uważnie przebieg całej manipulacji przy ważeniu, a gdy otrzymał kartonik z wydrukowaną cyfrą, rzekł:

— No, dziewięćdziesiąt cztery kilo, — możesz się pan wyrobić też tak, kiedyś, zczasem...

Przez cały dzień po tej wizycie pana prezesa Bigdy huczało w MAŚLE. Czy redukuje, czy roz-

szerza agendy, czy może zmieni zarząd, i kogo też wyleją teraz z Rady Nadzorczej?!

Wieczorem, już po zajęciach, zjawił się u Mienniewskiego na górnej sali przy formiarce woźny z serowarni, były żołnierz, Kubera, suchotnik zwiędły, szare i zaplątane człowieczysko.

Żona go porzuciła, mówił sam o tem, — chyba, że porzuciła, gdy oddaje się innym, dzieci mu się pomarnowały. Obecnie trwał Kubera na swym zatęchłym posterunku, to jest przy serach. Sery jest posterunek, jak każdy inny w życiu, wiele roboty daje i podciąga człowieka. Przewracać trzeba sery i masować im skórę, pielęgnować, podłogę wodą zlewać, by miały w miarę chłodu, patrzeć, czy nie dostają wzdęcia. Pleśń rozprowadzać równomiernie po skórcie, patrzeć, czy się nie zaziębiają?!

— Bo cóż jest ser, — gadał Kubera, gdy zjawił się u niego Tadeusz, by zagryźć masło jakimś kawalkiem litewskiego, czy parmezanu. — Ser, moi drodzy, to jest wniebowstąpienie mleka. Gdyby te rzeczy porównywać do wiary, toby to tak wypadło. Jakiegoż to ser żąda mleka? Idealnie czystego, jednolitego, nie może być zbierane od różnych dostawców. Niech się w serze rozłoży brud po kilku miesiącach dojrzewania, no i już, — niema sera! A weźcie do tego jeszcze pod uwagę podpuszczkę? Ferment z żołądka malutkiego cielaczka, malutkiego sysaka? Patrzcie więc, jaka to rzecz jest — gatunkowa!

Było to chyba sprawą niebywałą, że w żołnierzu a dziś strózu serowarni Kubarze, wszystko inne

jakgdyby obumarło, pozostała zaś tylko zabawna ambicja względem sera.

— Każdy ma swą ambicję, — mówił Kubera wieczorem, przy formiarce, — nie wszystko jedno jaką? Swoją! Ambicja to specjalność. Oni tu wszyscy jedni na drugich, z Bigdą i przeciw Bigdzie i sam Bigda. A wy, kolego, nic, tylko się wpatrzcie w swoją specjalność, — szeptał Kubera poufnie, — nie odwracajcie głowy w prawo, w lewo, tylko specjalność. Żona wam nie da tego, ojczyzna nie da też. Żona to cudzołóstwo a ojczyzna to zawsze krzywda. Swoja i cudza. Tylko specjalność może nas uratować. Jużemy pracowali dla ojczyzny. I co? Walamy się po kątach i to jest nasze całe wniebowstąpienie.

Dobre wniebowstąpienie, oraz ładna pogoda specjalności, gdy odbyć trzeba nagle taką rozmowę z ojcem! Na radzie familijnej pomiędzy Stanisławem, Tadkiem i ojcem, bujda wyszła, och, — demon kopalniany. Kto to mówi, — protektor kopalniaka?!

Tadeusz opowiedział Stanisławowi w knajpie swe losy, ale przy samym końcu przerwał.

— Możesz sobie spokojnie żyć, — śmiał się, — jeździć sobie z dziewczyną swoją po pluszowych ślipingach, dlaczego nie? A ojcu o mnie powiedz, że utonąłem w maśle. Wessało mnie. Widać mi z tego masła ledwie sam czubek głowy!

Stali na progu szklanych drzwi kawiarni. Tak piękny świt i tyle łagodności na niebie, kolor dziwny, omdlały, sam w sobie odwrócony, ciemność białą jasnością nasycona od spodu, mury domów aż

skromne tak wyraźne i ciche, a wśród malutkich liści przyszytych akacji już świergotają wróble.

Wniebowstąpienie nasze jest tylko w specjalności!

Ładne wniebowstąpienie — tutaj rozprawy z ojcem, a tu znów zaraz potem — wizyta posła Kozy!

Masło się przerabiało na dużym wygniataczu w olbrzymich jasnych łańdach, a tu wchodzi pan poseł Koza. Błady, jak trup, odęty, z przygasłymi oczkami, partyjna wierność a zarazem elegant, kretyn!

Jakże go mogli wpuścić?!

Koza działacz, dżentelmen w porteczkach w paski, krawatka w paski, skarpetki również w paski i cały on, tak samo, Koza stoi tu w hali, spryskanej świeżą wodą, betonowej, huczącej. Koza w nowych brązowych pantoflach, z subtelną laską bambusową, bez kapelusza, — gdzież ten idjota podział kapelusza, — tak, nie nakrywa głowy, dla porostu włosów!

Oto pan poseł Koza.

A tu rywal, Tadeusz Mieniewski, syn wielkiego lidera, wynalazca zabawnych maści i kiedyś, — rozrywany łapczywie przez piękności Osady Górniczej: — w gumowych nieprzemakalnych buciarach, zatłuszczonym, białym fartuchu, zlany potem, przevalający lutnią nicianą fasy ciężkiego masła nad balją wygniatacza.

Zobaczywszy Kozę Mieniewski odskoczył w bok rażony prądem: — Panie Koza?

Na to Koza... Chciał przekrzywić formiarki

i wentylatory, ale nie władał już tak głosem, jak w Osadzie. Czy też głos mu odjęło ze wzruszenia?... Jęknął, potem zaś jął wytrząsać rękami.

Tak machając ku sobie dłońmi, zabrali się stąd do szklanej budki buchaltera, widnej, czystej, izolowanej od wszelkiego hałasu maszyn.

— Koza, Koza, — Tadeusz śmiał się, zacieraając ręce. Śmiał się, jak człowiek, który długo, uparcie chciał o czymś zapomnieć, już nic o tem nie wiedzieć, ale zjawilo się i jest i wali się na ciebie, a ty w obliczu tej obrzydliwej zgrozy, jeszcze ręce zacierasz?...

— Mówić o wszystkim, czy mówić po kolei? — zapytał Koza szeptem.

— No i znowu jest Koza, — syczał przez zęby Tadeusz, — pan poseł Koza.

— Credo idealizmu, — szeptał Koza poblądłymi wargami. — Jeżeli tu przyszedłem, to nie, aby załatwiać interesy. Interesy robią inni panowie. Deptuła, Bigda, Strzęgorz, może nawet twój ojciec?! Ja — rady sobie dać nie mogę nawet ze sprawą orkiestry robotniczej. Pożyczyłem, trzeba zapłacić, — to nie jest stanowisko „interesów”. Ale moje ogólne credo idealizmu brzmi...

Wyciągnął do Tadeusza ramiona, zakończone mankietami w paski: — Zabierz ją sobie. Ona cię kocha, — zawsze! Zabierz ją sobie prędzej. Oto jest moje credo! Credo idealizmu!

— O kim ty mówisz, durniu?! — krzyknął Tadeusz.

— Zabierz sobie pannę Zuzannę Kostryń, oto jest moje credo!

— Czego tu chcesz, warjacie? — uśmiechnął się Tadeusz.

Koza przyskoczył do Tadeusza, siny z przerażenia. Powtarzał raz za razem, — zabierz ją sobie, zabierz!!

— Mnie to nic nie obchodzi. Nic mnie już nie obchodzą te wszystkie awantury!

Jakto? Stali naprzeciw siebie w tej samej budce, na tej samej podłodze, a jednak Koza patrzył na Tadeusza teraz, niby w górę, wysoko, z pod marnego kamienia, ach w górę ku wyżynie niedosiężnej.

Widać ich było przez szyby buchalterskiej budki. Komuż dawali to śmieszne przedstawienie? Mieniewski ujął Kozę pod rękę i jął sprowadzać bocznem zejściem ku piwnicom serowarni.

— Ona tu przyjdzie, — skarżył się szeptem Koza, — do ciebie przyjdzie zawsze, do mnie nigdy nie przyjdzie.

— A cóż mnie to obchodzi, — szczerzył Tadeusz swoje wprawione zęby, — mnie to nic nie obchodzi. I ty mnie nie obchodzisz i wy wszyscy.

Przeleciało przez Tadka jednym wielkim nawrotem, smugą ognia i dymu, — całe Zagłębie i Osada. Radość straszliwa zahuczała mu w sercu od tych żalonych wspomnień:

Koza stał obrócony twarzą do szarej chropowatej ściany. Garbiła mu się na plecach marynarka w ciągłym podrzucie ramion. Zwierzył Tadeuszowi w najgłębszej tajemnicy sprawę pieniędzy po Feliksie Kostryniu i całą sprawę Banku Robotniczego. I całą katastrofę, która grozi tam nieuchronnie.

— Ja nie mogę wybierać, — mówił z cichą rozpaczą, — pomiędzy partją a uczuciem. To jest nad moje siły. Tak, wolę stracić wszystko i zostać za murami. Nie mogę pokrywać twego ojca dla interesów Zuzy, a nie mogę ratować Zuzy przeciwko sprawom partji. Ja — wybierać — nie mogę...

Na samą myśl o tym wyborze tłukł głową o ścianę. O! — nie w sensie przenośnym. Tłukł głową starannie zaczesaną o szarą ścianę głównego korytarza serowarni, należącej do Spółdzielni MASŁO.

Tego samego dnia zobaczył poseł Koza, że panna Zuzanna Kostryśniówna sama dokonała wyboru, nie pytając o radę nikogo. Ujrzał to poseł Koza na własne oczy. Zdało mu się, że z każdym jej pospiesznym krokiem zapadał głębiej w bruk. Czy można — zapadać w bruk?!

Ile było szybkich kroków Kozy od auta, poprzez chodnik, do drzwi wejściowych wielkiej Spółdzielni MASŁO?! Było tych kroków chyba najwyżej cztery. Zresztą, gdy już za bramą znikła panna Zuzanna, odbył Koza tę samą drogę od samochodu, (który pozostał przed bramą), przez chodnik aż do furtki dla wchodzących.

Tak, tak, były to cztery kroki, absolutnie nie więcej. Cztery panięskie kroki, które usłyszał Koza, — jak radosne okrzyki.

Zajechała tu autem. Czyjem? Niewiadomo. Auto było prywatne. Szoferowała sama. Miała na sobie długie zamszowe rękawice. Rękawice, mniej więcej aż po łokcie. Na pamiętał, jak była ubrana i nie pamiętał, po co tu przyszedł poraz drugi, tego samego dnia.

Przyszeli tu poraz drugi, aby powiedzieć Mieniewskiemu, by w żadnym razie nie wspominał Zuzannie o jego (Kozy) wizycie tutaj i aby nic nie mówił o tem, co Koza opowiadał o pieniądzach Kostryniów, przekazanych przez Kostryniową Bankowi Robotniczemu. I aby nic nie mówił Mieniewski, że on, Koza, — że co on Koza?! Że on Koza rzekał się swej dziewczyny?

Wszystkie te zastrzeżenia nie zdadzą się już na nic. Zuza tu zajechała prywatnym autem, długim, krytem, wyglądało jak z samego lakieru, takie błyszczące, czarne z listwami zielonemi.

Auto westchnęło pięknie głosem świętych hamulców, Zuza wysiadła, nie dostrzegając Kozy, który szedł tamtą stroną ulicy. Jakże była ubrana? Tego przenigdy nie mógł zapamiętać. Jakże była ubrana, — na Boga?! Biało, zielono, czerwono, czy też czarno? Pamiętał zawsze każdy błysk jej spojrzenia, ale odzież?

A teraz cztery kroki, od zatrzaśnięcia drzwiczek aż do furtki. Znikła.

Koza pobiegł do auta na palcach, aby zajrzeć do wnętrza. Wewnątrz tej limuzyny — bogactwo, poduszki pikowane prześlicznie, jakieś pledy, w nogach puszysty dywan a przy oknie flakony kryształowe z różowemi kwiatami. Kwiaty nie wiedzą nic! Pozostały zamknięte w aucie.

Koza stoi przed autem, ale uczucia jego, myśli mądrzejsze są od kwiatów, biegną za Zuzą dalej przez kamienne podwórze wielkiej spółdzielni MA-SŁO.

Dowiedzieć się! Koza zadzwonił do furtki.

Otwarł mu woźny, pachnący fajką i kapustą.

Poprzez głąb korytarza na kamiennem brukowisku podwórca w wielkiej spółdzielni MASŁO ujrzał Koza pannę Zuzannę Kostryńniównę. Stała wahając się widocznie, którądy iść. Na prawo, czy na lewo?...

Miałże wołać, żeby szła dalej prosto przed siebie, i dopiero przy końcu podwórza znajdzie drzwi, prowadzące do właściwej maślarni?

— Przepraszam, to pomyłka, — szepnął pan poseł do dozorczy spółdzielni, — to nie tu.

Drzwi się zatrzaśły szybko.

Zuza wróciła znowu po informacje, z głębi podwórza z powrotem do dozorczy.

— Prosto aż za te drzewka a potem drzwi, nie te pierwsze, lecz drugie.

Wydąło się Zuzannie, że idzie tak, — od kiedy już?! Ze idzie tak od śmierci ojca, od brzegu schodów, na których umarł dyrektor Feliks Kostryń. Od tamtej chwili szła chyba nieustannie, aby się wy dostać nareszcie tutaj, na to podwórze, na te właśnie kamyki i na ten pas asfaltu.

Wtopiło się w tę chwilę wszystko — biblioteka Lachowskich, mody ostatnie, oglądane przedwczoraj, wyjazdy ze Strzęgorzem i myśl zabawna, czy nie puściło oczko w pończosze, — przy prowadzeniu auta jest to zawsze możliwe.

Biblioteka Lachowskich, marmurowy stoliczek w cukierni, nieszczęsny Koza, — ów dzień, kiedyto Zuza pojechała powozem fabrycznym do Karoici Pecyńskiej-Domagąło, ów szary dzień wyroku, gdy czekała napróżno tyle godzin... Ów dawny dzień

w Osadzie Górniczej, kiedy uciekła z domu, przedzierając się podczas ulewy przez stado cieląt, gnanych do uboju. Ach, po tem wszystkim, — operacja. Tadek nie wie nic o tem, a przecież to załuga, — takie cierpienie!

Zuza otworzyła drzwi, pełna radosnego szaleństwa. Dlatego umarł ojciec i przepłynęło tyle cierpienia, aby teraz było można otworzyć drzwi, — tak sobie lekko, swobodnie, żartobliwie.

W przedsionku nie zastała nikogo, widać stąd jednak było przez czyste szyby dalszą wewnętrzną hallę. Pracowano tu jeszcze. Zuza widziała całą tę przestrzeń jasną, dziwaczną, pełną białych niklowych sprzętów i ciemnych maszyn, tu i ówdzie pożyłowaną czarnemi transmisjami.

Dwóch ludzi tu się krząta. Myli. Zlewali wodą, czyścili. Jeden z nich to Tadeusz ten w zasmolonym fartuchu, pochylony.

Ogarnął Zuzę spokój zupełny. Była przecież u celu. Niecierpliwość i pożądanie, nękające od tyłu dni jej ciało, przetopilo się w błogi, zarazem wielce ostrożny spokój. Nie zrobić błędu, teraz już tylko wyczuć jak najdokładniej fałę własnego szaleństwa...

Zastukała przez wielką szybę, Tadeusz podniósł oczy.

Uklonił się.

Widziała, jak wyciera sobie ręce. Porozumiał się ze swym towarzyszem pracy, i już szedł w jej kierunku. Mogło to trwać zaledwie kilka sekund, — czemuż myślała teraz z przerażeniem o grobie ojca,

o cmentarzu Osady Górniczej, o poronieniu, — o Coeurze nawet?!

Przerażenie rodziło się z radości! W połyskach tej radości — Coeur, poronienie, ojciec, wszystko przeszłe mieniło się już tylko światłem wielkiej nadziei. Oto całe znaczenie nienawiści, oto całe znaczenie śmierci, — stać się wreszcie miłością.

Gdy Tadeusz podał jej rękę, rzekła, patrząc mu w oczy: — Czy my się znamy jeszcze?...

— No, jakże — odpowiedział, — czy może być inaczej? — Powiedział owe słowa tak spokojnie, że Zuza straciła w jednej chwili całą inicjatywę.

Nie patrzyli na siebie. Zdawało się Zuzannie, że słyszy oddech Tadeusza, głośny zziąjany, zapewne jeszcze z pracy. Oddech ten stał się dla niej nagle istną męczarnią.

— No więc? — spytała szybko.

Czyż nie lepiej nie mówić nic? Zawsze to samo głupstwo, tylko głupstwo! Ścisnęła wargi w obawie by nie szcząkać zębami. Tadeusz prowadził ją uprzejmie do szklanej budki buchaltera. Mówił po drodze — tu przyjmujemy naszych miłych gości.

Miłych gości! Czy wiele jeszcze trzeba, by już na nic nie czekać i iść stąd zaraz, dalej? Dokądże jeszcze dalej? Zuzanna wiedziała już, — że nigdzie. Usiadła na tem samym krzeselku, na którym Koza siedział przed południem.

Na bocznej ścianie widniała mapa kraju przekłuta w wielu miejscach szpileczkami. Szpileczki były białe, zielone, czerwone i czarne, kolor oznaczał wielkość poszczególnej spółdzielni. Tadeusz tłumaczył nader rzeczowo, dlaczego w danych czę-

ściach kraju ruch spółdzielczo-mleczarski rozwija się lepiej, w innych zaś znacznie gorzej.

— Tak, ostatecznie, — zakończył z uśmiechem, — będzie to kwestją czasu. Korzyści —

— Trudno, aby czas czekał na coś, czy na kogoś, — odpowiedziała Zuza. — Jakże mógł czas czekać? Nie czeka. — Zuza zmarszczyła brwi, dodając: — I dlatego życie jest takie piękne!

Tadeusz klasnął w ręce: — Nie zmieniłaś się wcale. Zawsze ta sama bezwzględność,

— Zmieniłam się.

Odsłonił zęby w uśmiechu.

Zuza dostrzegła zmianę, jakże tego nie dostrzec?! Uśmiechom Tadeusza przydawały te sztuczne zęby wyrazu zimnej i nieszczerzej grzeczności.

— Jeżeli się zmieniłaś, to na lepsze. Wypiękniałaś. Musisz mieć powodzenie w Warszawie? A u mnie wciąż to samo, — westchnął. — Dawniej froterowałem, teraz myję podłogi.

Położyła mu rękę na ramieniu: — Czy my się pamiętamy, Tadek?!..

Odpowiedział spokojnie: — Już nie. Sądzę, że nie. Dlatego chciałem cię prosić.. — Musiał przestać mówić. Odżywało w nim w obliczu tej dziewczyny wzruszenie dawne, zapomniane, napływające do oczu łzami niespodziewanymi.

— Co za cholera! — Zaśmiał się głośno.

Wzruszenie zapomniane, wynikające z całkiem innej piękności życia, w którym Zuza była przeszkodą tylko!

— Czy my się pamiętamy — podchwycił znowu. — My?

— Nas, jako *nas* niema już, drogi Tadius. Chciałam ci to powiedzieć. — Zuza zdziwiła się bezmiernie, wymawiając te słowa. Poczwała nagle, że marznie. Marzną palce, przez głowę spływa dreszcz, a w gardle słowa zasychają. Spojrzawszy w bok na mapę przekłutą różnokolorowemi szpileczkami, dała z lekkim uśmiechem:

— I wogóle, wybij sobie z głowy, Tadek, jakieś tam przejścia, dramaty czy historie, — prawda? Na zakończenie proponuję byśmy się przejechali autem, mam tu swoją maszynę.

Już mieli wyjść. Zuza spytała jeszcze, czem tutaj Tadek jest w spółdzielni? Co robi? I czy mu płacą? Ile? I jakże się tu dostał? I jak się to zrobiło, że się poznał na maśle?

Za dużo było tych pytań, — za troskliwe. Chciałaby pytać o tysiąc rzeczy naraz. Przypomniała sobie, — teraz dopiero, — że to głupstwo sprawa pieniędzy, nie o to wcale chodzi! Przyszła tu bronić swego Tadka, przecież wciągnęli go, wiedziała od Strzęgorza, jak go zręcznie wciągnęli, będą go chcieli wykorzystać teraz, ci jacyś chłopci, politycy, — tak, przecież zabił chłopca niedawno w lasach ordynacji. Należało uciekać, powinni stąd poprostu uciec, we dwoje, póki czas. Uciec, zatrzaskać drzwi, odciąć się raz na zawsze, — sama ta myśl napępiała Zuzannę popłochem niespożytej radości, popłochem, głuchym tupotem stóp uciekających!

Jakże mogła zapomnieć o tych niebezpieczeństwach? Tadek nie wiedział nawet, że to ona go broni. A pocóż z tym Strzęgorzem flirtowała? I pocóż była

biblioteka Lachowskich? Będą musieli oślaniać go! Stary Lachowski będzie musiał pomagać!

W rozczarowaniu pierwszych chwil spotkania zapomniała o wszystkim: — o niebezpieczeństwach, o tem, że Tadek musi być bardzo biedny materjalnie, że jest marnie ubrany, że ma wstawione zęby, że się znów krótko ostrzygł, że wychudł, że mu się głowa zrobiła jakaś mała, że mu tak bardzo pociemniało spojrzenie.

Szedł o pół kroku za nią. Kurczyła plecy, głowę chowając w ramiona, taką radością biło w Zuzę echo ciężkich i opieszalnych kroków Tadeusza. Radość to była jednak pusta, zmysłowa, z pod której wylęgało przerażenie: — teraz pojedą samochodem, — może po drodze odpoczną gdzie, w przydrożnej kawiarence, — pojedą dalej, zapadnie noc, — trzeba już będzie wracać. Wrócą, — odwiezie, go, — rozstaną się uprzejmie — i cóż?!

Pojechali przez most, za Wisłę, po moście znacznie wolniej, aby z pomiędzy żelaznych belek jeszcze dokładniej wyłaniały się płaty nieba i skręty toni rzecznej.

Tadeusz siedział obok, przy kierownicy. — Doskonale prowadzisz, — rzekł w środku mostu.

Tak umyśliła właśnie, że w tem miejscu powinien już powiedzieć coś, cobądź, — nie mogli przecież milczeć przez całą drogę.

Kraty, bele żelazne, z pomiędzy krat niebieskie niebo, gęsta zielona woda, w dali rozarte łąki; na zakręcie widoku, jak długie blizny, — wąskie łachy wiślane.

Skręcili w lewo, po nędznym, starym bruku, — dalej baraki dawnej światowej wojny, dla jeńców, i coraz lichsze domy i już zapada mrok, jazda wśród pól otwartych, — dalej lasy i lasy, coraz głębsze, — szumiący podziw cienia, — jazda wśród ścian lesistych, drżących płaskim trzepotem liści, — między dwiema ścianami drzew prosty równy pas nieba, — widać gwiazdy i księżyc pośród drzew i nareszcie w mglistej architekturze sosen.

Nie mówili do siebie nic. Już nic. Tak chyba lepiej.

Czuła tu Zuza Tadeusza tak blisko a w tak wielkiej obcości. Dzięki niemu dopiero, teraz właśnie, po tylu dniach, tygodniach doświadczać mogła wreszcie sensu drogi i sensu wszystkich ruchów i sensu swoich myśli i sensu swego ciała, sensu wiosny i świata i drzew i szybkiej jazdy.

Ów sens łączy się tkliwie z miękkim głosem ciemności leśnej, a znów ta ciemność tchnie wdziękiem tak dostępnym, chociaż tak tajemniczym!

Jechać dalej, wciąż naprzód, na pożyczonej maszynie od Strzęgorza, jechać, nic już nie myśleć, odczuwać tego chłopca przy sobie spokojnie, niewzruszenie, jak się zapewne czują zwierzęta dwa z tej samej pary, przy wspólnym dyszlu idące, wracające. Tak się czuć i już nie myśleć nic a tylko słuchać z pomiędzy dwóch ścian lasu, — słuchać ogromnej drogi nieba nocnego, płynącego nad szosą.

Tu jest szum, a tu się koła trą o wir, a tu émy nocne zapadają, a ty sama jesteś stworzeniem z takiej dobranej pary i ty, nie jesteś ty; ty, —

jesteście dwoje, i już nie w tobie, ale gdzieś znacznie wyżej w ogromach ciszy nocnej na czarnym szlaku nieba urabia się twa sprawa, o której wiesz, że twoja, ale więcej nic nie wiesz, ale wiesz żeś to jest ty w tej sprawie, a któż może być bliższy dla ciebie samej niż ty sama: ty sama, twój kark i twoje nogi, twoje włosy i ciało, twoje myśli, słowa, twój cień i twoje życie, twoja przyszłość na nowo w przeszłości zanurzona... A gdy z przeszłości owej czekasz jeszcze znaku, — jeden tylko dochodzi znak, twojego triumfu, znak od którego piersi wzbierają dzikiem szczęściem, albowiem słyszysz teraz na górze, w ciszy nocnej, wśród czarnych głębin swojej nieskończoności znajomy głos zastrzelonej rywalki, żalotnej robotnicy, Lenory... Głos martwy, — żywy już tylko twem własnym pożądaniem, żywy już tylko zwycięstwem twego życia, chociaż zwycięstwo owo płynie zawsze przez łzy, — ten głos zraniony rozkwitem twej miłości, na zawsze obrażony, w zdumieniu śmierci zawsze, na zawsze nowy a wołający teraz:

Prędzej, Zuzanno, — prędzej!

Zdziwiła się Zuzanna, słysząc wśród głosu tego swe własne nikłe słowa, nikłe, lecz pracowite. Dlaczego, poco mówiła teraz zwykłe potoczne zdania o drodze, o wirazach, o widoku, o lasach? Czy nie dlatego tylko, aby jakoś wypełnić obopólne tak nagłe milczenie, swoje i Tadeusza? W całym mówieniu tem nie było ani jednego istotnego słowa o lesie, drodze, czy też księżycu czarującej nocy.

Jechali szybko dalej.

Mówiła szczerze, wyraźnie i dobitnie o planach i nadziejach i o jakimś sposobie lepszym dobrego urzędnika, unormowania sprawy. O tem, że kiedyś dawniej Tadeusz chciał pieniędzy, latał za nimi przecież, podłogi froterował. Teraz mamy pieniądze. Ależ tak, naturalnie, a że zrobione na tak nazwanej krzywdzie, nibyto krzywdzie ludzkiej, — pieniądź nic nie pamięta!

— Chciałeś wyjeżdżać w świat, pamiętasz, tymczasem z całego świata zrobiło się więzienie. Z całego świata zrobiło się więzienie, a my mamy pieniądze. Chciałabym właśnie, ażebyś to zrozumiał praktycznie. — Tak mówiła, nie odwracając wcale głowy do niego.

Lasy, brzegi i drzewa, chłód nocny, — ómy, a czasem wielkie wozy zdążające do miasta i znów rozgłos gałęzi, jakieś polany leśne, łąki srebrzystej ciszy, a pośród nocy, nad nią, Zuzanną marną, ale tak sobie bliską, tak chciwą i upartą, pokorne głosy śmierci czyjejs, znanej, wiadomej, które już przepraszają, które wołają same:

Prędzej, Zuzanno, — prędzej...

— Powinniśmy wyjechać z kraju, — mówiła Zuza spokojnie, pochylona nad kierownicą. — Tu nam nie dadzą żyć. A możemy tymczasem żyć — poprostu. Chodzić razem. — Ubierać się. Cóż nas obchodzą inni? Koza w takich wypadkach powiada najwyraźniej, — dobre sobie. Ma rację! Dobre sobie. Rozumiesz?

Aksamitnymi dłońmi prowadziła maszynę, aksamitnymi stopami naciskała pedały, zmarznięta w własnem sercu, najmilej uśmiechnięta, uśmiech-

nięta beczelnie, cicho, tak dobrotliwie. I tak mówiła dalej, w szumie lasu, w przelocie liści, w nikłym lśnieniu robaczków, lub białych ciem drgających przed latarniami auta.

— Wyjechać, może się czegoś uczyć, jeżeli chcesz, albo nie uczyć się, bo wkońcu, poco? Są przecież różne kraje do wyboru?! Anglja, kraje północne, niby fjordy, musi tam być nadzwyczaj pięknie. Lub może kraje południowe, ludzie jeżdżą stale do Włoch, możnaby jednak chyba pojechać do Hiszpanji? Albo na wyspy, są przecież różne wyspy, na mapie wydaje się to małe, ale odbywa się tam bujne życie, Otello dzieje się chyba głównie na wyspie, na Cyprze. Dlaczego człowiek nie miałby się czuć wolnym, zależy to jedynie od człowieka, nic nas innego nie obchodzi, — dlaczego człowiek ma się wstydzić samego siebie? Chyba jesteśmy młodzi, to fakt, jesteśmy młodzi i nic mnie już nie wzrusza, — tylko to jedno właśnie.

Wyjechali nareszcie z lasów, na szczyt wyżyny, skąd rozlewał się widok, — niby z najcudowniejszej zasady snu wiosennego. Tu, w pobliżu, perlisty blask księżyca, i siny zamęt zagajników a tam, na na dole, prosto, za ciemnym łąnem, — dwie rzeki, wody proste i gładkie, pod stromym brzegiem w zamęcie wiru połączone. Nad wodami zaś wyżej, wyżej, wyżej niżli puszysta mgła, jakoby prawo wzniosłe na niebie wypisane, — gwiazdy wśród pełnej nocy.

Na widok takich wód i tego świata nocy wiosennej, natchnionej bladym przeciągiem mgieł, za-

trzymała Zuzanna maszynę. Ręce oparłszy na kierownicy, rzekła do Tadka tym samym głosem spokoju i pilności: — Pocałuj mnie już teraz.

Słowa jej rozsypały się w bezdennej ciszy nocnej, niby okruchy drobne. Zbliżył się do niej, pochylił,— jakażto była ta twarz Tadka?! Obca, dziwna, nieznaną, niby ze snu zbudzona, czy z przerażenia oswobodzona nagle.

Objął Zużę. Objęcie zbierało się w swym ruchu nazbyt wolno i ogarniało leniwie, nieporęcznie. Objął i twarz trzymając obok twarzy, zaczął mówić.

Nie chciała słuchać. Ale uparte słowa strzępiły się miarowo, — cóż za ironja i pocóż ta ironja?

— Cóż on tu mówi nagle, co tu mówi o lesie?

Siedząc tu obok w aucie, słuchając o tych wyspach, krajach i stronach świata, do których teraz wybierała się Zuza, wspomniał sobie Tadeusz, jak zimą, czy jesienią szedł kiedyś po Osadzie górniczej, jak szedł we dwoje i stanęli przed szybą wystawową i on tam mówił właśnie pokazując owoce, pomarańcze, czy winogrona, — o krajach, wyspach, łądach, morzach i dalekościach.

Cóż za ironja i pocóż ta ironja, — Zuzanna wsparła głowę na kierownicy, — i pocóż ta ironja?!

Tam rzeka błyszczy kurzawą srebrnej mgły, tam się wiklina fioletami mieni, — on tu mówi o lesie teraz... Że się tak ludziom zdaje widocznie, a może coś słyszeli, czy też im powiadano, czy też to intuicja tylko, — co do tego młodego człowieka, że ów człowiek, — dajmy na to Tadeusz, pan Tadeusz Mieniewski, — romanse swe prawdziwe zaczyna zawsze w lasach, w laskach, po nocy, czy

tutaj, czy gdzieindziej, chociażby, dajmy na to, w pobliżu koszarów pokozackich...

— Bo ty myślisz — zawołała Zuzanna... Głos jej przerwało. — Bo ty myślisz, że nie pamiętam! Że tak, ach naturalnie i śmierć nawet... I nawet śmierć? Śmierć biorę też w rachubę! Tamto wszystko i nawet tamta śmierć i wszystko tamto było tylko z miłości!!!

Wychyliwszy się za kierownicę, przerzuciła Tadeuszowi ręce przez szyję i powtarzała, z twarzą zalaną łzami, z twarzą srebrzysto-siną, oddalona już wielce w rozpacz i znów w szaleństwie swych nadziei tak bliska, oddalona w porywie najstraszliwszego rozumienia słów, oraz w przebiegu nocy, w przebiegu czarnych bezmiarów nieba, ziemi, w przebiegu sprawy morderczej:

— Tak bardzo cię kochałam!

Tadeusz wołał, krzyczał, a sam nie wiedział, co.

Bronili się przed sobą, płynący łzami, broczący nagłą rozpaczą w tej nocy księżycowej. A gdy się wzajem w rękach swoich poczuli, — piersi, żebra, ramiona, szyje i znów ramiona i nagie żywe ciało — rzucili się ku sobie, by się znowu odepchnąć.

— Tak cię kochałam i dlatego będzie mi wszystko jedno zawsze! Śmierć mnie nic nie obchodzi, taka jest tylko miłość na świecie, innej niema, czy słyszysz Tadek, — musi tak być na świecie!

Wpadała mu pomiędzy ręce, jak płomień zimny, ponętny i zwodniczy, tak bujny a tak drżący. I tu w tem szamotaniu złączyły się ich wargi.

Tadeusz objął, uchwycił, zagarnął twarz Zuzanny. Trzymał w dłoniach gorące jej policzki. Nieomal,

że palcami rozszerzał jej powieki, aby patrzeć do dna w jej oczy, z których wypadła mróz sztywnymi promieniami.

— Ja sobie nic nie robię ze śmierci, — jęczała w tym uścisku Zuzanna, — ja sobie nic nie robię z niczego! Życie idzie za życie i nic mnie nie obchodzi, — życie idzie za życie!

Płacząc, krzycząc bezradnie nad kierownicą, całowali się gorzkim, zimnym pocałunkiem.

— Taka trucizna, — gadał jej głośno w usta Tadeusz, — taka gorzka, potworna trucizna, — taka trucizna.

Taka trucizna pod niebem nocy wiosennej, — gdy gwiazda lśni, a pośród drzew pomyka radość nowych wezbranych wód.

Rozdział II.

Żołdacka noc.

Gdy się Zuzanna budziła w złotym mroku portjer pensjonatowych, doświadczyła wielkiej żałości na myśl, że może wnet rozstanie się z tak miłą i wytworną pościelą.

Pani Kostryniowa bardzo grzecznie, lecz dość stanowczo wymówiła tu sobie własną pościel, z której w Osadzie Górniczej sływał dom Kostryniów.

Prześcieradła, poszewki, pochwy na kołdry — z holenderskiego płótna. Nic nie jest takie przytulne, nie daje tak suchego chłodu, któryby rozgrzewał się tak równomiernie i przyjemnie, jak holenderskie płótno. Wyhaftowane były na niem w kłosach, koronach i innych ornamentach kunsztownie dziurkowanych, inicjały Kostryniów i herby.

Skądże żalność i myśl o utracie pościeli, skoro się nic nie stało?

Cóż ma się stać? Zapewne nic. Nie musi się jednakże lęk taki w słowach streszczać, ani w wyobrażeniach. Nic się może nie stanie, jeszcze myśli o niczem nie wiedzą, a przeczucia są puste! Lecz ciało i organizm cały drży w sobie, palce spleją się lekko

po haftach, skrywać trzeba przed sobą własny uśmiech, — to przecie wiele znaczy!...

Obudzić się jak zawsze, wiedzieć, że nic nie czeka, palcami witać gruzełki haftu, prześlicznie wyrównane — i oto nagła troska, kto zabrał kołdrę po ojcu, — komu też ją oddano?

Nic z tego nie wynika, znowu patrzenie tylko — i niespodziany zachwyty z powodu sypkich szelestów holenderskiego płótna. Zachwyty przemija szybko, im piękniejszy, tem skorszy. Zachwyty bezmyślny a przecież tak uroczy, tak pewny a społeczny odczuwa Zuzanna. wpatrując się w odcienie swej pościeli. Ach tak, to jedno miłe z wspomnień o całym domu — białość, białość, mieniąca się lśnieniami niebieskimi, sina, to znów błękitna.

Zuzanna chętnie płakała, rozważając to wszystko. Jakież jest owo wszystko?!

Nie był to więc płacz smutku, ani też płacz słabości. Dorodne, żywe płacze przygotowania do jakichś nowych kroków. Płacz koleżeński, — płacz cierplivej przyjaźni — dla własnej nieszczerości. Bo cóż, — powiedzieć sobie wszystko szczerze, wszystko sobie ujawnić, — pocóż się tak odzierać z wszelkich niespodzianek?!

Płacz lekki, płytki, świeży, — zjawił się tylko w oczach, bez najmniejszego udziału myśli i spływał sam, ohotnie, lejąc się przez powieki, — jak woda.

Z smutków takich wynika dziwna, bardzo zachłanna skrzętność i wielka gospodarczość. A to, gdzie się podziła kołdra po biednym ojcu, kto wziął papierośnicę, a to, — że absolutnie należałoby wiedzieć, ile się czego ma?!

Pamiętki, kufry, meble i necesery, walizki i różne inne rzeczy pamiątkowe! Które kufry są matki, a które będą moje? Rzecz w danej chwili znacznie ważniejsza od wielu, wielu innych. Dlaczego? Nic nie mówić. Niech dalej płyną te głupie, puste łzy.

Dom Kostryniów, — były to może jeszcze wpływy Coeur'a z którym mieli się wybrać kiedyś zagranicę, — obfitował w walizki skórzane, necesery, oraz wogóle przyrzędy do podróży.

Świńska skóra jest ciężka, — mawiał to jeszcze kiedyś Kostryń, — ale jeżeli podróżuję i nie na własny koszt a ostatecznie i tak płacę tragarzowi od sztuki, to cóż mi szkodzi, że ta skóra jest ciężka? — Kostryń lubił był wachać skórę swoich walizek.

Wystarczy sobie teraz przypomnieć taki moment — i z oczu ciekną łzy, tak łatwe, i tak lekkie!

Nie podobało się pani Kostryniowej obecne usposobienie Zuzanny. Nie licowało przecież ani ze stanem żałoby, ani wogóle z poważniejszą myślą o życiu, o przyszłości. Coś trzeba przecież wkońcu zrobić z tą przyszłością?!

Pani Stanisława twierdziła, że ze swej strony działała bardzo wiele, teraz już musi dopilnować tylko poszczególnych pociągnięć. A może tylko polegać teraz na sobie samej. Nie będzie się zwierzała przecież Kozie, że wypadło jej przekazać pieniądze do Banku Robotniczego. Nie może teraz mówić o tem z Kozą. Z nikim!

Trzeba pilnować samej, samej trzymać już rękę na pulsie całej sprawy. Napelniało to panią Kostryniową znacznem poczuciem własnej siły. Bo przecież leader Mieniewski odpowiadał za te pieniądze przed

partją, — przed rodziną jednak jako taką, a więc zarazem przed całym społeczeństwem rodzin odpowiada już tylko Stanisława.

Dlatego to musiała bardzo pilnie doglądać, jak leader spełnia swe finansowe powinności.

Ofiarował był jej, — chciała zapłacić, lecz za ten drobiazg nie przyjął pieniędzy, — kilkanaście tomów pięknie oprawnych o bankowości robotniczo-kooperatywno-społecznej. Tomy były pisane po polsku, francusku, włosku, angielsku i niemiecku. Ofiarowując owe tomy, pytał leader kolejno, — czy pani czyta po włosku, — angielsku, — niemiecku, lub francusku?

Po każdym pytaniu opuszczała potwierdzająco powieki. Opuszczała je wolnym ruchem, — wiadomo było i w bibliotece Staszica i w całym życiu towarzyskiem Osady Górniczej, i jeszcze przedtem w kopalniach nadkaspjskich, — że ten powolny ruch powiek, zakończonych szaremi rzęsami posiada tyle nie dającej się naśladować harmoniji!

Po włosku i po niemiecku pani Kostryniowa ani nie mówiła, ani nie czytała. To nic. Zato francuskim i angielskim władała biegle w słowie i w piśmie. W tych dwóch językach mogła być zabrać się do bankowo-kooperatystycznej literatury. Ale, właściwie, — po co?

Chyba leader Mieniewski znał się już dostatecznie na tej gałęzi wiedzy?! Jeżeli owe książki polecał, — uznawały one widocznie to wszystko, co on sam uznawał i o czem tyle jej już mówił. O Luzzattim, Rajfajzenie i Baranowskim i Szewczyku i innych wszystkich. No więc już z jego własnych ust dosyć

o tem wiedziała. Ważniejszą chyba rzeczą było zgłębienie samej postaci, figury pana Mieniewskiego. Trzeba wiedzieć grutownie i teoretycznie a nie tylko praktycznie, z kim się ma do czynienia?... Jeżeli temu komuś powierzyło się cały majątek, musi się dobrze wiedzieć, jaki to typ reprezentuje ów jegomość.

Prawda, — na fakt powierzenia kapitału wpłynęła dotychczasowa sława lidera. Ale na dalszy przebieg wypadków musi już wpłynąć to, co się będzie samemu wiedziało!

Znaczną pomoc okazał w tej materji, — jak w tylu innych, — Koza. Poczciwy!

Nie mogła przecież iść pani Kostryniowa osobiście do księgarni socjalistycznej, by wyszukać tu literaturę, poświęconą działalności lidera Mieniewskiego. Byłoby to i niestosowne i może nawet niezręczne! Mógł to chyba załatwić tylko poczciwy Koza.

Ten sam, — trudno go lepiej określić. Koza jest, był i będzie i pozostanie zawsze wszędzie tym samym. Przyniósł potrzebne książki o leaderze Mieniewskim, jako poseł kupił je w księgarni socjalistycznej z piętnasto-procentowym rabatem, — więc i to, — ale zawsze ten sam, śmieszny, zabawny Koza. Ponury, tajemniczy, przesadnie ironiczny, czy też znowu przesadnie zachwycony.

To jadł, to nie jadł, — pani Kostryniowa zaprosiła go *ex re* książek na obiad, — i znowu mówił tak wiele swym basem wiecowym i pocił się nadmiernie, ubrany tak dziwacznie, — do niebieskiej koszuli krawatka bordo w zielono-białe groszki. I znowu czytał po kątach na Zuzannę, tragiczny, przepło-

szony. Coś jej tam szeptał skrycie a potem, znów przy wyjściu zwrócił się nagle do pani Kostryniowej i ukazując tomy, oraz broszurki, poświęcone działalności lidera, rzekł z dramatyczną emfazą:

— Czy drukowane słowo pokrywa się tu z życiem w tym wypadku?!

Owszem, w miarę bardzo zresztą powolnej lektury, pani Kostryniowa stwierdzała sumiennie, że owszem, — drukowane słowo pokrywało się z życiem lidera Mieniewskiego.

Może się nawet zanadto pokrywało?!

Cóż można było zarzucić temu człowiekowi? Z jego własnych polemik i różnych odpowiedzi wywnioskowała, że zarzucić można leaderowi pewne umiłowanie zbytku, oraz może łakomstwa trochę? Tak, tak, — łakomstwa.

Któraś gazeta atakowała widocznie kiedyś pana Mieniewskiego, że publicznie jadł kawior w restauracji Excelsior, a więc w lokalu swego wroga politycznego, to jest marszałka Stachowskiego. Gazeta twierdzi, że leader w hotelu Excelsior, — pierwszorzędny hotel i restauracja i zakład i lokal i wogóle pod każdym względem, — popijał kawior burgundem. Cytowano tam nawet dokładnie markę owego burgunda.

Czy burgund, — pani Stanisława przymrużyła oczy nad tym ustępem polemiki, — idzie do kawioru, czy nie było tu bardziej na miejscu białe wino francuskie? Kawior jest w pewnym sensie rybą przecież? Rybą w stanie załączka, — lecz rybą? To pomyślała dyrektorowa Kostryniowa na marginesie polemiki.

W tomie pism polemicznych odpowiedział na zarzuty „objadania się kawiozem” leader Mieniewski bardzo dowcipnie i rzeczowo i nawet nie bez łezki, nie bez pewnego delikatnego zgrzytu.

Powolywał się na stan swego zdrowia i na zlecenie lekarzy. Stwierdzał, że wolałby móc trawić ciężki chleb razowy, niż stymulować serce burgundzkiem winem. Był tam jeszcze dowcipniejszy passus, że jeżeli komuniści do Lenina sprowadzają tak drogich lekarzy-specjalistów, podczas gdy równocześnie w Rosji iluż robociarzy choruje tak samo, jak Lenin — to leader polskiego ruchu robotniczego raz na rok, czy na dwa może wypić pół butelki burgunda.

Pani Kostryniowa nie lubiła żadnych porównań z Rosją. Żadnych! Mniejsza o porównania, napewno pan Mieniewski lubił zbytek i pewien wykwint i właśnie niewiadomo dlaczego to ukrywał? Widziała przecież u niego w Banku Robotniczym bardzo piękne dywany. Dobrze to tylko mogło świadczyć o człowieku, — że nie był zupełnie nieczułym na piękno kulturalnego życia.

Z ogółu tomów i broszur, poświęconych leaderowi Mieniewskiemu wynikało, że miał nieustannie do czynienia z robotnikami. Nie takie to wesołe! Ciągłe i ciągle miał do czynienia z tem, co nazywano w tych ksiązkach — klasą robotniczą.

Stanisława znała tych ludzi. Tak, tak, wiecznie to samo, — że za dużo pracują, a za mało dostają za to pieniędzy! Zawsze to samo.

Dzięki lekturze ksiązek o panu Mieniewskim, — swoim do pewnego stopnia dłużniku obecnym, — widziała teraz pani Stanisława nieznośnych i nie-

słownych robotników, tę „klasę robotniczą”, w całym odmiennym świetle, — jako naukowy gatunek, czy całkowicie różną odmianę człowieka.

Pan Mieniewski był wodzem tego gatunku. Był najlepszym z nich wszystkich. A ten najlepszy z nich wszystkich ubiegał się o jej łaskawe względy. Rozmawiał z nią zapewne dłużej i chętniej i uprzejmiej i *głębiej*, niżby to raczył z którymkolwiek z pośród swych towarzyszków.

Miała więc pani Kostryniowa głęboką satysfakcję i z tego, co czytała i z tego, że czytała.

Tak, nie trzeba się mścić! Któżby tu mówił po tylu, takich przejściach o zemściel Niemniej przeto ci, którzy nie raczyli pomieścić o Feliksie ani słowa nekrologu w swych gazetach partyjnych, byli teraz poniekąd *na łasce* swego nieżyjącego dyrektora. Jeszcze z za grobu siłą swej oszczędności on ich wspomagał i on dalej prowadził. Nie chodziło tutaj o żadne zemsty. Najwyższą radość, spokój, błogość, osłodę wdowieńskiego losu stanowił dla pani Kostryniowej fakt, że ona sama, tak ogromnie zajęta kiedyś w Osadzie gospodarstwem i wymogami niešťczęsnego Feliksa, — może sobie teraz spokojnie czytać, kiedy chce, o czym chce i nawet nie romanse, lecz właśnie coś z nauki, więc dajmy na to chociażby socjologję?....

Z zawitych bardzo dowodzeń o nadwartości nie rozumiała wiele. Ale to nie szkodzi. Tem pilniej wnikła w te stronicę, na których leader Mieniewski stawał się dla niej zupełnie niezrozumiałym. W czasie bowiem lektury takiej, trudnej i całkowicie nie-

pojętej, zjawiał się w myślach pani Kostryniowej — dyrektor Coeur...

W pierwszym zaraz czasie po katastrofie erasmowskiej i po śmierci Feliksa nie mogłaby znieść tego. Przebywał wtedy coprawda Coeur właśnie jak na złość, pośród jej wspomnień i pani Stanisława przerażona, bezbronna, jedną wtedy miała tylko obronę przed tą zjawą: — gdy była sama — krzyczeć.

Gdy jacyś ludzie znajdowali się w bliskości, mruzczyć przez zaciśnięte wargi przeciw zjawie. Mruczeć tak długo i tak usilnie, póki zjawa potworna nie przepadnie!!

Dzięki czytaniu książek społecznych lidera Mieniewskiego, tak trudnych książ o *masowości* ludzkiej, — Coeur wcale już nie straszył pani Kostryniowej. Doznawała nowego, nieznanego dotychczas poczucia *własnej myśli* i wogóle, — powagi ludzkiej.

Czytała, — studjowała. Studjowała, kiedy się jej żywnie podobało, przed obiadem, czy po obiedzie. Zgłębiała naukowe dzieła. Mogła była przeczytać po czterdzieści, czy pięćdziesiąt stronic traktatu na jedno posiedzenie, i cóż? Nie rozumiała zbyt wiele, a może nawet całkiem nie dużo, a może nawet nic? To nic! Rzecz zrozumie się sama, później, nie od razu może to wchodzić w krew i w mózg. Ale ta cicha satysfakcja godności umysłowej?!

A to, — że Coeur?... — Że się stała jego ofiarą na kilkanaście godzin przed wybuchem Erazma?!

No więc, w świetle naukowych rozważań, gdy się przyjmie, że teraz jeszcze ich całożyciowa oszczędność, oszczędność ich obojga, Feliksa i Stanisławy, — przyczynia się do rozwoju tak wielkiej instytucji kre-

dytu dla biedaków... W świetle takich rozważań, kto wie, czy gdyby się tak dowiedziano o postępku Coeura w bibliotece Staszica, — kto wie czy potomni nie powinnyby wbudować tablicy pamiątkowej właśnie tam, w ten dom, — gdzie żona dyrektora musiała oddać honor swój za sprawę ogólną!...

Wolałaby dać życie, z pewnością, — jak ta Wanda z legendy, co nie chciała Niemca Raczej życie oddać, — niż stracić cześć! W świetle naukowych badań i pod ich wpływem zastanawiała się pani Stasława nad temi zagadnieniami zupełnie spokojnie. Czemu sobie wytłumaczyć, że jednak nie oddała życia i ostatecznie straciła *tylko* ów honor i cześć?!

Ksiądz kanonik z Osady Górniczej, — ten sam, który księdza Kanię wypoliczkował podczas pogrzebu ofiar erasmowskich, człowiek dzielny, przytomny, przyjął podczas spowiedzi do wiadomości, że pani Stanisława została zgwałcona. Przepytał się o wszystkie szczegóły tego faktu, udzielił rozgrzeszenia, nie pozwolewszy jednak wyznać penitence *kto* ją zgwałcił.

Ksiądz kanonik oświadczył wówczas, że nie należy to do rzeczy, z którą, pomimo rozgrzeszenia musiała sobie dać jakoś radę sama Stanisława.

W historii poszczególnych narodów mówi się zawsze, — raczej życie swe oddać, niż honor. Pani Stanisława mogła się była przecież bronić, mogła była, na przykład, — pogryźć Coeur'a, miała zawsze doskonałe zęby. Nietylko piękne, — glazura śnieżno-niebieskawego odcienia, — ale mocne i zdrowe. Dlaczegoż więc nie gryzła?!

Myśl o zmysłowych żądach, ukrytych pożądaniach, o jakimś wielce modnym freudyzmie, to jest

o teorii, że co tylko przydzie człowiekowi do głowy trzeba odrazu zrobić, — tak mówił o tej teorii kiedyś kanonik podczas przedwielkanocnych rekolekcyj, — tę myśl przekreślała pani dyrektorowa z całkiem czystym sumieniem. Być może, iż parę lat temu odczuwała *to i owo*, jeszcze jak odczuwała w *tym kierunku*, a dlaczegożby nie?

Widać, że całkiem legalnie odczuwała *wtedy* niepokój zmysłów, skoro nawet tu, teraz w Warszawie, we wszystkich lokalach publicznych i wogóle w życiu potocznym i nawet w tramwajach odwracali się za nią mężczyźni, jak się zwykli odwracać za tak zwaną pięknoscią kobiecą.

A więc, jeżeli kiedyś był i może nawet teraz trwa jeszcze pewien niepokój zmysłów, — zawsze umiała nad nim doskonale panować. Wystarczyło chociażby parę chwil pomyśleć o pożyciu z biednym Feliksem, by wszystko *w tym kierunku* odeszło na plan ostatni.

A jednak poddała się Coeur'owi mimo, że Coeur miał się starać o Zuzę? Czyż poddała się tylko w obawie skandalu? Gdy legendarna Wanda skoczyła w nurty Wisły, wynikł też z tego powodu w owoczesnych czasach i sferach swego rodzaju skandal. Koło każdej wielkości, pani Stanisława widziała to dowodzenie chociażby z pism polemicznych Mienniewskiego, — płacze się nieco skandalu. Dlaczego więc stało się ostatecznie *tak*, a nie inaczej?

Pani Stanisława przez wiele miesięcy i to pośród najrozmaitszych życiowych doświadczeń nie mogła była wytłumaczyć sobie swego postępku. Teraz, w spokojnej ciszy pensjonatu, otoczona szacunkiem ludzkim, pochylona nad naukowem dzie-

łtem socjologicznem, natchniona osobliwą godnością umysłowego doskonalenia się, — zrozumiała nareszcie wszystko w *tym kierunku*...

Podobnie, jak klasy społeczne, czy poszczególne jednostki (naprzykład taki Mieniewski), tak też i poszczególni ludzie mają swe misje do spełnienia. Gdyby ksiądz kanonik dowiedział się o nazwisku winowajcy, byłby z pewnością nie tylko rozgrzeszył, ale byłby napewno sam zwrócił uwagę na *fakt misji*. Gdyby w danym wypadku zbrodniarz, przez to zgwałcenie, nie sięgnął był dna zbrodni, nie mógłby być tak srodze ukaranym i sprawiedliwości nie stałoby się zadość. I nie byłoby później wybuchu — i Feliks może żyłby jeszcze teraz?..

Ach, to już stawało się doprawdy niepojęte! W związku z powyższemi przypuszczeniami doznawała pani Kostryniowa na myśl o śmierci Feliksa, uczucia ulgi, odpoczynku?! Czyżby więc, oddając się wtedy Coeur'owi, pracowała, ach, zarabiała własnem ciałem nieszczęsnem na śmierć Feliksa i pośrednio, na przyszłą swoją wolność?!

Cóż znowu, wszakże Feliks umarł, jako człowiek chory na serce. Prawdziwa *misja* polegała i dziś polega na tem, by Coeur *miał co*, oraz mógł odpokutować i by ci, którzy zawsze szarpali tylko Feliksa, teraz-gdy go nie stało, byli dalej na jego łasce.

Przebaczenie, tak, — przebaczenie!

Na takie przebaczenie zdobyć się może tylko człowiek, który pojmuje życie pozagrobowe, oraz wynikającą z pozagrobowego życia żywą ciągłość tradycji.

Właśnie teraz na tle tych dzieł socjologicznych,

na tle obcowania z Mieniewskim zrozumiała pani Kostryniowa jak najdokładniej, co to znaczy być wyższym i lepszym człowiekiem. Nie jest się temu wcale winną, że się zostało, czy urodziło lepszą. Niema tutaj powodu do żadnych uczuć dumy. Ale kto raz poczuje szczerze, że jest lepszym, ten już wie o tem istotnie raz na zawsze. I ten dopiero zaznać może w swem życiu rzeczywistej harmonji.

Harmonja ta sprawiła, że pani Kostryniowa zrozumiała dopiero tu, w Warszawie, po tylu latach pośpiechu, szamotania, iż może się nie śpieszyć. Nie śpieszyć się, to dużo, to czas, posiadany na własność. Nie śpieszyć się, to znaczy nie krępować się innymi, czekać tylko na siebie samą, na innych już nie czekać, robić, — wszystko do końca, jak się marzyło zawsze, że ma być wykonane, — wszystko! Kąpiel, ubranie, wizyta, obiad, sen, czy książka.

I nawet uśmiech. Powolny, tak cierpliwy, przed lustrem, rano, uśmiech pełen szacunku dla swoich pięknych oczu, tak pięknie wyrównanych brwi i piersi tak foremnych, że mogłaby ich pozazdrościć każda młoda dziewczyna. Piersi foremnych a równocześnie, jakby nacechowanych duchowem posłannictwem, szlachetnych i samotnych, już do końca życia nikomu zmysłowo niepotrzebnych, tem spokojniejszych właśnie, tem wznioślejszych.

Szczęście najzupełniejsze, — gdyby tylko nie Zuza. Na czemże polegało tak nierozumne zachowanie się Zuzy?! Chyba, że na zazdrości. Widocznie Zuza odczuwała wewnętrzną równowagę, wielki wewnętrzny spokój, wielką wewnętrzną harmonję pani Stanisławy i znieść tego nie mogła?...

Kostryniowa nie krępowała córki w niczem. Po takim przeżyciu z dyrektorem administracyjnym kopalni Coeur'em w Osadzie Górniczej, niepodobna było ani krępować, ani uczyć czegokolwiek córki.

Knote nie oszczędziła przecież matce i córce wiadomości o *tem*, co je łączyło z potwornym cudzoziemcem. O, — Zuza mogła sobie robić w Warszawie, co tylko chciała.

Ułożyło się to już zresztą między obydwoma paniami zaraz od owej nocnej sceny po śmierci dyrektora Kostrynia, od owej sceny przy parowanie z pierścionków od cygar... Od owej chwili nie mówiły już z sobą szczerze, czy zasadniczo. Od tej chwili łączyła je jedynie kwestja strojów, w której istotnie polegały wzajemnie na swych gustach. Ale to było wszystko. Rozmowy szczerze, wynurzenia, poco?

Pani dyrektorowej Kostryniowej dotąd dźwięczało w uszach zdanie córki: — jeżeli nigdy nie kochałaś ojca, no, to teraz, — tem lepiej...

Tysiąc innych, serdecznych powiedzeń niczego nie odmieni. Tamto brzęczało dotąd w uszach, trafiając zawsze w sercu na rozranione miejsce. Nie mówiły od tamtej chwili, prześcigając się tylko w wzajemnej uprzejmości. W ostatnich dniach uprzejmość owa znikła ze strony Zuzy, przeistaczając się w dziwną chciwość, czy też łapczywość, czy też rodzaj kontroli?!... Kontrolę ową pokrywała Zuzanna tak tkliwą serdecznością!

Stanisława nie mogła znieść tej serdeczności. W fałszywych objawach nieszczerzego uczucia córki rozwiewało się odrazu — poczucie misji i powracał ów dawny stan duchowny z Osady Górniczej, z za-

głębia węglowego i nieomal, że nawet tamto straszliwe uczucie, czy wrażenie, czy doświadczenie, jakiego doznała pani dyrektorowa w oknach mieszkania w zakspijskiej kopalni, — na widok męża, Feliksa, gdy go tam bili zbuntowani górnicy rosyjscy i kozacy.

Tak przemierźłe wrażenie!!

Gęsia skórka na całym ciele, chłód w sercu, a za każdym uderzeniem pięści kozackiej w męża, — prawie rozkosz na własnych pochylonych plecach.

Skąd nagle owa serdeczność Zuzanny i skąd ten dziwny, tak niespokojny pośpiech?... Jak naumyślnie: — gdy Stanisława wpłynęła na głęboką wodę duchowej swojej misji, Zuza miota się, śpieszy i wciąż się niecierpliwi. I jakie rzeczy przychodzą jej do głowy! Nagle, — podział walizek!

— Przecież nie wyjeżdżamy nigdzie?

— Nie wyjeżdżamy nigdzie, mamó, ale dobrze jest wiedzieć.

Śmiech Zuzanny, drażniący, tak bolesny. I niewiadomo kiedy, wszystkie walizki znajdują się w pokoju. Na pierwszym miejscu leży najwygodniejsza walizka po Feliksie, z naklejkami hoteli — Wiedeń, Berlin, Paryż, Nizza, Boulogne sur Mer, — gdy wyjeżdżali zagranicę we dwóch, razem z Coeur'em, dawno, już dawno temu w interesach Erazma.

— Tamte trzy będą twoje, ale zato ta jedna — moja.

Twarz pani Kostryniowej oblały rumieńce, na widok tych naklejek hotelowych. A tu znów nagle cała sprawa neceserów błaha i nierozumna. Zuzie ubrdało się, że chce mieć neceser po ojcu. Stary, nie

z świńskiej skóry, lecz z krokodylej, znacznie już podniszczony.

— Nie wyjeżdżamy nigdzie?!—zawołała niecierpliwie pani Kostryniowa.

— Nie wyjeżdżamy nigdzie, ale możemy wiedzieć.

Albo ta głupia, dość przykra scena z powodu kołdry Feliksa.

— Nie widzę, mamo, nigdzie puchowej kołdry ojca?

— Czego, dziecko, nie widzisz?

— Puchowej kołdry ojca.

— Oddałam ją, kochanie, biednym,

— Komu?

— Biednym.

Na to znów Zuza, ze zmarszczonemi brwiami: — To znaczy, że od Knote dostanie ją ksiądz Kania...

Albo ta scena, tak nieoczekiwana z parawanem od cygar.

— Wszystko można podzielić, — powiada nagle Zuza, licząc z prania bieliznę.

I tu, — liczyć przestaje, podchodzi śpiesznie do parawanu i powiada, dotykając ram bambusowych tego dziwnego sprzętu:

— Można podzielić wszystko. Gdybyśmy się jednak kiedyś rozjechały — dajmy na to, gdybym za mąż wyszła, albo ty gdybyś wyszła za mąż, przy kim zostałby wtedy, ten nasz stary parawan?

I w śmiech.

Stanisława powstała od stolika, na którym obok jedwabów do cerowania pończoch, leżały pisma leadera Mieniewskiego. Powstała — przerażona. Para-

wan ów lepili kiedyś z Feliksem, dawno, gdy oszczędzali w Rosji, w pierwszych czasach małżeństwa, po urodzeniu Zuzy. W czasach, kiedy to Feliks dawał sobie pozwolenie na jedno dziennie cygaro, ale prawdziwe, hawana, półtora rubla jedno.

Lepili wtedy ów parawan w miłości wspólnej i z tęsknoty za krajem i może również niewiadomo po co, jak ludzie młodzi, gdy się jeszcze kochają, — czy udają, że się kochają?...

— Parawan ten, — odrzekła Stanisława, — należy ci się zawsze. Przecież to wszystko jest po twoim ojcu. Gdybyśmy mieli syna, byłoby może inaczej, ale tak?

Mieli kiedyś i syna, ale przyszedł nieżywy na świat. Zuza nic nie wiedziała o tem. Teraz zaś na myśl o owym synu łzy napłynęły pani Kostryniowej do oczu. Gdyby był żył, — broniłby matki i miałyby ucieczkę w nim i miałyby opiekę. Dziecko, — którego głosu nie usłyszała nigdy. Ani też nie doznała spojrzenia tego dziecka. I to już nigdy, nigdy nie powróci, — zakopane w dalekim świecie, najbliższe ich istnienie.

— Parawan ten należy ci się zawsze, moja droga.

— A widzisz, — odpowiedziała krzykliwie Zuzanna, — jak się nie rozumiemy.. Nie roszczę sobie do niego najmniejszych pretensyj. — I tu dodała słowa Kozy, które przyłgnęły do niej tak natrętnie: — Dobrze sobie, — brać kiedykolwiek ten dziwaczny parawan!?

— Nie bierz, zostaw, — mówiła Kostryniowa z niesmakiem i ze smutkiem, — przecież się nie dzielimy jeszcze.

— Dzielimy się — krzyknęła Zuzanna, — dzielimy się codziennie, każda sekunda dzieli nas coraz bardziej, wszystko, wszystko nas dzieli!!

Podeszła bliżej do matki.

Twarz pani Kostryniowej, istotnie piękna, jak rzymska kamea, — drżała nikłym podskórnym drżeniem. Z oczu płynęły łzy.

— Zapraszam cię na podwieczorek, mamę, po kawalersku, we dwie, mam maszynę Strzęgorza do dyspozycji. Na podwieczorek do Wilanowa, powiem ci ważne rzeczy, zobaczysz, że się porozumiemy i nie płacz niepotrzebnie.

Zuza nie miała nic do powiedzenia matce. Rozstawiała się teraz z domem, czy też z resztkami domu w pensjonacie. To fakt.

Podział resztek, pamiątek? Nie o to tu chodziło. Ani nawet nie o to, że się nie widywali na razie z Tadeuszem. Miała tam iść do niego, chciała iść, — ale po co? Chciała później napisać. Nie napisała nic.

Mieli się byli zmówić telefonicznie w jakiejś cukierni może? O, numer telefonu pamiętała wybornie, 11, 24, 72. Kazała zawezwać pana praktykanta Mieniewskiego do telefonu przez woźnego.

— Kto tam właściwie mówi?

— Woźny Kubera, Spółdzielnia MASŁO, Serowarnia.

— Spółdzielnia MASŁO i kto?

— I serowarnia, czyli, oddział serów.

A gdy się doczekała nareszcie Tadeusza. — Jesteś tam w serowarni, a widzisz, — tutaj ja.

— Bardzo pięknie, dziękuję za pamięć.

Zuzanna powiesiła słuchawkę. Bo pocóż mówić więcej? Po owym telefonie, ubrawszy się szykownie, jak najszykowniej w sportowy swój kubraczek z świetnymi brajtszwancami, poszła Zuza do biura Międzynarodowych Wagonów Sypialnych i tu kazała sobie zestawić całą podróż, — dla nas dwojga, jedziemy z mężem przez Sycylię, jeżeli mamy wygodne połączenia, do Egiptu.

Godziny, połączenia, ceny, nawet hotele — to wszystko na karteczce wyraźnie i dokładnie, — dziękuję panu ślicznie. Ach, jeszcze zapomniałam paszporty! Ile to może trwać?

— Trzy dni, najwyżej cztery, — odpowiedział uprzejmie dostojnik wagonowy — i będą gotowe.

Powróciwszy do domu, zaczęła się Zuzanna pakować. Oczywiście nie całkiem serjo, *ale tak*, trochę, — jak gdyby mimowoli. Wszystkie, co lżejsze sunie suknie trzeba przekładać bibułkami. Nie mną się wtedy i nie gniotą się nigdy. Szum bibułek sprowadził panią Kostryniową, — Zuzanna z krzykiem przeraźliwym zamknęła przed nią drzwi na klucz.

— Nie śmieć tu teraz wejść, bo wyskoczę oknem na ulicę! — Rozpakowała wszystko, powiesiła z powrotem na miejsce i pociągnawszy usta starannie karminem, wyszła do matki.

— Co ty wyrabiasz, Zuza?

— Co wyrabiam? Szczerze mówiąc, obliczam, kiedy się skończy nareszcie żałoba i zaczniemy się już ubierać jakoś bardziej do rzeczy. Czy mam nareszcie prawo do nowych sukien, — no, bo ciężka żałoba chyba się już skończyła? Przymierzałam u siebie, w pokoju, dawne suknie, — śmiała się Zuza. — Wyrzucę

wszystkie. Dawne moje suknie powyrzucam, — wszystkie, co do joty.

Zuza wiedziała, że procent, pobrany przez matkę z Banku Robotniczego za pół roku zgóry, — jakież świetne warunki, — nie jest znów wcale sumą tak niebotyczną, by mogły sobie pozwalać na zbytłowne wyprawy i stroje. Zuza wiedziała, że na wypadek wywrócenia się Banku Robotniczego, procent półroczny jest jedynym kapitałem, jaki wogóle we dwie posiadają. Ale to nic, tembardziej, „właśnie”, właśnie, — pan Mieniewski będzie musiał zaopiekować się panią dyrektorową, żoną dawnego towarzysza młodości. Więc jeszcze nowe związki, nowe, nowe zbliżenie pomiędzy obydwoma rodzinami.

Przez dwa dni pani dyrektorowa Kostryniowa z Zuzaną włóczyły się po magazynach. Były już u Stefani, — firma szanowna, ale za ciężkie wszystko i już „zanadto dla ziemianek”; były już w firmie Schiedenthal (dawna szlachta inflancka, skąd im się mogło wziąć na mody, a jednak w trzecim już pokoleniu tak dobrze prowadzili ten interes); były już u Struckera i u Zabierzowskiego.

Dwa dni nieustannego modniarskiego festynu, — wydały dużo pieniędzy. Stanisława nie żałowała córce, — sama chętnie zostanie w żałobie (popielatej blondynce tak dobrze było w czarnem). Dwa dni nieustannego przeglądania się wśród luster szaf lustrzanych, wśród cichych strumieni jedwabiu.

To są chyba te same jedwabie, o których marzyła Zuzanna Kostryniówna zaraz po śmierci ojca w pistacjowym swym pokoiku w Osadzie Górniczej, —

płynne, białe, urocze jedwabie stroju i przemijania,—
piękności tak zdawkowej, i wesołego zapomnienia.

Mody, mody i mody, nieustające mody!

U Schiedenthala czarna kawa o piątej, na naj-
wyższym tarasie, z muzyką jazzem i tańcami.

Nazajutrz podwieczorek świetnej firmy Zabie-
rzowskiego, na który przyleciała cała Warszawa,
urządzony w oranżeryjach i przy fontannach na we-
wnętrznym podwórku hotelu Excelsior: — udana pla-
ża, żwirem i piaskiem obramiona, namioty z pięknych
krajowych materyj, niby nadmorska restauracja.
Przepiękny pokaz letniej mody, kostjumów nad-
morskich i pyjam.

Strzęgorz dostarczył obu paniom biletów na ten
festyn, na który zbiegła się, dosłownie, cała War-
szawa. Bilety rozchwymano zawczasu i doprawdy już
dawno nie było w stolicy tak świetnego przeboju —
jak podwieczorek w hotelu Excelsiorze. Bo to —
i zdrowie rasy narodowej, — nagość, słońce, powie-
trze, konieczne oddychanie skórą, — i własny perkal,
własny jedwab, własna tkanina narodowa i własny
brzeg nadmorski, własne morze, — wielki festyn naj-
tkliwszej własności „własnościowej”.

Zbiegli się tutaj wszyscy. Rząd, przemysł, sztuki
piękne i cała dyplomacja, cały parlamentaryzm, —
okaże się nakoniec, — mówiła Stanisława do córki, —
że nawet Koza siedzi tu przy stoliku?!

Koza? Może to już przesadne z tym Kożą? Bądź
co bądź jednak siedział tu przecież sam leader Mie-
niewski, przy którymś z pierwszych stolików, leader
w podwieczorkowo-plażowym stroju, a wyglądał

w tem wszystkim, — jak rekin w popielatych spodniach.

Z Mieniewksim ksiązę Rosławski,—wszyscy mówili, że to zwyczajny, bogobojny idjota, ale wiadomo było dość powszechnie, że Rosławski, jako jeden z najpierwszych poszedł z tytułem swoim i księstwem i majątkiem i wspaniałą tradycją — między lud. Opanował na rynku sprawę nabiātu, wędlin, wyszynku piwa, ba, fabrykacji wódek, ba, — koniaków, — wcale, wcale koniaczek krajowy, pod nazwaniem Rosławiak z trzema półksiężycami.

Wtajemniczeni nie mogli wyjść z podziwu, że Rosławski uświetnia osobistą obecnością festyn Zabierzowskiego w Excelsiorze. Rosławski, jako właściciel olbrzymiego hotelu PATRIA, walczył o hegemonję w stolicy z wspaniałym Excelsiorem, — Excelsiorem marszałka Stachowskiego.

Stachowskiego widziano na podwieczorku firmy Zabierzowskiego, czyli na święcie rasy, oraz tkaniny narodowej niedługo. Ukazał się na minut pięć, może przesiedział dziesięć, ani sekundy dłużej. Przybył w stroju biurowym, — panie mówiły, że ponurym, — w marynarce z czarnej alpagi, w białej pikowej kamizelce, zły, odęty, czerwony, z oczyma przekrwionemi, jak stary zniecierpliwiony buldog.

Warczał nieustannie.

Wtajemniczeni twierdzili, że marszałek Stachowski warczy, dla zatuszowania wrażenia. Stał wszakże na czele wszystkich akcji skromności i czystości i wszelakich surowych obyczajów, walczył srodze z najlżejszym cieniem nowej ustawy małżeńskiej, popierał „nierozzerwalność“ małżeństwa, był kawalerem wie-

lu orderów papieskich, tak wysokich podobno, że, — jak mówili laicy — mógłby wymienić zażyte pocałunki z kardynałami podczas uroczystości w Rzymie na zjazdach kardynalskich.

Pan marszałek Stachowski tępi nagość pod każdym jej pozorem a tu, w jego własnym hotelu — taki ekshibicjonizm rozwydrzonej nagości!

Inni znawcy sejmowych stosunków dowodzili, że nabrano tu tylko marszałka Stachowskiego, — festyn miano urządzić pod flagą krajowych materjałów (bilans, — bilans!) oraz własnej krajowej tkaniny, — nikt nie mógł się spodziewać, że z tkaniny w ostatniej chwili wyłoni się znów nagość!

Mówiono więc, — że wręcz odwrotnie, pan marszałek Stachowski gromi służbę hotelu teraz, by swą czolobitnością nie zwracała uwagi zebranych tutaj tłumów na niego, Stachowskiego, który wdepnął w to święto, dzięki złym informacjom.

A znów ludzie zupełnie obiektywni nie chcieli słuchać ani stronników, ani wrogów Stachowskiego.

Wdepnął, — powiadali, — czy go zgwałcono, to już zupełnie obojętne. Stachowski jest człowiekiem, jak wszyscy inni ludzie, może to nawet lepiej, więc niechże się nie wstydzi tego. Nikt nie żywi do niego pretensyj, że ma tu przyjaciółkę, nikt nie ma marszałkowi sejmowemu za złe, że jego mezzo-sopran, czy alt w gromadzie wrzaskunów operowych siedzi na pierwszym miejscu, taki różowy i wypukły, jak dynia!

Obok altu marszałka Stachowskiego utwierdził się Deptuła w towarzystwie Ciaracha, wicemarszałka sejmu i jeszcze innych sympatyków z ciężkiego prze-

mysłu. Wtajemniczeni twierdzili, że jest faktem, iż Deptuła ofiarował altowi kwiatki i przedstawiał tak szumnie Kapuścika. Że, w takim razie, idzie tu też jakieś szpiclowstwo, ale jakie do licha, oraz na czyją stronę?

Pan Kapuścik przybył we wszystkich swoich srebrach, guzikach, rzemieniach i brzękadłach, granatowy i ślicznie uzbrojony. Ale cóż! Znowu Deptuła zasłania swą postacią pana Kapuścika, Deptuła, deus ex machina każdego pociągnięcia sejmowego, Deptuła, z białym sznurkiem starożytnych swych gaci, wyciekającym z pomarszczonej nogawki, poseł Deptuła, uśmiechnięty dwuznacznie, pochylony nad whisky and soda, tak piastowsko-nadmorski w słomianym kapełuszu i rozdeptanych pantoflach płóciennych.

Wtajemniczeni twierdzili, że pod *tem wszystkim* kryje się coś *innego*... Coś zupełnie innego! Jakaś umowa, spisek, czy fronda, może nowe ugody przemysłu i rolnictwa, czy też pewnych odłamów ziemian z ludowcami, czy może nawet zagraniczna intryga, — wiadomo, że hotele, to centrala wszelakiego szpiegostwa.

Ktoś słyszał coś, coś wiedział, no, bo jakżeto, — żeby Deptuła przychodził na podobne festyny, żeby Stachowski udawał incognito w swoim własnym hotelu, w obliczu Rosławskiego, na oczach dziennikarzy podczas festynu podkasanej nagości, on, Stachowski, przeciwnik nowego prawa małżeńskiego?!

Inni mówili, że najlepiej dowiedzieć się wszystkiego od obcych. Od dyplomatów obcych. Bo tu nam, swoim ludziom cedzi się wszystko ostrożnie po łyczeczce, a tamci wiedzą wszystko odrazu, aż do szcze-

głów włącznie. Tamtych nie można bujać! Jak się dowiedzieć, czego, od których dyplomatów?

Wypaplałyby wszystko najprędzej panie z dyplomacji. Papugi i indyczki, kury i bażancice i wogóle pań mnóstwo z rozmaitego towarzystwa. Ze wszystkich sfer stolicy, — istna wystawa drobiu.

Strzęgorz zamówił stółek zawczasu, przy głównym wodotrysku, opodal szklanego prostokąta posadzki, na którym miano tańczyć.

Modele bardzo piękne, obnoszone przez girlsy i artystki przeróżnych kabaretów, wreszcie wspaniały ingres na sztuczną plażę wszystkich pyjam i strojów pływackich.

Stanisława i Zuzanna zamówiły mazagran.

Miły złocisty uśmiech pana dyrektora Strzęgorza Strzęgorz wie rzeczywiście wszystko, kto z kim, a kto z nikim i która kiedy z którą, a także który z którym?... Bo to się także zdarza.

Ścisk nadzwyczajny na tym sztucznym kawałku brzegu morskiego okolonego pięciopiętrową masą hotelową, we wszystkich oknach pełno ciekawych ludzi.

Stanisława, — medaljon, — toczy cudnem spojrzeniem; tkliwy uśmiech Strzęgorza, — poprzebierane hopjesy holenderskie tańczą wkoło fontanny, która się mieni różnemi kolorami. A teraz idą nowe kostjumy morskie, — krajowe ciało i krajowe materje.

Strzęgorz wie, — to już nawet nie są artystki, bo tutaj chodzi tylko o ciało i budowę. Budowa i karnacja, sama karnacja ciała, to są chyba dziewczęta ze szkoły baletowej, a może tak, — poprostu — pobierane z ulicy?

— Doskonale złożone, — rzekła pani Kostry-
niowa.

Strzęgorz uśmiechnął się raz jeszcze błogiem
zamgleniem źrenic, orkiestra znów zagrała walca.

— Walc taniec niespożyty, — powiada Zuza.

Fontanna mieni się nowemi kolorami, zdaleka,
niby świegot olbrzymiego ptactwa, nadpływa szczęk
naczynia. Zuza śmieje się miło do kuzyna Strzęgorza,
a znów sercem swem? Ginie, umiera i omdlewa, gdyż
poprzez szczęk naczynia i czarne plamy fraków kel-
nerskich, poprzez wszystkie stoliki i wszystkie okna
pięter hotelowych, tu zaraz blisko matki i pana Strzę-
gorza, lecz zarazem tak już daleko, pijąc przez cien-
ką słomkę mazagran, — słyszy znowu wołanie owo
i hasło poniżone, żalosne, bezsensowne. —

Prędzej, Zuzanno, — prędzej...

Gdzie, — do kogo, — dlaczego i pocóż teraz, —
poco?!...

Dziewczęta, to jest pyjamy i stroje kąpielowe,
błyszczące nagiem ciałem mijają właśnie obok. I na-
głe, — awantura, rozegrana w cichym śmiechu kuzy-
na Strzęgorza!... Któraś z tych dziewcząt zawadza
nieumyślnie w przelocie tanecznym o nogę plażowe-
go krzeselka.

Wymalowana dama starsza wywraca się z krze-
selkiem na rzekomy żwir plaży. Hałas, stłumio-
ne krzyki, — dama się zbiera nieporadnie ze żwiru.
Naprzeciw niej dziewczyna prawie naga, — w cieli-
stym kostjumie; złotowłosa, foremna bardzo, białuś-
ka, mięśnie pod skórą drżą, — jakgdyby wypalona
z najlepszej porcelany. Jasne kudełki spiętrzyły się

na głowie, w niebieskich oczach przestronne zadziwienie.

Już znalazł się tu ochmistrz. W tropikalnym smokingu białym pomaga starszej damie pozbierać się ze żwiru; muzyka dalej gra. Tam przy fontannie nie widzą nawet, co się tu przytrafiło, ale tu dookoła samego wydarzenia tworzy się nagle cisza.

Strzęgorz już wie, kto jest ta dama: to żona dyplomaty.

Ochmistrz w białym smokingu stanął tuż przy cielistym kostjumie. Niewidocznie dla innych, — Zuzanna widzi to doskonale, — uchwycił tę dziewczynę dwoma palcami za skórę na łopatce. Zacisnął paznokcie. Musi mocno zaciskać, albowiem twarz kostjumu oblała się czerwienią, w której błyskają nieporadnie wielkie niebieskie oczy.

Ochmistrz coś szeptem do ucha kostjumowi, kostjum przytwierdza głowę, uśmiecha się, dyga pięknie przed podniesioną ze żwiru starszą damą i całuje ją w rękę i mówi ślicznym, płyciutkim szklanym głosem: — Przepraszam panią bardzo.

Słowa rozległy się tak śmiesznie, mechanicznie, jakgdyby nagle lalka tu przemówiła. Lalka ta stoi od Stanisławy, Zuzanny i Strzęgorza o pół łokcia. Zuzanna czuje wybornie zapach owej dziewczyny: — tanie perfumy, tani puder, materiałowa woń kostjumu, ale zarazem wybitny zapach ciała.

Ciało pachnie anyżem. Świeże ciasto, czy miód, czy tylko anyż?

— Jaka śliczna dziewczyna, — powiada cicho Strzęgorz do pani Stanisławy.

— Tak, ale pospolita, — odpowiada półgłosem Stanisława, — czy nie za długi stan?

— No, oczywiście, trudno tu szukać rasy, — uśmiecha się znów Strzęgorz.

Dziewczyna patrzy na nich, ochmistrz w białym smokingu klepie ją lekko po ramieniu, jak spłoszonego konia. Inne kostjumy pobiegły już pod dźwięk muzyki ku fontannie. Ten jeden został jeszcze i rozgląda się wkoło. Oczy niebieskie, całkiem okrągłe, zdziwione i bezmyślne, zdają się nic nie widzieć.

Jakby dziewczyna ta patrzyła raczej szpicami ślicznych piersi. Piersi są małe i białe i chyba twarde, jak z kamienia. W niebieskich oczach przepływa blask bezmyślnie, ale na odsłoniętych prawie, różowych końcach piersi ścina się brylantowym klinem roziskrzonym, rzekłbyś świetlistym klinkiem wytężonego wzroku.

Ochmistrz w białym smokingu wskazał jej drogę ku fontannie. Różowy kostjum odwrócił się w tę stronę.

Zuzanna widzi całe zajście dokładnie, widzi nawet malutkie piętno krwi, które wynikło na kostjumie z uchwytu pana ochmistrza. Zuzanna słyszy, jak Strzęgorz mówi, śmiejąc się tak poprawnie:

— Niechże kuzynka patrzy, uchwycił ją, jak rak szczypcami, ale co za dziewczyna i jaka wytrzymałość i co za ciało! Fenomenalna białość, — są takie czerwy, z nawozu, czy też z odpadków ludzkich lęgną się takie czerwy, cudownie białe, jakże się nazywają —

Zuzanna słyszy słowa Strzęgorza, ale zarazem słyszy nad sobą w szczęku naczynia i w pobrząku pie-

niędzy drobnych, przy sobie i nad sobą niepotrzebne wołanie:

Prędejj, Zuzanno, prędejj!

Uśmiecha się do matki, wstaje, mówi, — zatańczę z tą dziewczyną, — nie słucha wcale odpowiedzi pani dyrektorowej Kostryniowej.

Strzęgorz potwierdza, — ależ tak, naturalnie, zatańczcie sobie razem.

Zuzanna głowy nawet nie odwraca.

Już tamte inne tańczą z panami, albo też jedna z drugą. Różowy kostjum stoi nieco na stronie, dotyka paluszkami zranione miejsce pleców. Zuza podchodzi do niej, już są blisko. Już tańczą, już się czują w ramionach, — w rytmie.

Zuza jest w półżałobie, a tamta, naga prawie, tak gładka i tak jędrna. Zuza przymyka oczy, kręcą się we dwie po błyszczącej podłodze, kręcą się szybko w miłym szepcie fontanny, — walc taniec niespożyty.

Różowy kostjum, — (Strzęgorz powiada czerw?) — doskonale prowadzi. Niebieskimi oczami nie patrzy na Zuzę, ale przed siebie, w mętną przestrzeń hotelu. Zuzanna tańcząc, — widzi znów schody czerwone rodzinnego domu, na brzegu schodów ojca w futrze, z teczką rozsypanych papierów i, — jak od brzegu tego biegły potem we dwie, z urojoną Lenorą... Biegły w półśnie żałosci wspólnej przez jakieś korty tenisowe dziwne place, dziwne stadjony, jedna jaśniej ubrana, druga ciemniej.

Tańczą dalej, — walc ustał. Publiczność jeszcze klaszcze. Walc wzdyka się na nowo. Zuza mówi w obrocie: — Jak się nam dobrze tańczy. — Jakbyśmy były ztańczone już oddawna.

Tańczą dalej, Zuza czuje w ramionach rozkoszny chłód tego białego czerwa i pyta nagle: — Jak się pani nazywa?

I słyszy znów te same drobnutkie szklane słowa: — Ja się nazywam Lolka Romek.

Zuza wyciąga z torebki podczas tańca jeden większy papierek, — jest to pięćdziesiąt złotych. Wciska pięćdziesiąt złotych w białą garstkę różowego kostjumu i opuszcza już Lolkę Romek i wraca do stolika, śmiejąc się wesoło, choć z oczu spływają jej okrągłe prędkie łzy.

Strzęgorz rozumie takie łzy po swojemu. Kolegują z Zuzanną, są przyjaciółmi dalej, i dalej wciąż na sucho, — dyrektor Strzęgorz nigdy w rodzinie nic, żadnych kawałków dmiwierzowskich. Obie panie wolały ulokować pieniądze nie u niego, lecz u lidera Mieniewskiego. Nie zmienia to jednakże faktu, że Zuza jest lesbijką. W „węglowym środowisku" wszystko pono możliwe...

Strzęgorz rozumie takie łzy po swojemu. Jeszcze lepiej domyśla się teraz dla jakich celów obiecał dać Zuzannie klucz od swego mieszkania, na dwa dni, — sam wyjeżdża.

— Na dwa dni kuzyneczko, — tak, tak, rozumiem, zebranie koleżeńskie, jeśli się jednak zagadacie, koleżaneczki, przeczekajcie lepiej do rana, aż do otwarcia bramy, pamiętać zawsze starannie o alibi, poco ma was stróż widzieć?

Natomiast pani Stanisława nic nie rozumie, — skądże te łzy u Zuzy, takie nagłe napady?

— Nie rozumiemy się, — mówiła później pani Stanisława, gdy przechadzały się po mierzchnących

alejach Wilanowa w cichem zapadaniu wieczora. — Wszystko masz, moje dziecko, i nic ci nie brakuje a tymczasem...

Mówić jednak, rozmawiać w rodzinie to to samo, co nawznak pływać. Jedyne sport lubiany ongiś przez panią Kostryńniową. Pływanie nawznak, to jeden ruch i trzymasz się na wodzie, nie zdążysz jednak nigdzie tym jednym drobnym ruchem. A rozmowa w rodzinie: — jedno spojrzenie szybsze, jeden ruch niecierpliwszy i już wiadomo wszystko, — porozumienie jednak nie posuwa się naprzód.

Gdy oto nagle Zuzanna znów wybuchła: — że tak, a tak!...

Jakaż to masa słów, jaki pośpiech nieznośny i ostry sens wyrazów na tej cichej alei. Jedno, drugie, dziesiąte, dziesiąte i dwudzieste, — lecz nareszcie wiadomo! Zuza mówi, że chciała już odjechać, uciec z domu, wszystkiego miała dosyć. A potem znów to właśnie, co zaszło z powodu pieniędzy, zdeponowanych w Banku Robotniczym.

— Okazuje się, — mówi Zuzanna, zgrzytając głośnym krokiem po alei, — że pan Tadeusz Mieniewski jest znowu w Warszawie dla odmiany, — już Koza doniósł o tem, dobre sobie, Koza miałby nie donieść! Oni to mogą wziąć, Mieniewscy, za chęć nawiązywania, — po tem wszystkiem, co zaszło jeszcze tam, tam w Osadzie. Pyszałek, głupiec, narciarz i specjalista od głupich maści, podobno teraz w maśle znowu pracuje. Pamiętaj, — po tem wszystkiem, co zaszło, przecież dobrze wiesz sama... Wiemy chyba obydwie, jakże nam nie wstyd

teraz, chociażby na wypadek gdyby coś znowu, kiedyś?..

Kiedy — i co — i kiedy?

— Nie można nic przewidzieć, mamó. — Ostatnie słowa powtórzyła kilka razy.

Zdało się pani Kostryniowej, że córka jest wzburzona bardzo! Wzburzona jak za najgorszych czasów Osady Górniczej. Ale to nie Osada Górnicza już, — chwalić Boga, Wilanów.

Piękna architektura, szlachetne wieki znakomitej przeszłości, zegar słoneczny i słońce wciąż to samo i ta sama przyroda polska, tak skromna a tak wierna.

W tej to wieczornej chwili postanowiła pani Stanisława wystąpić z ostatnią swą zdobyczą duchową... Nie było innej rady: albo się porozumieć z córką raz *na zawsze* albo się już na zawsze rozejść. Byle już, — nie obawa i te niedomówienia, półtajemnice jakieś, albo, co gorsza, — zupełne tajemnice!

— Wszystko można przewidzieć. — od tego rozpoczęła pani Stanisława, wpatrzona pogodnym okiem ofiary to w Zuzę, to znów w głębie trawników, które za drzwiami spływały cieniem granatowym w siłą odnogę Wisły. — Wszystko można przewidzieć, a jeżelibyśmy nawet sami przewidzieć nie umieli, to jest na szczęście zawsze pomiędzy nami Ktoś, Kto wszystko za nas zawsze przewidzieć potrafi...

Zuza zachnęła się — pani Stanisławie krew napłynęła do uszu, że aż piekły. Niemniej przeto, zdecydowanym ruchem pociągnęła córkę do siebie. Przyciągnęła Zuzę do siebie z przerażeniem i — mocny Boże, — z jakimże wielkim bólem! Wziąwszy jednak serdecznie pod ramię, mówiła dalej:

— Nie odwracaj się teraz i nie patrz teraz na mnie przez chwilę. Ale uważaj pilnie. Idziemy sobie pod rękę, w tym prześlicznym ogrodzie... Nie odwracaj się. — szeptała pani Stanisława, — i nie patrz na mnie. Czy czujesz, jak mi bije serce? Czy czujesz ciepło mego ciała, ciała twojej matki? Ja czuję doskonale ciepło twego ramienia i proszę cię, — jak tu razem idziemy teraz, jak się razem czujemy, — tak należałyśmy razem —

Słowo *razem* wykrzyknęła pani Kostryniowa na zbyt głośno. — Należałyśmy razem do jednego i tego samego mężczyzny...

Trzymając się pod rękę, nie odwracając ku sobie głów, przystanęły na środku alei, obie, — jak urzeczone. W zupełnej ciszy słyhać było teraz chyba szelest jaskółek, — nisko, nad strzyżonymi szpalerami.

Pani Stanisława ruszyła wreszcie naprzód pierwsza, pociągając za sobą córkę.

— Jakże już dawno, — mówiła, — chciałam ci to powiedzieć. Nie miałam jednak sił. To dobrze. Teraz widzę, że dobrze, ztem wtedy sił nie miała. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego tak a nie inaczej stało się w t e d y. Stało się tak, — jakże ci to powiedzieć?... — Z niebywałą siłą i prostotą objawiła się tu znowu pani Kostryniowej — sprawa misji i posłannictwa. Jakże nazwać *to wszystko* inaczej?...

Stały pośrodku alei, matka z córką, straszliwie zawstydzone, milczące, — Zuza z bladym uśmiechem politowania na drżących ustach.

— Stało się tak, dlatego, — mówiła pani Kostryniowa, — abym mogła nareszcie odkupić już to

wszystko! Czy rozumiesz? Nie was, nie ciebie, ojca, czy tam kogo, czy nawet samego Coeur'a, — wykrzyknęła tak głośno jego nazwisko, — ale wogóle, bym odkupiła to wszystko, co się stało. Widocznie, że dla naszego przeznaczenia, dla naszej wyższości — wypadalo to zrobić. Oczywiście w t e d y nie miałam tego na myśli! A jednak — wyszło na to. Pieniądze ojca, na które całe życie pracował, stały się dobrodziejstwem tych, którzy właśnie tym ojcem poniewierać chcieli... Coeur nie zginąłby w szybie, wierzę w to święcie, — gdyby był nie przepełnił szali wstydu i krzywdy. Ale przecież pamiętasz! Odjechał w t e d y z koncertu, ze swojej willi, z tego jakiegoś kwartetu, — odjechał zaraz przy pierwszej wiadomości o wybuchu, na kopalnię. Mógł być przecież nie jechać, byli tam zawiadowcy, inżynierowie, ewentualnie nawet ojciec!... Więc dlaczego odjechał? Bo nie mógł dłużej m i ę d z y n a m i wytrzymać. Między n a m i o b i e m a z powodu swojej zbrodni! Dlatego, moja droga, pozwól sobie powiedzieć, że wierzę teraz więcej, niż kiedykolwiek, w Boga! I, że jestem spokojna i że jestem całkowicie szczęśliwa i że pragnę ci pomóc a tylko nie wiem, jak? I jeszcze jedno!...

Doszły właśnie nad wodę, biało-siną, miejscami znów zieloną i znów niebieską od odbitego nieba, w dalszych zaś miejscach szarą w pomroce horyzontu. Woda plotła swą falę przy brzegach drobną zmarszczką, potem zaś ku drugiemu brzegowi wyciągała się w czystą płaszczyznę, — zdało się tak spokojną, — że tylko iść tamtędy, a przejdiesz suchą stopą. Ów blask wody, ściemniony smagłością starych

pni i gęstych liści lipy, przydawał pani Stanisławie uroczystego blasku.

— I wiesz, chciałabym ci powiedzieć jeszcze, w związku z *tem wszystkim*, o czym teraz mówimy, że wierzę nietylko w Boga, ale zarazem w przeznaczenie człowieka. Wierząc w to przeznaczenie, muszę ci wyznać także, — że wierzę w nas... W wybranych ludzi. Lepszych, — czyli poprostu — w szlachtę. Może ci się to przyda na twojej drodze życia?... Możesz się śmiać, czy nie śmiać, skoro już jednak mówimy o tych rzeczach, powinnaś chyba usłyszeć od matki, co matka myśli o świecie i o ludziach. Z tego, co pokolenia myślą i przekazują jedne drugim, składa się doświadczenie. Doświadczenie, — tradycja. Ja bez tradycji z pewnością nie wytrzymałabym tego wszystkiego...

Tu, przyszła pani Kostryniowej na pamięć straszna scena wieczorna z Coeur'em w bibliotece Staszica. Stanisława objęła nagle córkę, — jakoś inaczej, — nie jak matka, — po koleżeńsku, siostrzanemu, jakgdyby tylko z żalem doświadczonego boleśnie starszeństwa.

Zuza wybuchła śmiechem, wołając nagle: — Vivat, mama! Idziemy na truskawki! Już są, choć pewno bardzo drogie, funduję podwieczorek, vivat mama! — Zuza pociągnęła panią Kostryniową biegiem, za rękę, alejami i strzyżonym szpalerem i wzdłuż ściemnionych, granatowych trawników i dalej koło bramy, prosto do restauracji.

Było stałą cechą Kostryniowej i to we wszystkich okresach jej życia, że nie orjentowała się nigdy w niczem o d r a z u, a dopiero o wiele później, gdy

dana sprawa minie już całkowicie. Cóż dopiero, gdy w odpowiedzi na najszczerze wyznanie, odkrzyknie jej ktoś — vivat, mamó, truskawkil

Biegła za Zuzą z dość wielkim trudem, w pięknych pantofelkach, nie przeznaczonych do wyścigów na żwirze. Biegła i byłaby skakała i byłaby przez wodę płynęła, w myśl zasady szczytnej, że usiłuje córkę przekonać i nawrócić i może nawet powołać do duchowego życia?!...

Gdy usiadły w restauracji, w cieniu ustronnej altanki, odezwała się wreszcie Zuza, poważnie. Czy była szczerą? Czy mówiła, co myśli? Cóż mogą wiedzieć o sobie ludzie z dwóch odmiennych pokoleń?

Żartobliwa serdeczność córki raniła panią Stanisławę każdym gestem, każdym uśmiechem. Zuza obchodziła się z matką, niby z niedoroślą i niedorozwiniętą istotą.

— Może mama ma rację,—śmiała się Zuza,—że się mama poczuwa do tej tam, jakto mama mówiła? Misji, czy szlachetności, czy szlachectwa? Czy powołania? Tylko, — coby się stało, gdyby najniespodziewaniej w świecie, jakimś cudem, przypadkiem,—zawalił się Bank Robotniczy?...

— Bank Robotniczy, — podchwyciła z szlachetną dumą pani Kostryniowa, — na którego czele stoi sam pan Mieniewski?!

— Tak, ten sam właśnie Bank Robotniczy, na którego czele stoi sam pan Mieniewski. Coby się wtedy, mamó, stało z całą twą szlachetnością i posłannictwem, misją?

— Och nie mam pod tym względem najmniejszych wątpliwości.

— No tak, — ale przypuśćmy?

— Niepodobna przypuszczać — nonsensu.

— No tak, ale w fantazji, w urojeniu, niby tak, dla przykładu?...

— Dla przykładu? — Pani Stanisława westchnęła głęboko. — Teraz służyć pieniądzom po Feliksie. Gdyby się stało z tem coś niedobrego, służyła bym naszemu dobremu imieniu.

Czy miała Zuza mówić matce, że już tak krótko owej służby „pieniądzom po Feliksie”? Że termin „służby dla dobrego imienia” bliższy jest, niżby można przypuszczać? Ileż więc jeszcze dni tego szlachectwa, dostojności, wzniosłego posłannictwa? Może dwa, — trzy tygodnie?...

Zuza patrzyła na matkę, jak na istotę, stawiającą ostatnie kroki nad brzegami przepaści. Przepaść owa, — to sprawa Tadeusza i Zuzy. W przepaści tej potonie wszystko. Dla życia, dla miłości prawdziwej, wyłącznej, obojętnej wobec wszystkich innych, tym jednym dwojgu oddanej całkowicie, tak wielkiej i niszczącej! Była to radość osobliwa, szalona, pomyśleć, jak miłość owa wciąga inne istnienia, łamie ich los i niszczy. W egzaltacji swoich nieszczęść i smutnych doświadczeń składa Zuza wszystko na ten jeden rachunek: — gdyby nie to uczucie, nie ta miłość ich dwojga, nie oddałaby matka pieniędzy Mieniewskiemu... Gdyby nie owa miłość, nie splątałyby się tak szybko i tak wstrętne obrzydliwe węzły ich trojga z panem Coeur'em. Gdyby nie owa miłość, byłby oj-

ciec żył jeszcze, nieprzytłoczony wszystkimi skandalami, które się potem zwały w takiej masie!...

Zuzanna wyciągnęła przed siebie ręce, w głęboki mrok altany, — uszczęśliwiona. Albowiem te nie-szczęścia — to były chyba znaki prawdziwego uczucia, — rzeczywistej miłości!

Zabawne, jakże żałosne troski o s ł u ż b ę „dla naszego dobrego imienia“! Zuza wiedziała przecież, że zaraz jutro, pojutrze wda się sama we wszystkie sprawy Tadeusza, by go obronić i wydrzeć z łap Deputy, polityki, szantażu, prowokacji. Rozumiała przecież z rozmów z Strzęgorzem, z niezwyklej jego ostrożności przy omawianiu najrozmaitszych personalij, rozumiała z przelotnych widzeń się z Lachowskim, ze spotkań z Kożą, — że w dniach najbliższych ma się rozegrać przełom polityczny na wielką skalę... Że w tym przełomie wszyscy będą walczyli bez miłosierdzia i nikt nikogo oszczędzać już nie będzie. Skrupi się to na starym Mieniewskim, wywleką mu też przeciwnicy z pewnością sprawę Tadeusza!

Zuza postanowiła, — wiedzona niezawodnym przecuciem, — wyjechać, nim to wszystko wybuchnie. Wydobyć się stąd, wykręcić Tadeusza, wyjechać za granicę we dwoje. A jeżeli Tadek nie zechce, — rzucić się z okna. Rzucić się z okna, bezczelnie, teatralnie.

Ach tak, — cóż to za rozkosz: — siedzi się teraz w altanie naprzeciw matki, na wyplatanem krześle, doznaje się pragnienia miłości w całym ciele, a zarazem, — w bólu najokropniejszym leży się już na

bruku. Nie jest to nic egzotycznego, — codziennie wyskakują ludzie oknami!

Uśmiechnawszy się lekko, zdjęła z palca pierścionek, rzekomo symboliczny, który dostała od ojca po bierzmowaniu: złożony z trzech brylantów, — matka, ojciec i córka.

Jest nas troje na świecie, żebyś to pamiętała, — mówił kiedyś pan Kostryń, wręczając ten pierścionek.

Trzeba to zwrócić dzisiaj, jako rzecz bez wartości, jako rzecz pozbawioną wszelkiego znaczenia.

— Weź to ode mnie, mamó, na pamiątkę rozmowy naszej. Włóż to zaraz na palec.

— Ja ci go oddam, — broniła się uparcie pani Stanisława.

— Ach, za tyle przykrości — jeden mały pierścionek!

— Jakto, co mówisz, mały pierścionek, — oburzyła się pani Kostryniowa, — wiem, że był bardzo drogi.

— Te rzeczy dziś staniały.

— Nie, dziecko, brylanty zawsze mają swój kurs światowy.

Światowy kurs! Światowy kurs... Tak się to rozplynęło między niemi, wszystko — i Coeur i wstyd i ojciec, cała sprawa w Zagłębiu i rodzinne wspomnienia, — rozeszło się to wszystko w altanie, w łagodności wieczoru i w lenistwie słów szumnych a wcale niesprawdzonych.

Ileż godzin czekania, — potem? Godziny, — wieczność godzin, — zatrzymać się nie mogą, idą, płyną i śpieszą, różne godziny, różnych ludzi i światów rozmaitych, godziny zwierząt i roślin i kamieni i go-

dziny człowieka, przeplecione nędną niecierpliwością, i jeszcze jest zawczasie, a już potem, — zapóźno!

Zapóźno, już zapóźno, pośpiech, gonitwa, szybkość, by zdążyć na ulicę Wilczą do mieszkania Strzęgorza.

To już jest tu!

U Strzęgorza w mieszkaniu chłód, jakiś zapach sosnowy, górski i nikogo ze służby, Strzęgorz wszystko załatwia akuratnie, — to przecież dziś!

Jeszcze cała godzina...

Przyjdzie, czy też nie przyjdzie?!

Zuza zaświeciła elektryczność we wszystkich pokojach. W jadalni stół nakryty na kilkanaście osób. Trzeba będzie pobrudzić potem talerze, kieliszki, filiżanki.

To wszystko, — potem, później.

Stary angielski zegar wydzwonił pół godziny. Z najsumienniejszą drobiazgowością obejrzała Zuzanna sypialnię. I łazienkę. Całe wojsko flakonów, weżetalów, lakierów do paznogi, proszków, połysków, glazur, szczoteczek, grzebieni i podpinek.

Droga do łóżka, tak, — od drzwi, prosto tędy, tuż obok szafy. Przejść raz, by potem nie rozbić tu nic w mroku. Czekająca, pogasiwszy światła w całym mieszkaniu. Gniewał ją teraz srodze list, wysłany do Tadeusza w sprawie, — w jakiej sprawie?!

O pieniądzach, — zwykła podrywka, — o pieniądzach, zdeponowanych w Banku Robotniczym; w związku z tem — komplikacje, więc konieczność rozmowy; numer domu, mieszkania.

Oczywiście, — ulica: Wilcza.

Zuza zerwała się znów, — przerażona! Zapomniała zdjąć tabliczkę z miejscowych drzwi, — mosiężną tabliczkę z tytułem i nazwiskiem Strzęgorza. Miała przecież w walizeczce dłutko, — takie rzeczy obmyśla się zawczasu. Czy nie zapóźno teraz?!

Skoczyła, ile tylko sił w nogach, do przedpokoju, na gołe ciało zarzuciła wychwycone z bocznego pokoju jakieś palto Strzęgorza i jazda, — do roboty! Jeżeli Tadek zjawi się punktualnie, — ileż to jeszcze czasu? Dwadzieścia minut jeszcze.

Dzwonić trzy razy, przy wejściu, — tak napisała w liście.

Dłutko czyściutkie, ostre, — ale żeby nie złamać paznogcia!

Emaljowany czarnymi literami na brązowej tabliczce napis DOKTÓR KAZIMIERZ STRZĘGORZ — przekrzywił się, pochylił, zawisł na ostatniej śrubie. Zuza odjęła już ostatnią — DOKTÓR KAZIMIERZ STRZĘGORZ zsunął się w dłoń otwartą. Wróciwszy na palcach do mieszkania, położyła tabliczkę pod angielskim zegarem. Ileż to jeszcze minut? Dwanaście.

Stała przed lustrem naga. Z przeciwnej ściany w mętym mroku salonu spoglądał na nią Strzęgorz; jechał konno, pokazując ją szablą.

Tak, kochany kuzynie, — zaśmiała się Zuzanna, — walczymy tu o życie. — Patrzyła na swe nogi, uważnie: przestrzelone kolano nie było wcale grubsze od tamtego. Wcale nie było grubsze.

Nagle — dzwonek! Jeden, drugi i trzeci.

Odwróciła się, susem szalonym pobiegła przez jadalnię i kancelarię Strzęgorza, szybko do przedpokoju. Jęła otwierać drzwi.

Powoli, ach, — nie pomylić tu zamków. Najprzód z łańcucha, potem dopiero zamki, górny, dolny.

Gdy wszedł Tadeusz, rzuciła się na niego tak nagle, tak gwałtownie, że zachwiał się. Oparli się o ścianę. I zaraz znowu stracili równowagę. Upadli na podłogę.

Tadek odziany przecież, — szedł tu z miasta, — ona zaś całkiem naga, plecami na podłodze, — pierściami na podłodze, w jego rękach niechętnych, twardej, zimnych, lecz wnikająca w niego ciepłem swojego ciała, niby w ścianę oporną, szepcząca słowa dzikie, proste, bezczelne, w kupie nieznośnych łachów i szmat, — gdyż cała odzież Tadeusza zrzućcana nieporęcznie, pętała się wokoło.

Tak, tutaj, właśnie tutaj, gdziebądź, tu, w przedpokoju!

Niechętni, zrozpaczeni, przejęci zgrozą i obcością, pożądaniem i gniewem, wyrzutem i rozpaczą, obelgą i pieszczotą, — że nigdy, — zawsze, — nigdy W porywie tajnych wyznań i w bluźnierstwach przeszłości, tak odmiennej, a wspólnej, a wreszcie takiej samej, — to już jest taki los!

Dwa stworzenia, spojone całkiem odmienną wolą, lecz o tym samym celu ostatecznym, — dwa wyznania odmienne — a wstyd ten sam! Czoło, które wymyśla te straszne, zimne słowa, — czoło zimne, chłodne pod rozprazoną dłonią. —

— i twoje czoło zimne, zawsze już dla mnie obce!

We wszystkim tem pieniądze zawsze, nieustannie, pieniądze, świństwo, — przemoc i krew w tem

wszystkiem zawsze! Możeby było lepiej zginąć, aby już więcej nie spotykać się nigdy!!

I znowu jęki, zrozpaczone rozkoszą, jedna wielka obelga wciąż wyznawanej prawdy i nienawiści. Pogarda bezgraniczna, — lepiej się drzeć nożami, pazurami, niż tak żyć!

Ty szukasz, ja nie szukam, ty się śpieszysz — a ja wcale nie czekam nawet, —

— Nie szukasz, ale mnie musisz znaleźć, zawsze i wszędzie, — dlatego dziś przyszedłeś tutaj — z serowarni, — znajdziesz mnie zawsze, w swoich głupich ramionach!

— Ale znajduję, — jakby to było nic, — tak, poprostu, na drodze, — dla przyjemności, — dla samej tylko rzeczy!

— To jeszcze większe szczęście! — szeptała mu do ucha. — Właśnie największe szczęście, że wszystko tak poprostu, tak bardzo pospolicie, — bezradnie, od samego początku! Od samego początku, — poznaliśmy się w restauracji Ciepłika, — aż do samego końca — i nic nas nie obchodzi! Ten strzał celny odrazu w serce, możesz mnie tutaj zabić, ale to było szczęście! Mieliśmy potem dziecko, Tadek, — nic nie wiesz o tem?!... Wyrrywają wnętrzności, wyrzucają to z krwią i potem nawet nie wiesz, gdzie to leży i wszystko jedno wkońcu, bo chcesz sobie żyć dalej, kochać się i znów cierpieć!

Tadeusz złapał ją za ramiona. Krzyczał coś, — nie rozumiała, co. Ogamiał ją, obydwie pięście wsparł znowu na jej czole i coś znów gadał, że nie powróci więcej nigdy.

— A wszystko, co ty mówisz, Zuza, — jest marne! To jest przelotna rzecz, — to nie Lenora!

Podnieśli się oboje na postaniu i znów razem upadli.

— To nie Lenora i to jest marne i to jest tylko rzecz, przelotna i zdawkowa.

— Niech będzie rzecz, — śmiała się Zuza — a cóż nas to obchodzi, niech będzie tylko rzecz, zdawkowa! Ja jestem tylko rzecz, bo tak mi się podoba!

Spletli się znowu razem i wtedy krzyknął nagle Tadeusz owe słowa, które straszliwą nocą ogarnęły Zuzannę. Wykrzyknął bowiem niespodzianie, podniósłszy głowę Kostryńiównej wysoko, ku swej twarzy:

— Moja żołądacka noc!!!...

Rozdział III.

Pieszczota myśli.

Dobrze jest być usilnie nawracanym, — trzeba, aby nas jaknajdłużej nawracano! Niebezpieczna to jednak sprawa, gdy tak się rzeczy układają, że my sami musimy nawracać....

To jedno.

Drugie: — dobrze, gdy nie działamy w żadnym określonym terminie. Gdy jesteśmy zajęci na stu rozlicznych polach. Niedobrze jednak, gdy mamy wkroczyć na jeden ściśle określony teren.

Trzecie: — dobrze, gdy jesteśmy promieniem, blaskiem. Gdy jesteśmy tylko złotym połyskiem dojrzewającego żyta. Niedobrze, — gdy zostaniemy żytem samem. Wtedy nas zetną wkońcu!

Błysk wczoraj był na zbożu, dziś jest na ściętym lesie, jutro już padł na wielkie piece stalowni, pojutrze lśni wśród długich pędów chmielu. Ale, — żyto zostało ścięte, chmiel zebrano, wielkie piece stalowni mogą się też zawalić.

Dobra jest — rzecz niestała. Wszystko, co stałe, — złe. Niestalego wietrznika muszą wszyscy nawracać ciągle, — człowiek stały służy tylko niestałym.

Dyrektor Strzęgorz formułował te zdania na swój własny użytek, nim je zapisze później w księdze swych aforyzmów. Formułował te zdania wczoraj, podczas miłego wieczoru u nuncjusza.

Jacyżto ludzie rozumni, delikatni, ci księża wyższej dyplomatycznej klasy! Sam nuncjusz, biorąc rzeczy na oko — stara mumja. W czarnej, skromnej sutannie, nikły, drobny, — ciemna chmureczka eleganckiej nicości.

Ach, jaki mądry człowiek! Istna pieszczota myśli.

Żadnemu z swoich gości nie dał, jak dotąd, nic do wyrozumienia, mówiło się o wszystkim innym, dużo o Małej Azji, o podróżach, o wyspach dzikich, dalekich, cierpliwie nawracanych, o Watykanie, o matych, może nawet zabawnych śmiesznostkach stolicy apostolskiej, — nie samego papieża broń Boże, — o śmiesznostkach niektórych kardynałów. Jednemu tylko dyrektorowi Strzęgorzowi szepnął monsignor we framudze salonu, pobłaźliwie zmrzywszy lewe oczko:

— No więc jakże to będzie wkońcu, — z a z g o d ą, czy też w p o r o z u m i e n i u...

Monsignor mówił przesłicznie po francusku, ale terminy „za zgodą” i „w porozumieniu” wypowiedział po polsku. Monsignor zaznaczył niedwuznacznie, że tylko z panem Strzęgorzem porusza tę sprawę, rozumie bowiem, że chyba tylko jeden Strzęgorz zachowuje w tych sprawach iście humanistyczny spokój, czy nawet pobłażanie.

— Te dwa terminy, — dorzucił nuncjusz, uśmiechając się z błogą słodyczą, — to dziś, podobno, dwa wielkie, ostre pługi, gotowe całą izbę sejmową ro-

zorać? Ale my obaj z panem, doktorze, nie bierzemy chyba tych spraw aż tak tragicznie?...

Istna pieśczoła myśli!

Tem większa chyba jeszcze, że dwa terminy — „za zgodą” lub też „w porozumieniu z stolicą apostołską” — miały rozstrzygać o potężnym stanie posiadania. Rozstrzygać miały — o tysiącach, może nawet milionach hektarów kościoła w Polsce. Rozstrzygać miały, czy na owe miliony hektarów, ewentualnie wykrawane z wielkich dóbr martwej ręki, wyglądać trzeba będzie zgody martwej ręki, czy też tylko porozumienia?

To, co czcigodny nuncjusz wspominał o dwóch pługach nie było wcale przesadą, lub fantazją. W całym kraju wiedziano, że marszałek Stachowski gotów jest wypowiedzieć wojnę religii o owe dwa terminy; marszałek narodowy, katolicki główny rzecznik terminu „za zgodą”, przeciwnik fantyczny wszelkich „w porozumieniu”.

Monsignor w cichej nyży swego salonu uśmiechnął się tak pobłaźliwie do Strzęgorza i wzruszył ramionami tak wytwornie, jakby tu nie chodziło o miliony hektarów, lecz o jakąś małą, nikomu niepotrzebną kwaśną łączkę graniczną.

Istna pieśczoła myśli!

Za monsignorem uśmiechnęli się wszyscy duchowni, — te stare panny męskie!

Dyrektorowi Strzęgorzowi przestąpiło coś w piersiach. W chwilach podziwu, czy w chwilach podniecenia, czy w chwilach niebezpiecznych duchowo, gdy trzeba było odpowiedzieć coś stanowczego, zdecydować się, wybrać, — innemi słowy, — stać się żytem,

a nie polyskiem żyta, stać się chmielem, a nie polyskiem na skręconych łodygach chmielu, — w chwilach takich doznawał pan plenipotent Strzęgorz nagłych drobnych arytmij. Jakgdyby mu się przenosiło serce z jednej strony na drugą. Jakgdyby serce, na podobieństwo strudzonego konia, zmieniło nagle nogę, — i przestępowało z lewej strony na prawą.

Istna pieśczoła myśli: — genjusz pozorów, pokory i ofiary. Zasada błysku, lśnienia, której nie można podważyć ani ruszyć. Wszystko hipotekowane dokładnie, — na tamtym lepszym świecie. Nieskończenie, och, — nieskończenie lepszym!

Wobec zręczności, wobec rozumu tej wybornej zasady czuł się pan doktor Strzęgorz małym, marnym, znikomym, ba nawet zagrożonym?! Jeżeli inni hipotekowali swój błysk aż tak wysoko i tak solidnie — (niebo!) — cóż na obronę własną miał on, skromny dyrektor, stuprocentowy legalista? A przecież nie czuł się pozbawionym odpowiednich zdolności.

Czyż nie dążył do tego stale, by zasiadać w najrozmaitszych sądach honorowych? Czyż nie należał do takich właśnie zaszczytnych instytucyj, sądów, komisyj weryfikacyjnych, rewizyjnych w swym dawnym pułku, w swem stronnictwie, w palestrze, wśród niezliczonych organizacyj ziemiańskich?!

Nota bene, wszędzie współdziałał, jakoby zawsze wbrew własnym interesom i wbrew własnemu powołaniu. Zasada błysku, lśnienia!

Ziemianie zdobywali pana Strzęgorza wbrew jego rzeczywistym interesom adwokackim, adwoka-ci wbrew przywiązaniom wojskowym, wojskowi wbrew zajęciom na roli, wszelkie zaś inne dobro-

czynności wbrew wszystkim najistotniejszym zajęciom zawodowym pana dyrektora Strzęgorza.

Należenie do sądów honorowych, rozjemczych, obywatelskich był to też pewien rodzaj hipoteki moralnej, dosyć chyba wysokiej! Czy można to porównywać jednak z hipoteką wiecznego życia ziemskiego? Strzęgorz uznał podczas swego sam na sam z nuncjuszem we framudze salonu, że instykt ma naogół dobry i że niepozbawiony jest odpowiednich zdolności. Zdolności nie powinny być duże, muszą być odpowiednie.

Czy były odpowiednie w porównaniu ze zdolnościami tych wszystkich męskich starych panien? Dyplomatyczni księża sztabu watykańskiego zaniepokojeni byli, widocznie, przebiegiem przesilenia sejmowego. Jakże o niem mówili jednak delikatnie, ostrożnie, cicho, a jak zręcznie?! Zorientowani byli świetnie!

Stary nuncjusz, — malutka siwa główka, pełna uśmiechu, radości i słodczy, — nie dotknął ani przez przez chwilę właściwego tematu.

Właściwy temat, to przecież w danej chwili nawet nie kwestja nader uczona i delikatna Ustawy o Reformie Rolnej lub Konstytucji.

Paragraf Konstytucji, wcześniejszej zresztą od Ustawy o Reformie Rolnej, zastrzegął Kościołowi jego „własne prawa” w odniesieniu do dóbr duchownych, biskupich, kapitulnych, klasztornych, plebańskich i kościołów. Tymczasem Ustawa o Reformie Rolnej dysponowała już dobrami temi poprzez Urzędy Ziemskie, do których wdzierali się nagminnie poczciwi ludzie Bigdy.

Ach, mniejsza zresztą o to dysponowanie! Do rozegrania sprawy wystarczyłby ów papierowy wyścig, jaki wytworzył się pomiędzy nowelami do pierwiastkowej Ustawy o Reformie a terminami Konstytucji, obowiązującej w Państwie praworząd-
nem. Wystarczyłoby tego procesu, w którym, na podobieństwo niszczących chmur gradowych prze-
walały się sprawy tak względne, jak rozumienie Ustawy, jak rozumienie sprzeczności między Usta-
wą a Konstytucją, jak rozumienie „wyższej użytecz-
ności"! Wystarczyłoby tego procesu, wygranego z pewnością zawsze przez wynajętych profesorów.

Cóż, kiedy pomiędzy spory owe wbiła lewica klin, zgola niespodziewany, a mianowicie klin pro-
jektu o Ustawie Małżeńskiej! Jak się to stało, że projekt ów wyrzuciła właśnie w tym czasie z otchłannej swej paszczęki Komisja Kodyfikacyjna?! Dość, że się stało i już projekt począł żeglować po sejmowych instancjach. Stąd nowe zamieszanie i utrudnienia wszelkiego kompromisu. Kler nie mógł przecież odnosić zwycięstwa na wszystkich polach. Jeśli zwycięży ramionami prawicy w sporze pomiędzy Ustawą o Reformie Rolnej a Konstytucją, będzie mu-
siał „popuścić” przy reformie Ustawy Małżeńskiej.

Istotny temat sporu, — to chciał powiedzieć Strzęgorz, zachwycony łagodnością nuncjusza, — brzmi właściwie: czy chcecie dalej trzymać tu zie-
mię, czy wolicie trzymać społeczeństwo za kuper?... To właśnie, zachęcony łagodnością księdza nun-
cjusza, chciał wypowiedzieć Strzęgorz. Przerażony jednakże samą chociażby możliwością tak obrzy-
dliwej gaffy, zacisnął usta.

Pieszczota myśli posunięta doprawdy do granic prowokacji: — niechże ta siwa, święta, sucha główka przyjdzie tu do nas sama z istotnym swym poglądem, — z istotnym swym kolorem! Jak w bridżu, tak jak w bridżu.

Sucha, łysawa główka nie puszczała żadnego koloru. Jakby już tutaj wszyscy, wszystkie te stare panny duchowne pogodziły się z losem i tylko teraz szukały jeszcze ratunku u swych przemożnych, skwapliwie zaproszonych gości.

Wśród gości doliczył się pan plenipotent tych właśnie osób, które stanowić miały podporę nowego kompromisu sejmowego pomiędzy wielką własnością a chłopami, dobrymi ludźmi Bigdy. Dobrych ludzi nie zaproszono, może tu byli wcześniej, lub może później zostaną powołani?...

Trzeba to będzie zbadać u Deptuły.

Wśród zaproszonych dzisiaj byli książę Rosławski, znakomity właściciel hotelu PATRIA, zarazem przeor, czy komtur jakiegoś wymarłego zakonu rycerskiego, pan ordynat Lachowski, na którego książę Rosławski patrzył świadomie zgóry, chociaż bowiem hrabia Lachowski przewyższał długami swemi wszystkich arystokratów, rodem swym jednak nie mógł się równać z Rosławskimi. I wreszcie on, dyrektor Strzęgorz.

Przeciwstawiono tym panom biskupa Bokaniewicza z jego najlepszą świtą. Marszałka Stachowskiego nie było, oczywiście.

Nie było go ze względu na impetyczny charakter. Prawdopodobnie nie było go też ze względu na

obecność księcia Rosławskiego. Panowie ci należeli do tego samego stronnictwa. Od chwili jednak, gdy Stachowski skasował w swym hotelu aprowizację i alkohole, idące z dóbr księcia Rosławskiego, sytuacja pomiędzy księciem a marszałkiem stała się już nie do zniesienia. Zamiast marszałka wystarczał tu aż nadto chyba ksiądz biskup Bokaniewicz. Ogromny i wyniosły psuł robotę nuncjusza!

Gdy nuncjusz najdelikatniejszym manewrem prowadził swą subtelną dyplomację, wspominając wyraźnie o możliwościach układu, porozumienia... Gdy nuncjusz wykazywał niemałą ustępliwość w zakresie ewentualnej Ustawy Małżeńskiej, silnie natomiast trzymał się brzmienia artykułów Konstytucji („Kościół rządzi się własnymi prawami”), — ksiądz biskup Bokaniewicz huczał pięknym barytonem równie mocno z powodu sprzeczności między Ustawą o Reformie Rolnej a Konstytucją, jak też z powodu Ustawy o Prawie Małżeńskim.

Zupełnie zrozumiałe, — ucieszył się do swoich myśli Strzęgorz. — Ksiądz Bokaniewicz trzymałby nas najchętniej z obydwóch stron: za ziemię i za kuper!

Po tak płochy refleksji zdobył się jednak pan Strzęgorz na refleksję drugą, o wiele rozumniejszą: jeżeli nuncjusz asekurował sobie wpływy pośród nowego bloku, pocóżby biskup miał mu tu psuć robotę?... Dyrektor Strzęgorz przestraszył się i znów omal mu serce nie przestąpiło z lewej na prawą: — biskup psułby robotę nuncjuszowi? Nieprawda! Maskowali się obaj i nuncjusz i ksiądz biskup Bokaniewicz... Asekuracja, równocześnie zaś reaseku-

racja, na następnych stopniach hierachji pewno znowu to samo, aż do samego nieba!

Strzęgorz poruszał się z zachwytem w pałacu nuncjatury właśnie dlatego, że się tu czuł może trochę jak w niebie. W zasadach owej reasekuracji tyle delikatności, tyle dobrego wychowania i tyle trzeźwej myśli. Poprostu, — dobrze wychowana wieczność. Okazuje się tutaj całkiem dowodnie, że i wieczność można wychować.

Coprawda w pewnej chwili powiedziano tu panu dyrektorowi Strzęgorzowi więcej, niżby mógł się spodziewać... Stało się to pod piękną palmą w miłym kącie salonu, w poblasku świec woskowych, pośród wytwornych mebli. Wszystko tu wszędzie takie: i meble i nie meble; niby mebel, a może klęcznik?.. Niby przedmiot, a może objawienie?... Nie klejnoty, nie złoto, nie drogie kamienie, nie hafty, lecz w złocie i w kamieniach, w przepięknych haftach wyrażona jedynie prawda nadziemska ofiary i ubóstwa!

Pośród tak symbolicznych przedmiotów układany prałat Stuck w rozmowie cichej, skromnej, tak mile prowadzonej dał do wyrozumienia Strzęgorzowi, że wiedzą tu o panu plenipotencie — wszystko...

Przeplatane to było anegdotami, domysłami kami, cytatami z ojców Kościoła, wrażeniami z podróży po Ziemi Świętej. A zakończyło się uprzejmie, połączoną możliwością eksportu cukru do jednego z małych krajów katolickich, oraz, gdy pan dyrektor Strzęgorz, mimo tej propozycji, nie zmienił abstrakcyjnych uśmiechów, — możliwością znacznego pośrednictwa sprzedaży lokomotyw, do świeżo nawró-

conej wierniej, względnie coraz wierniejszej kolonii afrykańskiej.

Jeżeli tak, to w takim razie, czego chce Bokaniewicz? Jeżeli jutro dowie się Bokaniewicz od nuncjusza o przyjęciu oferty przez Strzęgorza i — dajmy na to, — wysypie całą sprawę przed hrabią Lachowskim?! Że Strzęgorz gra na własną rękę?... Można grać w ciuciubabkę z Lachowskim, nie gra się jednak gier takich z panem Bigdą. Nie można robić dwóch kompromisów naraz.

Bigda nie szedł, jak dotąd, na żadne rozgrywki z duchowieństwem. Zachowywał to sobie, widać, na później. Nie wypowiadał się dotychczas w tej sprawie. Jakgdyby dobra martwej ręki nie istniały na świecie, i nie istniały w Polsce.

Lepiej tedy zachować czyste ręce i być usilnie dalej nawracanym. Dawno już nie smakowała dyrektorowi Strzęgorzowi kolacja, jak tu właśnie. Nie dlatego, by prowadzono w nuncjaturze specjalnie świetną kuchnię, była tu ona nawet poniżej dyplomatycznego poziomu. Wszystko skromniejsze, chudsze, a wina nie francuskie. Pożywienie tutejsze jednak, jak sprzęty i jak słowa, miało raczej charakter obrzędu, niżli sycenia głodu.

Strzęgorz cenił wszelkie obrzędy, narówni ze stopniami, rangami, odznakami. Jak się stało, że po kolacji, rozmawiając o symbolach obrzędu, pracy, walki, honoru i działania domówili się we dwóch z prałatem Stuckiem do tak zastanawiających i tak poufnych rzeczy?...

Kim był ów prałat o twarzy kilkunastoletniego

wyrostka, siwy, uśmiechnięty? Mówił dobrze po polsku, ale tak samo władał obcemi językami. A kochał wszystkie kraje narówni, chrześcijańską miłością. Pono całował kiedyś nogi swoim zaciekłym wrogom, — sam opowiadał o tem z rozrzewnieniem, — całował je, przechodząc dyscyplinę klasztorną. Nie mogąc teraz nawrócić dyrektora Strzęgorza ani na cukier, ani na pośrednictwo przy afrykańskich lokomotywach, opowiadał przypowieść wcale złożoną a wkońcu bardzo prostą.

Wynikło z niej wyraźnie, jak na dłoni, całe życie plenipotenty Strzęgorza. Owszem, mile jest być nawracanym, nie do takiego jednak stopnia! Z przypowieści wynikło życie pana doktora Strzęgorza, poprzeplatane przykładami z żywotów Świętych, spływające tu nagle, szybko, tak niespodzianie pośród wazonów, palm, oraz kosztownych krucyfiksów... Życie pana Strzęgorza spływające wśród tak uduchowionego zbytku, — niby szary strumyczek marny!

Ksiądz prałat, opierając się na jakichś przykładach rodziny patrycjuszowskiej, osiadłej w Koryncie, — nie omieszkał wytknąć panu Strzęgorzowi pochodzenia... Prałat wiedział o matce doktora, wprawdzie z dobrego domu, lecz ostatecznie, później, — baletnicy, — nim znowu zamąż wyszła, — właśnie, że tak szczęśliwa, iż *nakoniec*, — jako matrona... Tak, tak, jako matrona błyszczała już wszystkimi cnotami...

Ksiądz prałat wiedział o interesach ojca pana plenipotenty Strzęgorza, przegranych doszczętnie w karty i nawet o papierni... Dawny zarząd papier-

nią, rzecz, która doprowadzała Strzęgorza do wściekłości. Pan Kazimierz był wówczas jeszcze dzieckiem, pamiętał jednak zawsze jakąś szopę z ogromnymi płachtami papieru, schnącemi wciąż na słońcu.

Od tego czasu po dzień dzisiejszy nie mógł jeść naleśników.

Ksiądz prałat wiedział wszystko o secesjach, czy też błędzeniach dyrektora Strzęgorza wśród formacji wojskowych, jeszcze w dawnej Rosji, od prawa znów ku radykałom aż do lewa.

Nie, nie mówił, by posunięto się już za daleko aż do jakiegoś wiarołomstwa, czy też brzydkiej ugody z bolszewikami. Iluż najlepszych chrześcijan w czasach pierwszego chrześcijaństwa pod powłoką obywatelstwa rzymskiego nosiło już znak krzyża!

Ksiądz prałat nie mówił, by posunięto się zadaleko, wspominał jednak przelotnie, mimochodem o jakiejś sumce, o pewnym fundusiku, pobranym kiedyś na jakoweś podróże służbowe, z którego to funduszu nie było wyliczenia...

Ksiądz prałat wiedział znakomicie o wszystkich, ale to wszystkich interesach pana plenipotenty. Tu, mało brakowało, by pan Kazimierz nie dostał znów arytmji. Serce mu podskoczyło w górę, może zaledwie o kilka milimetrów; lecz kilka milimetrów różnicy dla organu tak czułego jak serce, — to już dużej! Napewno dużo, skoro zaraz przez oczy jąła przepływać krew czarnemi kółeczkami.

Ksiądz prałat wiedział nawet o małżeństwie Strzęgorza, zawartem dawno, dawno, tuż przed woj-

ną, zupełnie bez znaczenia, ba, jeszcze w Petersburgu, z córką wicedyrektora państwowej kolei, Wierą Ignatjewną Sudowkiną, która później uciekła na Kaukaz, później gdzieś przepadała, a teraz pono „występuje” w sowieckiej dyplomacji.

Ksiądz prałat wiedział, raczej domyślał się, że pan dyrektor nie mógł dotychczas „chyba” przeprowadzić rozwodu, a przecież niech się zdarzy okazja, — mowy tu niema o okazji w grubem znaczeniu słowa, — niech się zdarzy jakieś uczucie wielkie, godziwe, no, to znów wtedy, ileż z tem będzie nagle zamieszania!... O interesach nie mówił prałat bezpośrednio. Przypominały mu się tylko przykłady innych dość ważnych ludzi, w innych podobnych krajach z dziejów starożytności.

Starożytność, istna kopalnia cnoty i przykładów! Przykłady ludzi, zdarzeń, losów i przygód, a zakończenie później następuje albo w wielkiem nieszczęściu, albo przez nawrócenie grzesznika, ale dopiero już na łożu śmierci.

Wynikła z tego wszystkiego, — ale jak, ale kiedy, — z czasów katakumb i pierwszych chrześcijan w Rzymie i Małej Azji i wysp greckich i wielkich bogactw Tyru, wdzięczna przypowieść o pożyczce jakiegoś wyzwolenca dla pewnego rzymskiego senatora...

Strzęgorz poczuł się w tym momencie granitową skałą. Doprawdy, tego było zawiele! W takich wypadkach wstrzymywał pan dyrektor „kawały” swego serca. Żadnych arytmij i żadnych przestępowań z jednej strony na drugą! Pan plenipotent wie-

dział, że gdyby uległ teraz, gdyby utracił panowanie nad sobą, — mógłby przegrać zbyt wiele. Uśmiechnął się. Wypogodziwszy czoło, zaśnił lubym połyskiem foremnej swej postaci i czekał najcierpliwiej.

Granitową skałę świdruje teraz świder, poruszany nie sprężonem powietrzem, lecz sprężoną siłą historii. Siła historii zakończona jest ostro i dokładnie spojrzeniem fijołkowych źrenic księdza prałata.

Świder pracuje głębiej i jeszcze, jeszcze głębiej.

Strzęgorz zrozumiał dobrze, że jeżeli choćby na jedną chwilę odwróci swe spojrzenie, przegrał! Należało więc nieustannie i bez drżenia powieki spoglądać w dwa fijołkowe krążki. I można to wytrzymać doskonale, byle nie patrzeć swym rzeczywistym szczerym wzrokiem. Pomyśleć o czemś innym! Spoglądać przez zasłonę zupełnie innej treści. Jął szukać niecierpliwie, ach, nawet rozpaczliwie pośród wspomnień, czy asocjacji... Przypomniała się panu plenipotentowi niedawna miła scena, — dziewczęta, razem tańczące na podwieczorku w Excelsiorze, Zuza z tą drugą w różowym kostjumie kąpielowym.

Ta druga, — tańczył z nią potem nawet sam pan Strzęgorz, ach, jakież ciało twarde, zimne i gładkie, jak z wody, ale suche, — jakże się nazywała, zabawne, Lolka Romek! Strzęgorz spoglądał równo i bez wahania w dwa fioletowe krążki, lecz równocześnie, jakby dotykał źrenicami skóry tamtej dziewczyny, tej śmiesznej Lolki Romek. Jakby opalał, czy też może smarował źrenicami skórę

tej Lolki tak niesłychanie białą; skórę, okrągłość bioder, oraz skupiony miąższ elastycznego brzucha.

Tak, muszę sobie sprokurować tę modelkę, — pomyślał i rzekł cicho do ucha prałatowi: — Ksiądz prałat myli się, pomimo wszystko. Ja przecież nic nie znaczę. Znaczy naprawdę, rzeczywiście naprawdę, sam ordynat Lachowski.

Było to prowokacją, zuchwalstwem! Prałat musiał być wiedzieć, co znaczy sam Lachowski. Ale trudno, każda metoda dobra jest tylko wtedy, gdy się ją aplikuje konsekwentnie: — żyto może być ścięte, blask przeszedł już na chmiel, gdy zbiorą chmiel, przejdzie jeszcze gdzieindziej, można ugańnić za tym blaskiem, od spraw Reformy Rolnej, czy Ustawy Małżeńskiej czy też dóbr martwej ręki, „za zgodą, lub też w porozumieniu z stolicą apostolską”, — przez wszystkie wieki, przypowieści i bajdy, — kto złapał kiedy w ręce promień słońca, lub światła?!

Rozmowa na powrotnej drodze z księdzem biskupem Bokaniewiczem utwierdziła pana pośta Strzęgorza jeszcze mocniej w poczuciu grozy sytuacji. O ile u nuncjusza brano pana plenipotentą już za jednego z przyszłych rozłamowców, tworzących razem z Bigdą nową większość centrową, o ile u nuncjusza starano się pozyskać pana plenipotentę, o tyle znów ksiądz biskup Bokaniewicz mówił już bez ogródek, jako do odstępcy, niemal do zdrajcy, czy też biblijnej „owcy parszywej”!

Ordynat Lachowski pożegnał się zawczasu. Odjechał samochodem. Nie można było na pół drogi

porzucać księdza biskupa, który dla wieczornej konkokcji wolał przejść się piechotą.

— Po obiedzie, — rzekł ksiądz biskup cudnym swym barytonem, — spocznij chwilkę, po kolacji przejdź się milkę.

Dyrektor Strzęgorz uśmiechając się do tak miłego dictum, skonstatował, że gra, rozpoczęta niedawno z Deptułą nad indykiem z kasztanami a popijana burgundem i zakończona nieomal bruderszafem, była o wiele grubsza, niżby mógł ktoś przypuścić.

Ksiądz biskup Bokaniewicz stał na straży prawicy narodowej. O marszałku Stachowskim mówił, jakby o podwładnym młodym kleryku, pokornym i posłusznym, nie zawsze jednak dostatecznie rozumnym. Lachowskiego niedostatecznie ksiądz biskup „wyczuwał”. Może z powodu zbyt wielkiej różnicy usposobień. Podobno hrabia Lachowski jeszcze teraz, mimo podeszły wiek, aż do dnia dzisiejszego grażył się wciąż w luksurji.

Po drugie, — pono hrabia Lachowski sam już nie wie, ile ma dzieci nieprawych we wszystkich kątach swej ordynacji, a nawet we wszystkich kątach kraju.

— Tak, — westchnął biskup Bokaniewicz.

Owe „tak” przejęło Strzęgorza znacznym lękiem. Wypadło ono bowiem z ust biskupa, jak wystrzał.

Odpowiedzialnym tedy za to, co ludzie mówią, że ma się stać śród stronnictw, czynił ksiądz biskup Bokaniewicz nie Lachowskiego, lecz doktora Strzęgorza.

— Pana, panie doktorze. Albowiem stara krew Lachowskich może już być zmęczona, a Strzęgorze są chyba jeszcze ciągle na dorobku?!..

Jeśli chodziło w owych sprawach, — ksiądz biskup mówił te rzeczy tak śpiewnie, jakby to były wersety z ewangelji, — o podatki, warto jeszcze poczekać. Gdy wygramy kampanję, skreślimy wam podatek majątkowy za jednym pociągnięciem.

— Ale samorządowe, gminne, — jęknął nieśmiało Strzęgorz.

— Gminne? — Ksiądz biskup Bokaniewicz wznosił oczy ku czarnemu niebu wiosennej nocy. — My znamy się na gminach. Głupstwo!

Z szumu sutanny, szeleszczącej jedwabiem, poznał pan Strzęgorz, że biskup nie posiada się z gniewu. A przecież Bokaniewicz nie był człowiekiem głupim. Miał w diecezji wschodniej sam olbrzymie majątki. Zagrożone one były planami reform Bigdy znacznie silniei, niż ordynacja. Na cóż więc liczył? Że zgniecie Bigdę? Z kim? Jak?

— Czy był pan u wielkanocnej spowiedzi? — Oto, co wyrzekł biskup po długiej chwili milczenia.

— Chodzę zawsze, co roku. — Strzęgorz ujął biskupa pod rękę na znak prawdy swych słów. Kłamał, rzecz prosta. Ujął biskupa nie pod rękę, pod łokieć, jakgdyby podtrzymywać pragnął świętą a tak ciężkim gniewem wezbraną postać duchownego.

Tam, w nuncjaturze łagodzą, politykują, — ten zaczyna ortodoksyjnie od wielkanocnej spowiedzi. Nie darmo sobie ludzie opowiadali po sejmie, że nawet Bigda z Deptułą musieli swego czasu, przed

wyborami paść na kolana przed Bokaniewiczem i w rękę go całować.

Strzęgorz kroczył obok Bokaniewicza, cicho, płynnie, jakgdyby wszystkich kości pozbawiony. Ksiądz biskup mówił teraz o nuncjuszu. O, bez żadnych ogródek. I o papieżu nawet mówił, jakby o starszym bracie, niezorjentowanym, niestety, dostatecznie.

— Gdzie Rzym, gdzie Krym, dobre, stare przysłówie.

Strzęgorz przechylił rzewnie głowę. Nie śmiał bronić papieża. Byłaby to bezczelność chyba? A przyznać księdzu rację, to znów druga bezczelność. Pan doktor Strzęgorz wolał cierpieć najsuktelniejszym, nocnym, niby żalobnym połyskiem swej postaci.

Ksiądz biskup Bokaniewicz dowodził całkiem skrajnie, że polityka Rzymu gotowa zgubić kraj.

Doszli tak na ulicę Kanoniczną, między stare domostwa dygnitarzy kościelnych. Gdy Bokaniewicz zadzwonił do bramy, aby się już pożegnać ucałował go Strzęgorz w ramię. Wówczas biskup uchwycił Strzęgorza pod rękę i podprowadził ku łukowej latarni elektrycznej. Stanęli tu pod snopem światła.

— Gniew i bezmiłosierdzie cechują wielkich ojców Kościoła, — mówił ksiądz biskup głębokim swoim głosem. — Im będziemy surowsi, tem łagodniejszą wyda się naszym wiernym święta nasza religja. Jeden tylko Bóg może przebaczyć ludziom wbrew istotnej potrzebie! Ale nam wszystkim, niegodnym Jego sługom, — wara!

Strzęgorz upuścił cylinder na chodnik, chcąc dostatecznie zaznaczyć swe nagłe przerażenie.

Przebaczać wbrew istotnej potrzebie!.. Wracając do domu pieszo, aż na ulicę Wilczą, pogrążył się pan Strzęgorz w sens tego zdania, jak w głębinę orzeźwiająco chłodną. I oto nie spał prawie tej nocy. Chłodne głębinę nie służą zasypianiu.

Przychodziły panu plenipotentowi najróżniejsze pomysły do głowy. Wszystko razem zespolone jedną obawą, — czy to jest dobrze łączyć się z ludźmi Bigdy, maszerować z Deptułą, przeciw tamtym z prawicy? Przeciwno obrządkowi i herbom i zwyczajom, tradycjom i dawnemu łaadowi? Ów dawny ład, nietylko, że był dawnym, ale może wogóle wiecznym? Była to przecież ta sama zawsze formuła panowania, wyzysku. Ludzie zmieniali się, rzecz zostawała ta sama, a przychodziły tylko do tej samej maszyny nowe, silniejsze klasy.

Nowa, silniejsza klasa ludzi Bigdy: dla utrzymania łączności czasu przeszłego z przyszłym, cenić będą na wagę złota pomocników, jak Strzęgorz. Ale gdy już zużyją, mogą nie cenić, mogą zniszczyć tych pomocników!

Teraz, kiedy nikt za nic nie ręczy, byłoby może rzeczą najbardziej wskazaną ożenić się? Albo udawać przynajmniej, że się człowiek żeni? Czy rzeczywiście myślał o tem Strzęgorz? Czy też był to jedynie wpływ magnetyczny sugestyj czcigodnego prałata z nuncjatury? A jednak, dłaczegóżby nie puścić w ruch, — zawsze tak myślał o ożenku, — tych siedemdziesięciu dwóch kilo własnej wagi, siedemdziesięciu dwóch kilo doskonale ćwiczonych

mięśni i doskonale funkcjonującego przewodu pokarmowego i sprawnych bardzo kiszki i wątroby, plus organy moczopłciowe?!

Zaczynał tę aferę zawsze przy każdym załamaniu się dziejowej konjunktury. Gdy wyjście było trudne, decyzja zbyt wiążąca, dyrektor Strzegorz rozpoczynał kochanie. A więc kocha i cierpi i może nie rozumieć, co się do niego mówi i może nie dopatrzeć wielu rzeczy, załamać się, nie zorientować. — po wyjaśnieniu odnośnych sytuacji społecznych, narodowych, czy państwowych, miłość mu przechodziła s a m a!

Obecnie, na tle pracy dla Lachowa, typował od dość dawna młodszą córeczkę ordynata. Na tle pracy w Warszawie pośród wszelakich konkurencji przemysłowych typował znów córeczkę tego idjoty pancernego, Rosławskiego, dlaczego nie?!

Wiedział o tej ostatniej, że się uczyła malować. — panna Lachowska jeździła zawodowo konno. Przyszło dyrektorowi na myśl w bezsennem majaczeniu, że Lachowska ma już z pewnością, — jakże jej było na imię? — obtarte udo prawe od łęku na siodle. Gdyż jeździła po damsku, Pani hrabina Lachowska nie pozwalała na jazdę po męsku.

Zaledwie zdążył sobie wyobrazić pan Strzegorz pannę Lachowską i pannę Rosławską, gdy mu się przypomniała rozmowa z Lolką Romek. Cóż za dziewczyna, do stu diabłów! Tylko z gnoju, z pomyjów, z nędzy może wyjść coś takiego! Tysiąc innych przepadnie, zgnije, zmarnuje się i zniszczy. A taka jedna, jeżeli już wytrzyma, to potem jest, jak guma. Lana gumal

— Skąd się tu pani wzięła, — spytał ją podczas tańca na tarasie hotelu.

— A tak, wzięłam się jakoś.

— No, a gdzie pani mieszka?

— A czy potrzebny adres?

Na to pan Strzęgorz odpowiedział: — Jestem posłem. Nazywam się Strzęgorz. Mogę teraz zapytać, jak się pani nazywa?

— Lolka Romek.

— Napewno nie ma pani stosownych znajomości. No, kogóż pani zna?

— Nikogo, może?! Pocóż znać?

— Musimy z ludźmi żyć.

— O! Zaraz żyć?... — Zaśmiała się płyciutkim, krystalicznym rozgłosem.

— Nikogo pani nie zna?

— Pana posła Deptułę znam, — chrypnęła śmiechem, — też jest poseł sejmowy.

Lachowska, albo może Rosławska na żonę, marzył po nocy dyrektor Strzęgorz, natomiast Lolka Romek, co tydzień na przekąskę.

Przyszedłszy nazajutrz w godzinie urzędowej do biur ordynacji, nie wiedział zrazu pan plenipotent, czy będzie mówił z Deptułą o tem, co mieli dziś załatwić, czy też zapyta prosto z mostu o adres Lolki Romek. W związku z owym adresem popatrzył się pan Strzęgorz do lustra. Umieszczone ono było nader zręcznie, nie na ścianie, lecz zagranicznym sposobem, za podwójnym oknem (oeil de boeuf). Widne też było jedynie stąd, z dyrektorskiego „stolca“.

Ów stolec, fotel starożytny, kryty czerwoną, a raczej purpurową tkaniną wytłaczaną, podobno bardzo cenną, należał do znanego w historii sprzętów domowych garnituru sławnych krzesel weneckich, których wogóle zostało na świecie — jeśli o taką rzadkość i styl chodzi, — jeszcze osiem. Trzy w muzeach francuskich, jedno w Hiszpanji w Escorialu, dwa w Londynie, jedno w Petersburgu (dziś Leningradzie) i jedno tu u pana Lachowskiego.

Z fotela tego musiał się być Strzęgorz przejrzeć w lustrze, aby przedewszystkiem od samego siebie o sobie samym usłyszeć wyrok sprawiedliwy. Albo witał się pan plenipotent słowem, — *Sparta*, — wówczas wszystko było w porządku: twarz smągła o ciemnych brwiach zrosniętych nad zielono-orzechowemi żrenicami, wyglądała zdrowo, czerstwo i srogo. Albo, zoczywszy swe oblicze w lusterku, mówił pan Strzęgorz jedno jedyne słowo: — *nerwy*.

Dzisiaj powiedział, — *nerwy*. Ale, jeżeli — *nerwy*, to należy zrobić z tem jak najspieszniej porządek. Dowidzenia Lolkom Romek, Bokaniewiczom, nuncjuszom et caetera. Dość już nerwów!

Co może Bokaniewicz? Dużo. Mniej jednak, niż Lachowski. Biskupi dziennik? Głupstwo. Strzęgorz prawie nie liczy się z prasą, wszyscy ci ludzie byli niemożliwie biedni, — uważał, że zawsze można ich tanio kupić. Dowidzenia, cześć, won z prasą Bokaniewicza, tembardziej że Lachowski miał przeciw swoją prasę.

Co może nuncjusz, — mówiąc zupełnie ściśle, bez nabożnych wykrętów, — w zagranicznych bankach? Banki są protestanckie przeważnie, bardzo

często masonskie, bardzo często żydowskie. Banki są ostatecznie, zawsze, wszędzie bankowe. A tu, inna muzyka, — konkordat w związku z reformą rolną, ewentualnie, ustawa małżeńska! Co sobie robią z takich drobiazgów banki?! Dowidzenia, czolem i won już z tą muzyką!

Cóż zostaje? CUKIER? CUKIER jest narodowy, katolicki, to prawda. No więc, ewentualnie, — CUKIER. Uderzają go po CUKRZE. Ileżto jest tysięcy złotych miesięcznie, w porównaniu z przeprowadzeniem pożyczki dla ordynata Lachowskiego? Dowidzenia i won z CUKREM!

Towarzystwo LOKOMOTYWA, — Bokaniewicz nie mają tam nic do gadania, na wypadek zwycięstwa Bigdy.

Towarzystwo LOKOMOTYWA, NABÓJ, — wytwórnia amunicji.

Towarzystwo ekspedycyjne POŚPIECH, — miał z tego swego POŚPIECHU pan Strzęgorz — może na papierosy. Jeżeli się interesował POŚPIECHEM, czynił to, by wygodzić prywatnym swym zamiłowaniom ruchu, pośpiechu, błysku, lśnienia, szybkości. CUKIER, LOKOMOTYWA, NABÓJ, POŚPIECH, — co jeszcze?

Konsorcjum HART! Wszystko tu jest lojalne, dali się przecież pobić przez HART, w HARCIE Bigda i żydy, małe żydy, lecz mądre. Strzęgorz miał tam udziałów niewiele, całkiem w miarę. Ach, dowidzenia, czolem i won z tym HARTEM!

Kto jeszcze? Jeżeli lusterko nie wykazuje *Sparty*, a wykazuje, — *nerwy*, — trzeba zrobić przegląd dokładny. Kto jeszcze? W ordynacji fabryka

giętych mebli WNEŹTRZE DOMOWE. Gorzelnie, — kontyngent przydzielony, — a cóż tu może zrobić ksiądz biskup Bokaniewicz, jeśli nie jest u władzy?! Sam przecież ma u siebie gorzelnie, za które możnaby go przytrzymać wcale nieźle!

Ewentualnie, — browar?! PIWO LACHOWSKIE! Nie będą pili piwa lachowskiego w dyecezzji księdza biskupa? Przecież i tak nie piją a w ordynacji wypiją bez żadnego gadania.

CUKIER, LOKOMOTYWA, NABÓJ, POŚPIECH, HART, potem WNEŹTRZE, wreszcie PIWO LACHOWSKIE. Pan Strzęgorz przebiegł jeszcze w umyśle różne drobniejsze agendy. Nie, wszystko w porządku. Pozostała więc r z e c z s a m a, nowy blok i kompromis, nowy kierunek polityki krajowej i nowi ludzie Bigdy. Te rozmaite, większe i mniejsze bigdy!

Bigda, oraz Deptuła. Deptuła miał tu odbyć decydującą konferencję z Rosławskim i z Ciarachem w sprawie zjazdu i fuzji stronnictw u ordynata. Tak, bomba niebywała, ale i czas najwyższy!...

Pan doktor Strzęgorz zatrzymał się w swych myślach. Pójść na rękę i zrobić kompromis? Tak nakazywał instynkt. Ale jednak, wyjść cało pod względem politycznym. Nie dać się zgrać, nikomu. Nie angażować się, przeczekać. Przeczekać, — to pożyczka ordynacji! Oni się tu będą zagryzać na śmierć, a on przez te miesiące pierwsze będzie bujał po zagranicy, polując na bankierów. Wahał się jeszcze tylko, czego potem zażąda? Rolnictwo, czy też Handel, który z tych dwóch resortów? zawirowało od dalekich perspektyw. Ach, że też niema, — taka dziecinna myśl

w tak zawiłanej sprawie, — rzeczoznawców, zupełnie obiektywnych, którzyby potrafili określić istotne dane każdego ministerstwa?! Normalne, ludzkie dane!...

Rolnictwo, — to ziemiaństwo, naciśnięte przez Bigdę.

Zwidział się panu dyrektorowi Strzęgorzowi — i to gdzie, tu w ordynacji Lachowskiej, w tej tak dostojnych biurach, — ów Bigda, jako premier. W związku z tem przywidzeniem przypomniła się panu plenipotentowi trawa lotniska wstrząsana wiatrem, gdy rusza aeroplan. Ową trawę, szarpaną wichrem śmigi uważał Strzęgorz za najaktualniejszy symbol przerażenia. Poseł Bigda we wspaniałym pałacu prezydenta ministrów, w pałacu premjera, może to być przerażające. Więc lepszy handel. Handel to już potrosze zagranica. No, i wogóle, o ileż bliższy zasadniczej idei polysku, lśnienia. Import, eksport, cła wywozowe, premje.

Zakotłowało przed oczyma Strzęgorza. Aby się uspokoić rzucił spojrzenie na rubryki codziennych raportów ordynacji. Leżały tego całe stosy, parafowane w najróżniejszych kierunkach.

Wyszczególnienie robocizny folwarku, dalej drukiem poprzecznym — dozór. Parobcy, konie, woły. Pod spodem słowo — dni. Robotnicy sezonowi. Pod spodem — dni. Dalej podłużnie, — należność gotówką, — wreszcie — uwaga. Przeglądanie tych rubryk uspokajało dyrektora i napelniało pewnym odcieniem żalu. Poprzez rubryki owe czytał przecież domyślnie nazwiska swoich ludzi, którym pozwalał kraść, ale którzy poszliby za nim w ogień.

Wypadnie teraz pożegnać się ze swymi ludźmi, pożegnać się z całym systemem, utwierdzonym tak pracowicie, drobiazgowo. Ogarnął pana dyrektora Strzęgorza znów żal. Bo to jest klęska, tak przywiązywać się do ludzi; do ludzi i do rzeczy. Zawsze za dobre serce. Zawsze nerwy! Zawsze za mało *Sparty!*

Aby się nieco pokrzepić i „zmontować” nerwowo, zawezwał referentów. Przewlekła, ciężka sprawa służebności, znów od początku ten sam młynek, więc *diedzina władząca i dziedzina służebna*, znoszenie służebności w trybie umownym i w trybie przymusowym, wynagrodzenie za przymusowo znoszone służebności pastwiskowe i leśne, opałowe i budulcowe i zbieranie posuszu i ściółki.

W charakterze przewodniczącego, — Strzęgorz słyszał te słowa, jakgdyby już przez sen: komisarz ziemski, — po jednym przedstawicielu każdej strony...

Pan Strzęgorz myślał obecnie z prawdziwą troską o stanie psychicznym ordynata. Rozniosło się po sejmie niedawno, że przesilenie będzie bardzo ciężkie i ważne, nawet rozstrzygające, gdyż poseł Bigda telegrafował po żonę. Po rodzinę. Kto rozpuścił te wiadomości, niewiadomo, ale trzymały się.

Dyrektor Strzęgorz zamierzał nawet wczoraj wezwać hrabinę Lachowską, z całą rodziną, z córkami i synami. Ordynat załamywał się nerwowo w sposób niewiarogodny. Dość powiedzieć, że na pierwszą propozycję o zjeździe w Lachowie nowego centrum sejmowego, zauważył:

— Chyba, że poseł Bigda przyjedzie do Lachowa, abym mu osobiście dał po papie. — On, Lachowski, który nikogo nie uderzył własnoręcznie, raz tylko,

swego strzelca za zagubienie strzelby (jakim cudem można zagubić strzelbę?!). Uderzył tego strzelca, ale później podpłynęły hrabiemu palce wodą, te same palce właśnie.

— Chyba przyjedzie do Lachowa, abym mu dał po papie.

Najdokładniej przedstawiona sprawa pożyczki zagranicznej zmieniła nieco usposobienie ordynata w tej kwestji. Nieco, — to jest zupełnie.

— Panie rotmistrzu, — w chwilach decydujących mówił do pana Strzęgorza ordynat *rotmistrzu*, — proszę jednak całkiem konkretnie referować, tak, abym ja rozumiał, ja. Nie doktor, czy też ekonomista jakiś, ale ja, ciemny szlachcic, biedny August Lachowski.

Dyrektor Strzęgorz musiał wówczas wykrzyknąć: — Panie hrabiol!

Wówczas hrabia Lachowski: — No, no, nie tak porywczol!

A wówczas znowu Strzęgorz: --- No, więc proszę, raz jeszcze przejdziemy od początku. — Pot mu sływał ze skroni. Ileżto razy przechodzili to wszystko cierpliwie od początku:

— Ordynacja znajduje finansistę, mamy takiego oddawna już na oku, — dwa banki holenderskie. Mówiono, że pracują z niemieckim kapitałem, ale to jest nieprawda, zbadalem rzecz na miejscu, niedawno. Kapitalista gotów pożyczyć, ale chce mieć gwarancję Państwa, tu więc trzeba uzyskać rozporządzenie prezydenta, upoważniające do zaciągnięcia pożyczki. Zrobić to może, to jest uzyskać coś podobnego, zde-

cydowana większość w Rządzie, która przedstawi Panu Prezydentowi —

Tu jednak, w myśl przyjętego dla tej rozmowy obrzędu, — pierwsza objekcja Lachowskiego: — Rozbijamy nasz własny obóz!

Odpowiedź pana plenipotenty: — To on nas właśnie rozbija pierwszy! Nie rozbijamy a rozszerzamy zasięg naszego wpływu! Nowy dopływ młodej i świeższej krwi.

Wtedy hrabia: — Czy myśli pan, że rzeczywiście świeżej?

Wielka obawa Strzęgorza, aby rozmowa nie stoczyła się na teren antropologii.

— Dlaczego świeższej, kiedy wszyscy istnieją chyba tak samo dawno na naszym bożym świecie?

Albo też jeszcze inna objekcja ordynata: — A nasi przyjaciele? Duchowieństwo?! Które nas zawsze dotąd popierało?

Tu Strzęgorz, jakobinem. — To myśmy popierali duchowieństwo.

Groźna chwila milczenia. Poczem, możliwość dwóch tylko odpowiedzi ordynata. Albo: — Pan nie rozumie, panie Kazimierzu, że między Lachowskimi a duchowieństwem nie może być rachunków. To jest wieczne. Albo, druga odpowiedź: — Mówiłem panu, że w takim razie, wolę już zostać żydkiem i wolę sprzedawać stare ubrania i nawet spodnie mego kamerdynera. Nie pójdę nigdy naprzekór kościołowi.

Rozmowa taka czekała dyrektora Strzęgorza i dziś jeszcze z pewnością. Patrzył sennie na obu referentów i dopiero, gdy się drzwi otworzyły z łosko-

tem, gdy wszedł Deptuła, zrozumiał dyrektor Strzęgorz w głębinie swej istoty, że pójdzie z *tymi ludźmi...*

Konstelacja, tak, konstelacja! Tak, — okres powojenny, era zdrowego chamstwa, nieomylnie na pysku tego Deptuły wypisana!!! Uzmysłowiwszy sobie to wszystko w jednym mgnieniu sekundy, plenipotent posmutniał. Odprawił referentów. Zwiesił głowę na piersi.

Deptuła zaś, na środku gabinetu, ujawszy się pod boki, — poseł Deptuła miał boki, jak stara baba, opasłe, rozstrzęsione: — A cóż to znów nowego?! — wykrzyknął. — A cóżto znów nowego? I cóżto znów za kwasy?!

Strzęgorz — jeszcze smutniejszy.

Deptuła więc, — choć znajdowali się od siebie tylko o cztery, no, może o pięć kroków, — jął tuż przed sobą kułakować powietrze. Jakgdyby owo powietrze w zasięgu tłustych pięści Deptuły było właśnie Strzęgorzem. Zbiedzonym i zmartwiałym, którego trzeba rozbudzić i rozhuścić i sflaczałego powołać znów do życia.

Strzęgorz jednak, siedzący na wspaniałym fotelu, z którego nie wstał wcale na powitanie gościa, nie doznał jakoś żadnych pociech, ani też polepszenia z tak żywotnych zabiegów. Stał się jeszcze smutniejszy. Wyrzekł nareszcie jedno jedyne słowo: — Duchowieństwo...

Deptuła huknął na całe gardło: — A, psia krew, do cholery! Mówią, że tylko o swoim Bogu myślą. Skarżą się, że są biedni! A jak tylko nic od nich nie chcieć, to zaraz leżą i pchają się, jak żydy!

Zamilkli obaj.

Deptuła podszedł bliżej, ku biurku, wyspany dzisiaj był i wypoczęty i bardzo wydobrzały. Spędził dzisiejszą noc, — jak dawno mu się w Warszawie nie udało. Cały wieczór międlili w swoim klubie warunczki przyszłego centrum i ugody z Lachowskim.

Bigda sam, osobiście kierował posiedzeniem, a czynił to tego wieczora tak sprawnie i poprostu, z takim zimnym, kamiennym spokojem, że aż się miłość Deptuły do twardego lidera chłopskiego, do tego chama, do tego szelmy, drwała, do morowego Bigdy z nadmiaru różnych uczuć w nienawiść zamieniała!... Żeby też bodaj jedno wahnięcie, niedopatrzenie! Ale nic, wszystko na swoim miejscu i oni wszyscy razem, stary Gruszka czcigodny i Kos dziobaty a wrzaskliwy i Kortys z gębą bluzgającą mściwem ukochaniem człowieka i nawet Ciarach, pełen kwasoty żołądkowej, oni wszyscy skręcali się, jakby ich Bigda rozpalonem żelazem przypiekał. Patrzyć tylko i płakać z radości i chyba takie chwile łyżką jeść z zachwytem. Każdy tu był za jakieś swoje świństwo przyskrzyniony, każdy jak gruba mucha w równiutkiej pajęczynie, bzykał boleśnie w kącie do jakiejś swej nadziei.

Była to dla Deptuły istna rozkosz: taka męczarnia ludzka, połączona z jaknajgłupszą chciwością. Takito hazard dziwny a niby bardzo wzniosły, połączony z ideą, tylko, że o idei jako wzniosłej i świętej nie wolno było mówić. Idea jest od święta, nie ma służyć na codzien. Nikt nie mówił o żadnych ideałach, szła tylko ciężka chłosta codzienna, nie po łydach i nie po udach, nie po brzuchach, czy tyłkach, lecz rzeczy-

wiście, jakby cienkim rzemieniem po samych sercach ludzkich.

Tak tę sprawę odczuwał Deptuła. Odczuwał i rozumiał tak dosłownie, że gdy poszli potem wszyscy do baru KLASA, dzisiaj bez przemysłowych bańdziochów, a tylko sami, cała starszyzna klubowa... Że gdy tutaj popili mocno, aby znów uchlać starego Gruszkę i tego osła, nibyto finansistę, „teoretyka”, psia krew, dziobatego Kosa... Deptuła sprawę rozumiał tak dosłownie, że gdy się wlepił w kanapę gabinetu KLASA, a działo się to już po wielu wódkach, piweczkach i porterze, zwłaszcza angielskim... Poczł w sobie pan poseł Deptuła coś, jakby ogień chorobliwy, bardzo potężny, z uczuciem śmierci gwałtownie pomieszany...

Ogień, pomieszany z czystym, trzeźwym uczuciem śmierci, tak wielkim, że aż panu posłowi zapachniało to uczucie smrodem trumiennym. Po deszczu pachną tak osobliwie kartofle kwitnące.

Uczucie śmierci, niby straszne, lecz bliskie i trzeźwe poleciało poprzez postać Deptuły, — tak doznawał, wyraźnie, — niby przez komin szczelny. Dunęło jednym gorącym dmuchem, jednym nagłym ziunięciem przez wszystkie, — sześć ich było, — piętra wielkiego domu, aż tam, na szóste piętro do mieszkania pani Guńkiewiczowej, do łóżka Lolki Romek.

Deptuła siedział w barze KLASA ze starszyzną klubową i — mało chyba powiedzieć, pił — chlał z kolegami. Lecz równocześnie namyślał się, rozważał, czyby też zastał teraz Lolkę Romek? Czy jest sama, czy może z kim, a jeśli sama, że warto by pójść do niej. Tylko do niej, za nic do żad-

nych innych! Gdyby naprzykład teraz, zamiast Lolki, miał pospać z tamtą nauczycielką płaksiwą z Lubelszczyzny, z tą ciełecią miękką, toby tę ciełecinę nożem na pasy pociął!

Zaczęło się powoli zlewać w oczach Deputę mieszkanie Lolki Romek z zadymionym gabinetem baru KLASA. Wszyscy tutaj gadają nieustannie! Bigda zimny, kamienny tronuje, Gruszka płacze, Kos się znowu rozgadał i wrzeszczy. Wrzeszczą już wszyscy naraz, a tu powstał sobie ukradkiem pan poseł Deputę, bo już czuje za dużo łaskoczącego ciepła w spoczonej swojej piersi. Poseł Deputę czuje, że albo teraz rzuci się z nożem na przyjaciela swego, Bigdę, albo pójdzie na górę, na szóste piętro, skrzypiącymi schodami, pociemku, w białe objęcia Lolki.

Zastał ją samą. Siedziała zgrabnie na łóżku, już w koszuli i jadła kolację; swoją smaczną, ulubioną kolację, — sardynki, te bez ości, za dziewięć złotych, świeże serdelki i czarny chleb, do tego piwo, przyniesione tu z baru KLASA, w kuflu.

W chwilach takiego pędu żywiołowego okazywał Deputę zawsze szczodrość. Stał przy nocnym stoliku Lolki Romek, wydobyl z pugilaresu dwa papierki dwudziestozłotowe. Położył je na marmurowym blacie, wyraźnie, przy podwiązkiach zielonkawych i skrzył zaraz światło.

Ale Lolka też miała swoją szkołę i też swoje sposoby. Odpychała go, biła, gryzła, — że ona wcale nie chce i wcale się jej nie śni i dlaczego nie dał jej zjeść kolacji i żeby sobą nie zawracał nikomu głowy i co będzie z hotelem dalej, z tym Ekscelsiorem, że się już przypatrzyła wszystkiemu i niczego się już

tam nie boi, pocóż więc jakieś nowe zawracanie, czy kołowanie czy romanse?!)

Było to istne szczęście, dzikie, ziemskie, zupełne, dojmujące, pomieszane przedziwnie z czerstwem uczuciem poniżenia i hańby! Deptuła czuł się tutaj błotem, szlamem, rozkiszłą masą mułu, która bez końca ogarnia i zalewa świetne ciało dziewczyny. Ztracał wkońcu w sobie wszelką pamięć miejsca i osoby! Czy to Lolka, czy jakaś inna? Nie Lolka, lecz obojętna swołocz i swołocz, nie kobieta?! Jakieś stworzenie ludzkie, nie kobieta! Żeńskie stworzenie, gładkie a podesłane, a podetkane i rozścielone tutaj do zbrukania, do zabłocenia, do zupełnego ztaraszenia!

Ale Lolka, o, Lolka! Wywijiała się ciągle, mocna i wyrobiona, zwinna a tak gładziuska przytem i zawsze pewna siebie. Strącała jego łapska, jak ciężkie płyty rozegrzanego błota, — świetnie się czuł, świetnie się czuł, och, poruszony do głębi swych wszystkich starych myśli!

— Czuję się dziś, — wołał nazajutrz rano w kancelarji Strzęgorza, — jak mamka, gdy się nareszcie wyśpi!

— A ma pan dzieci do wykarmienia? — spytał Strzęgorz surowo, jak jego wczoraj o wielkanocną spowiedź pytał Bokaniewicz.

— No, pewno, że mam dzieci, — huczał Deptuła, — wyście wszyscy me dzieci... Ja jestem wasza matka. — Powiedziawszy te słowa, złożył olbrzymie łapska na wypukłym brzuchu.

Strzęgorz popatrzył w swe zaokienne lustro. Nie było jeszcze dobrze. Ciągle jeszcze, wciąż — *nerwy*. I ani śladu — *Sparty*.

Tymczasem zaś Deptuła zaprzestał już być matką i opowiada, że wszystko idzie gładziutko, jak w programie, numerek za numerkiem, kółeczko za kółeczkiem. I z jednego tematu przechodzi se Deptuła w drugi, z drugiego w trzeci, z trzeciego znowu w czwarty. Mógłby tak gadać bez końca, bo już nabrał poczucia bezpieczeństwa i nalykał się tego poczucia, nasiąkł niem do przesytu! Do takiego przesytu, że się już nie krępuje. Nie może się krępować, chce tracić, to poczucie bezpieczeństwa, może sobie pozwolić na to! Odpoczywa tu bardzo szczęśliwie, rozwalił się na krzesle, porozpinał.

Czasu mają do konferencji ostatecznej, która tu ma nastąpić, chyba dwadzieścia minut. Należałoby może raczej uzgodnić jeszcze to i tamto, przypomnieć to i owo. Nieprawda! Deptuła rozwalił się, dobrze, kiśnie, byczy się tak widocznie, jakby już wszystko dawno załatwione zostało. Tyle ma w sobie poczucia bezpieczeństwa. Przewraca się myślami po ludziach, którzy tu zaraz mają nadejść: — po Rosławskim, Ciarachu i po Strzęgorzu, siedzącym naprzeciwko. Przewraca się wesoło, jak po skoszonym sianie. Ach, sianko to kochane!

Bo co? Rosławski zrobi wszystko, co mu się tylko każe. Mało mu pognębienia EKSCELSIORU? No, to dostanie jeszcze obietnicę na dom gry. Niech wprzód wyszuka miejsce, gdzieś pośród klimatycznych stacyj dla suchotników, czy gdzieś nad morzem, czy może lepiej w górach, koło jednego z rezerwatów przyrody. Byłby to cios dla posła Kosa, — poseł Kos marzył także oddawna o czemś podobnem, bilans państwowy chciał t e m uratować.

Rosławski, Ciarach. Ciarach, w wiecznym poszukiwaniu godnej swej podobizny nie liczy się. Człowiek drobnych napiwków i drobnych nikłych dzieci. Trzyma się tego Ciaracha niedostatkiem rodziny, — dzieci do szkoły muszą chodzić, chorują i kosztują.

Ciarach, Rosławski, Strzęgorz. Do Strzęgorza czuł poseł Deptuła szczególne przywiązanie. Dopiero, gdy się wzięli razem, poleciał cały kompromis naprzód, jak po maśle!

— Panie doktorze, — wyciągnął się Deptuła w fotelu, — patrz pan, żeś mnie pan jednak posłuchał wkońcu. Pamiętasz pan, com panu mówił u pana w domu, nad indykiem, że pan handlujesz źle? Że trzeba tylko obracać ideami? Ideę można sprzedawać do granicy idei. O wiele dalej i gruntowniej, niż każdego, chociażby najbliższego człowieka. Ideę do granicy idei, czyli, że w nieskończoność. No, i poszliśmy na to, teraz stworzymy nowiutką, tak niebywałą większość. Rozumiesz teraz może, co ci mówiłem wtedy nad indykiem: my ludzie pierwszorzędnie drugorzędni, czyli też drugorzędnie pierwszorzędni! Ludzie o tajnych dnach, podwójnych twarzach, ba, ludzie bez przesądów żadnych, samo zdrowie! Kazio, — zaśmiał się znowu Deptuła. — Serce ci nic nie mówi? Pomyśl tylko, jaki piękny kompromis! Uważam, że teraz moglibyśmy już sobie mówić po imieniu.

Poseł Deptuła, jakby jeszcze rozsunął szerokie fałdy swojej ogromnej twarzy. Tak to robił Władysław Deptuła: — jakby za jedną, zlepioną z gruzłów tłuszczu, miał jeszcze drugą twarz chudą, szarą, kościstą. Ta druga zlustrowała uważnie spartańskie oblicze pana posła Strzęgorza.

Ale Strzęgorz, ścierwo, cholera, dziś od rana i to dziś, w taki dzień, zagrywał znowu wszystko od początku... Wzniosły się zrobił, szanowny, niepojętny! To mu nagle chodzi o duchowieństwo. Że duchowieństwo wdało się w całą sprawę...

Deptuła łże, — iż gadał także z duchowieństwem.

To znowu chodzi Strzęgorzowi wcale nie o sam fakt, ale o ceremonjał lachowskiego zjazdu. I jakie ścierwo?! Zobaczył, widać, że bije w słabe miejsce przyjaciela, bo kręci wciąż koło ceremonjału: — jak, co, kiedy, o której godzinie — a tu Deptuła przy tym ceremonjale właśnie musi im dać pigułę wcale nie byle jaką.

Piguła jest z instrukcji Bigdy, zresztą całkiem niedawnej. Danej tak, na warjata, ale niech nikt nie wierzy, gdy Bigda mówi „na warjata”, wszystko jest pamiętane w tym wielkim łbie kamiennym.

Zaraz nazajutrz, kiedyto wstał po pijaństwie z Deptułą, co to byli za Wisłą i co to gębę Deptuły babrał w soli, na stole żydowskiego szynku, — zaraz po owej nocy wydał tę dyspozycję Bigda. Wciągał powoli kalesony i nagle został z niemi, jakby w połowie drogi. I wyrzekł do Deptuły, śpiącego na kanapie w ubraniu w tymże samym pokoju:

— Deptuła, śpisz?

— Nie, nie śpię.

— A rozumiesz, co mówię?

— Rozumiem.

— No, to zrobimy tak: odwiedzimy ten Lachów, czy też te Lachowice w tajemnicy a potem da się do całej prasy o wydarzeniu. A co się tam ułoży w La-

chowie, to o tem ani słowa prasie, ani nikomu. Jedno tylko chciałbym tam mieć i tego mi dopilnuj: żeby nas nabożeństwem powitali przy grobach swoich przodków na zamku, ci Lachowscy. W starej, zamkowej kruchcie.

Kto znał lidera Bigdę, wiedział, że z dwóch rzeczy wypowiedzianych naraz, zawsze ważniejsza będzie druga, podana warunkowo. „Jedno chciałbym tam mieć”... Więc nie o tajemnicę chodzi mu tam w Lachowie, ale musi mieć kruchtę, morowiec. A tu, jakże z tą kruchtą wyjść teraz przed Strzęgorza, kiedy pan plenipotent nawet nie odpowiada na takie dziewosłęby, jak, aby sobie mówić po imieniu i kręci, kręci dalej. A to, że hrabia do niczego; a to, że duchowieństwo; a to, że znowu hrabia; a to nagle, gdy Deptuła o duchowieństwie, że on Strzęgorz poznał jakąś przyjaciółkę Deptuły. W hotelu EKSCELSIO-RZE, zowie się Lolka Romek.

Istna kapusta i pomieszanie wszelkich pojęć i wciąż taki piach w oczy, a tu przecie za chwilę ma już zapadać ostatecznie klamka, po co kręcenie takie?!!! Dość kręcenia! Deptuła—inny człowiek: gruzły mu znikły, jest tamta sucha twarz, wystaje z pokładów tłuszczu i mówi olbrzymiemi wargami:

— Nie strasz mnie wcale, najdroższy mój, Lachowskim, ani też duchowieństwem, ani wogóle! Przedewszystkiem Lachowskim nie strasz. Ja wam poradzę lepiej: proście mnie zaraz dzisiaj na śniadanie. Tutaj, u was, w pałacu. Będzie nas trzech: Ty, ja i ordynat. Wasza pożyczka jest już całkiem zrobiona i przerobiona u nas z najważniejszymi w klubie. Ale, co wam dziś powiem na śniadaniu, tobie

i Lachowskiemu i jaki prezent dostajecie od Bigdy, nie przypuszczacie. Bigda mi tak polecił, powiedzieć wam tę rzecz, kiedy będziecie, a rzecz jest spieszna, ważna i bardzo, bardzo cenna...

Miała ta rzecz być wyjawiona dopiero aż w Lachowie na wypadek osobliwych trudności. Ale takie trudności pojawiły się dziś! W poczuciu zupełnego bezpieczeństwa mógł sobie ryzykować Deptuła. Nie chciał już tracić czasu ani też lubych sekund bieżącej chwili na tak drobne kręcielstwa! A to, że hrabia, a to, że duchowieństwo, a to, że ceremonjał...

Szlag was trafił, ze wszystkim! Ty se, plenipotentcie, rozważ teraz, że tu przynoszę coś bardzo, bardzo ekstra dla twego jaśnie pana. No i co, nie dasz panu?

Strzęgorz, gracz pierwszorzędny: lojalista stu-procentowy. Jeśli o pana chodzi, zawsze wszystko odrazu załatwia! Popatrzył w zaokienne lustro, narazie ujrzał w niem swą utęsknioną *Spartę*, — srogie, twarde oblicze. Spojrzał w oczy Deptule i bierze za słuchawkę, łączy się linią wewnętrzną, pałacową odrazu z ordynatem i referuje, — sprawa publiczna, ważna...

Śniadanie z posłem Deptułą załatwione na dziś.

Należałoby jeszcze powiedzieć coś do tego, dodać może jakiegoś motylka, jakąś okoliczność przytoczyć? Jeden jest tylko motylek do dodania: — Pożyczkę swoją masz, mój Kaziu, to ci gwarantujemy.

Dlaczego w takiej chwili obaj nagle zamilkli? W niespełna kilka minut zjawia się tu pełnomocnicy

klubów, Ciarach, książe Rosławski, aby załatwić ostateczną ugodę.

Tak, chwila jest doniosła.

Deptuła znów powtarza: — Pożyczkę swoją masz. No, a my mamy większość.

I znów pan Strzęgorz, oraz Deptuła milczą. Milczą, wpatrzeni w siebie tak bezradnie. Patrzą w siebie, jak w lustro.

Oto, co znaczy władza, — myśli Deptuła w poczuciu bezpieczeństwa. — Mogę teraz być wszystkim. Mogę teraz być każdym. O, mogę być Strzęgorzem, który spozierać będzie oczami Deptuły. Widzę się przecież cały, do dna w oczach Strzęgorza.

Władza, — siła, — zabawa... Samo zdrowie!

Od najgłębszych podstaw myślenia, czy nawet odczuwania podnosi się w Deptule, jakby świetlista piana niewstrzymanego śmiechu. Deptuła, gruby, wielki, cały, cały Deptuła w gładkich rysach Strzęgorza i w starożytnym obliczu Lachowskiego i w husarskiej postaci Rosławskiego!

Samo zdrowie!!! Deptuła wybuchł śmiechem. Ten śmiech pryska głosem grubym i cienkim, basem, oraz podrywem wysokim, chyba babskim. Ten śmiech pryska z Deptuły wszelakimi tonami i aż piersi rozsadza szybkością swego biegu.

Czyż mógł się podobnemu zjawisku oprzeć pan plenipotent Strzęgorz? Nie mógł i już za chwilę sam także wybuchł śmiechem, cichutkim, równym, płynnym. Tak pośpiesznym, że aż chyba w podskokach jego lśniło samo powietrze.

— Możemy sobie mówić „ty”, — urwał tę całą sprawę wiceleader Deptuła.

Do kancelarji pana plenipotenty ordynacji la-chowskiej stukali już wyraźnie wicemarszałek Ciarach i ksiązę pan Rosławski.

Przywitania. I zaraz drobne wydziwiania na rachunek pogody, pory, miejsca, że to tu, w ordynacji, nie w neutralnym lokalu.

Książę Rosławski, husarz, tylko mu dodać skrzydła. Wicemarszałek Sejmu Ciarach cierpi za całą ludzkość. Trzymali go, Deptuła z Bigdą, aby się nie pchał do tych umów poufnych, nie dało się utrzymać. Ciarach cierpi jak zawsze, taki tam niby Hamlet zdychający, cierpi nad obrażoną ideą. Liryk żołądkowy.

A Strzęgorz tylko łśni: spinkami, gorsem koszuli, błyskiem żrenicy, skroni, siwizną, paznogciami, zębami. Deptuła zapadł w powagę. Kamień. Coprawda miękki, może poniekąd z masła? Lecz kamień, kamień, kamień!

Zaczęło się!!! Mówił cicho, chrząkając ustawicznie, do własnych bowiem głosów przyrodzonych nie mogli dojść odrazu.

— Tak, ta umowa popchnie Rzeczpospolitą w zupełnie inną fazę.

Kto mógł powiedzieć to patetyczne zdanie? Naturalnie, że Ciarach.

Dech im zatkało. Bo może takie powiedzenie zatkać dech, chociażby było błagą. Sama już tylko myśl: od lat sześciuset, tyś mnie bił, tyś mnie gwałcił i miałeś mnie za psa a ja ciebie za pana, a znów teraz radzimy razem. Od takowego „razem“, — niechby się stało prawdą, — mogą ludzie pospadać, jak marne, zeschłe gruszki, w rękę samej Historji.

Deptuła chrząknął osobiwie i dźwignął nieco naprzód ostateczną umowę. Popchnął ją niedaleko, gdyż źle zaczął, za prędko... Choć tyle razy obgadywane były te sprawy w radach, na konwentyklach, w gazetach, na mównicach, trzeba było dać ludziom tutaj czasu; czasu i jeszcze trochę smalcu. Tak, duchowego smalcu!

Wrażenie po Deptule poprawił Strzęgorz, mówiąc o tem, co *nie* podpada pod dzisiejszą dyskusję, czego rozważać tutaj *nie* należy, choć rzeczy te, niustalone jeszcze, może się znów odezwać? Jakgdyby rany, ciału Prawa zadanej?! Mogą się znów odezwać, albo się nie odezwać, jeżeli zgodna przyszłość zablizni owe cięcia ..

Wszyscy czterej, Deptuła, Strzęgorz, Ciarach, księżę Rosławski, popatrzyli na siebie przewrotnie:— któryżto z nich najbardziej cierpi nad takimi ranami?!... Rany, czyli momenty sporne. Było tego, jak wszy! Postanowili: nie bić już owych wszy. A, — że ustawa o Re'ormie ma następować ze względów *wyższej użyteczności*; a, — że przyznaje właścicielom odszkodowania przecież! Jaka tam użyteczność wyższa przy tak straszmem zniszczeniu warsztatów samej pracy rolniczej?! Jakie odszkodowanie, gdy płacą tylko połowę całej ceny targowej!

Dodać do tego termin, dający tytuł do swobodnego wywłaszczenia,—„nieprawidłowa gospodarka“. A któż osądza ową nieprawidłowość? Chłopi przeciwko szlachcie. Dodać do tego konflikty z Watykanem. Dodać do tego maximum posiadania w przemysłowych rejonach, maximum, rozszerzone na całe powiaty. Więc w dalszej perspektywie ogłodzenie miast.

Na to Deptuła zaczął chłopski drożdż. Odwieczny, polski, święty: — karty i małorolni, bezrolni, mrowia, mrowia, miliony, ich dzieci czekające, pootwierane od wieków zgłodniałe gęby ludzkie!

Morgi i gęby, — maxima i minima. Konstytucja, — Ustawa, prawo, — odszkodowania, wszystko utkane jakgdyby w jeden wór. Wora tego nie widać, ale jakgdyby wisi nad samym środkiem stołu, oni zaś każdym słowem biją i uderzają w wór, czyli w tego matoła, podobnie, jak się ćwiczą bokserzy, tłukąc pięściami w wypychane balwany. Ba, muszą dojść do zgody. Zgoda jest całkiem prosta, a że tak bardzo śliska, to cóż?! Chłopi i szlachta, tak jedni, jak i drudzy sprzedadzą się wzajemnie.

Ty mnie swego biedaka — a ja znów tobie swego! Ty mi sprzedasz twe chłopstwo najbiedniejsze, najśłabsze. A ja ci sprzedam szlachtę słabą i najbiedniejszą. Jak?! Tu jest zasada Bigdy: — prywatna parcelacja, lecz za pieniądze Państwa. Płacić będzie ten trzeci. Prywatna parcelacja albo przez Bank Ziemiański!... albo przez banki Bigdy!... Więc wolny obrót ziemią.

Tu jest idea Bigdy: — banki jak psy! Ogryzie kość mocniejszy. Mocniejszy będzie ten, który się bliżej znajdzie wspólnej kasy państwowej.

Idea panów Strzęgorza, Rosławskiego: — wobec tych świętych drożdży rozmnażającej się straszliwie chłopskiej gęby, ocalić własną skórę. Ocalić skórę pod całym deszczem poprawek do ustawy. A przeto parcelowane być nie mogą, ochronione być muszą i gospodarstwa przemysłowe i gospodarstwa leśne, i znów kresowe a tam znów sady, a tam znów takie ziemie.

Ziemia, ziemia i ziemia!

Dotąd szło wszystko gładko.

Gdy się tworzyły zalężnione milczenia, Deputa wypełniał je coprędzej. Poganiał wszystkie słowa, wyjaśniał wszystkie myśli.

Teraz dopiero szalał! Ani przy Lolce Romek, ani przy żarciu, picciu z przemysłowemi bańdziochami, nigdy dotąd nie szalał, jak tu właśnie. Walilo mu przez ręce, przez piersi, usta, uszy — całe życie... Gdybyżto móc zaryczeć: — samo zdrowie!!! Całe życie, wszelka historja, bez kropli krwi wylanej odrobiona gładziusko, w jednym cichym pokoju, wszelki romantyzm, nareszcie odrobiony. Teraz powszechny gnój, raz jeszcze, od początku! Tak się nazywa prawdziwe przebaczenie Bigdy!

Deputa chłonał słowa swych kontrahentów całym sobą. To zdrowie, zdrowie, zdrowie! Każdą porą swego straszego ciała, każdym obrotem myśli.

Jakaś radosna rozpacz! Snuła mu się po głowie jego rodzona matka, — gdzieś tam łązi po prośbie. Snuli mu się przez głowę jacyś powstańcy dawni, emisariusze durni, jakies sybirskie drogi w dzieciństwie zasłyszane, — wielkie słowa poetów, ach sama sprawiedliwość przychodzi tu do niego, do Deputy — po prośbie. Prosiła za chłopami, za fornalami, bezrolnymi, lecz on nie chciał jej słuchać. Władza i panowanie, samo zdrowie!!!

Samo zdrowie: Przeglądał się tem zdrowiem w brudnych żrenicach panów delegatów, patrzył się, jak odrzucają wszelakie miłosierdzie. Odwalili fornaliów, Tyczkę, stłamsili osadników, hrabiowie zgnetli wszystkich swoich pomniejszych jedni i drudzy razem,

tak zgodnie i serdecznie. Władza i samo zdrowie! Płacić będzie ten trzeci. Obgryzie kość mocniejszy, — ta jest idea Bigdy. Zgoda wypadła im o wiele wcześniej, składniej, niż mogliby przypuścić. Przestraszyli się wielce. Stół zdał się im za mały nagle! Całe miliony hektarów ziemi ornej połknęli i znów naprzeciw siebie trwają?! Znowu się spotykają?!

Przydał się tutaj Ciarach, jak nigdy jeszcze w życiu na nic się nie przydał. Hamlet, cholera, Hamlet drobnych napiwków zasępił się okrutnie. A gdy Strzęgorz wydał ze lśniących warg błękitno-białe kółeczko dymu papierosa, Ciarach przypomniał wszystkim, że nie tylko treść znaczy, lecz znaczy także forma!

Bo chłop ma własne poczucie obyczaju, nie wolno tego poczucia ranić, czy też obrażać, — jakież więc będzie ceremonjał zjazdu? Kiedy śniadanie, obiad? Główna uczta wieczorna? Kiedy się podpisuje sam pakt? Kiedy i jakie mowy i kto? Na jaki temat? I wziąć chociażby jednego dziennikarza, fotografa, czy hubka z filmu, żeby sfilmował chociażby parę minut tego historycznego pobytu tam, w Lachowie.

Czy będzie żona, dzieci? Hrabina i hrabiczka? Czy więc na tle rodziny? Rodu?! Czy będzie nabożeństwo przy grobach dawnych przodków? O tem już nie mówili więcej, Deptuła ani Ciarach. Bigda trzymał ten punkt programu zębami, — przy wszystkich przodkach chce się tam z nim spotkać, powiedział niedawno. Własnych przodków przyniosę im do zamku na podszwie swych butów, moi przodkowie dawno na nawóz poszli.

— Ceremonjał, tak, ceremonjał! — wołał Ciarach. — Bo to jest więcej, takie właśnie zbliżenie, niż

gdyby się zbliżały obce państwa. Tu się zbliżają wielki poróżnione, które się zgodzić mają w Lachowie.

Zatrzeszczały języki wszystkie naraz. Przedtem, kiedy się sprzedawali wzajem, ślinili małe zdańka, bardzo kuse, oględne. Teraz gwałt, szum i rwetes.

Strzęgorz skorzystał z jakiegoś telefonu. Wyszedł odpocząć, odświeżyć się, — telefon był z poczekalni ordynackiej, od panny Kostryńiównej. Stała przed biblioteką na pustym korytarzu. Nie, nie wejdzie do środka. Uśmiechnięta i bardzo blada.

Widać, — pomyślał Strzęgorz, — wieczorek koleżeński posłużył doskonale...

Chciała koniecznie zobaczyć Lachowskiego.

— A mnie?

— Panu nie ufam, kuzynku, w takich sprawach.

— W jakich?

— W takich prostych, sercowych, prywatnych, może babskich....

— Myślałem — Strzęgorz przerwał w pół zdania.

Sprawy sercowe, proste i prywatne... A kogoż to obchodzi jeszcze? I kto się tem zajmuje? I co komu do tego? Odpowiedź Zuzy wydała mu się tak nieprawdopodobną, tak dziwną, nieżyciową!

— Czemużeście oddały, — mówił, zapatrzony w rudą czuprynkę Zuzy, — wszystkie wasze pieniądze Mieniewskiemu? Przecież on leży. Mówilem, ostrzegałem. Nie musiałyście robić interesów ze mną. Ale z starym Mieniewskim? Przecież leży.

— Leży, leży, — powtórzyła z wesołym uśmiechem Zuzanna. — Prawdopodobnie straciłyśmy pieniądze. To jest, matka straciła, bo ja? Cóż ja?... No tak,

i ja straciłam, oczywiście! — Oczywiście. — dodała Zuza, aby zatrzeć wrażenie nonsensu, jakie musiały wywierać jej słowa tak niepewne, nieokreślone.

Niepewne słowa, wszystko, wszystko niepewne, oto największa chyba teraz pociecha. Ta niepewność! Kołysze Zuzę, nęci, zwodzi i mani. Od wczoraj już, lecz godzinami temi nasycić się nie można, tak są dobre i nikłe. Po tem spotkaniu z Tadeuszem w mieszkaniu u Strzęgorza, ciągła, ckliwa niepewność.

Wczoraj właśnie odszukał ją, — czegożto chciał? Żadnych szaleństw, rozpusty żadnej, skromnie. Poszli do cukierenki jakiejś, tam się skryli, chociaż ich nikt nie ścigał, nie podpatrywał. I tak się jakoś dotknęli obojętnie palcami, tak się przepletli przypadkowo raczej w spojrzeniu, niżli zbliżeniem ciała. I to właśnie było jedyne!

— Rzecz jest prosta, — zaczął Tadeusz, wzruszając ramionami.—Już się znamy i te tam niby nasze stare kłótnie; o nowych ludzi trudno, prawda? No, a tak, możemy się zwodzić, wielka emocja! —

— Ale, nie dla mnie.—Zaszumiało jej w uszach. Pobladła nagle. I zbiełałemi wargami rzekła, nie mogąc złapać tchu: — Ja sądzę, że poprostu, kobieta, kiedy kocha, nie ma już nic innego do roboty.

Nie teraz opowiadać Tadeuszowi takie dziwy subtelne. Cóż to? Będzie szpitalem cudzych uczuć „złamanych”? Może jeszcze kliniką?! Zdawało mu się wczoraj w jej ramionach — zdechnąć w takich ramionach warto! Ale dlaczego zdychać?

Końce ust mu opadły i rzekł patrząc jej w oczy zimną nudą spojrzenia: — Kobiety mówią zawsze to samo o miłości. Na cóż się zda gadanie?! Ja już ni-

czego nie chcę w życiu. Jestem teraz od masła, sery masuję. Zarabiam sobie na życie. Niedługo pewnie wezmą mnie do kryminału.

Zuza przerwała mu: — I ja niczego nie chcę.

Więc uśmiechnęli się do siebie, ujmując się za ręce, jakby na pożegnanie.

Co Zuza myśli o tej całej rozmowie? Myśli jedno, och, jedno tylko! Uwolnić Tadeusza, załatwić już tę sprawę zastrzelonego Krasny!

Planowała to przecież dawno. A teraz trzeba działać, jeszcze przed całym przesileniem sejmowem. Strzęgorz, Lachowski, bardzo wpływowi ludzie, na to ich hodowała przecież. Więc przybiegła tu dzisiaj zaraz do kuzyna Strzęgorza, ale kuzynek tak zaafekrowany.

— Hrabia jest bardzo zajęty! — Strzęgorz wyciągnął safjanowy notes kieszonkowy. Zapisał Zuze na piątą trzydzieści i wrzuciwszy ramionami, powrócił do swych panów, Deptuły, Rosławskiego i Ciaracha.

Twarz pana pośła Deptuły spływała potem, Ciarach siniał już ze zmęczenia i irytacji, Rosławski gaworzył wciąż tak samo słodziutkim wdziękiem swych różanych usteczek. Ba, wszystkiego nie rozstrzygnęli jeszcze, dopłynęli do siakich-takich kompromisów, należało już jednak wkońcu zwijać manatki, Strzęgorz pilił. Dopilił wreszcie, tak, że śniadanie mogło się odbyć bez minuty spóźnienia.

Śniadanie, bardzo emocjonujące, we trzech: Lachowski, Deptuła i pan Strzęgorz. Cisza, chłodek, kotary, lokaje w rękawiczkach, w pończochach, popielniczki, jak święte starożytne kropielnice.

Deptuła wchodzi, trzęsąc podgardlami Idzie, jak ksiądz prowincjonalny, gdy celebry przy ołtarzu. Całkiem inny Deptuła, spłoszony i w podsłokach, nieśmiały, rechocący dyskretnie, poprostu jakby chory. Deptuła zbożny, rozmodlony. już nie ten dawny grubo komin, sadzą, tłuszczem zarosły, ale jakgdyby cienkie szkiełko do lampy, do ubożuchnej lampy naftowej o pojedynczym knotku. Patrzy za ordynatem, jak pies, tak wiernie i posłusznie.

Jedzą śniadanie przepisowe, przystawka, muszelki z jakimś świństwem arystokratycznym, rybka, pieczone; na słodkie, fuzel szodonowy.

Deptuła skromnie ćpa i bardzo cicho, łokcie przy sobie trzyma a popija cenne potrawy łyчками maciupkiemi. Jedzą, Deptuła kulek z chleba nie gniecie, na obrusie nie kruszy, a kadzi Lachowskiemu!

Ordynat uśmiecha się łaskawie, nie słyszał już oddawna tak głupich komplementów. Lecz komplementy idą coraz głupsze i grubsze, aż coś nareszcie wywinęło się z tej konwersacji, że niewiadomo, aluzja, czy ironja. Chyba, że z Mickiewicza? Deptuła o Sonetach Krymskich wspomina i powiada, pokornie uśmiechnięty, o alegorjach, czy symbolach do słów: *Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu!*

Przeszli na czarną kawę, talerzyki do owoców czy innych deserowych faramuszek mają złote, rodowe.

I tu, nie uwierzyłby Strzęgorz, gdyby na własne oczy nie był widział tej sceny... Deptuła nagle rozszarpuje kołnierzyk. Już poczerwieniał cały, zsiniał! Dyrektor Strzęgorz nie wierzy własnym oczom!

Wargi Deptuły ciemne, jak przekrajane muchomory, drżą niesamowicie. Słowo się z nich wydobyć nie może. Oczy Deptuły, niewidoczne zazwyczaj, wypłynęły nareszcie nawierzch, błyszczą ślepawym blaskiem.

Hrabia Lachowski cofa się z przerażeniem, z oczu Deptuły płyną cieniutkie łzy. Płyną nader powoli, skąpe i posklejane, aż nareszcie z tej pantominy obrzydliwej wynika głos podziemny:

— Panie hrabio, — woła Deptuła, — chłop rozumie pierwiastek władzy i wyboru. Czyli selekcji. Panie hrabio, — błaga Deptuła, — gdzie i na ile, na jak długo może starczyć samego chłopca, a gdzie już nie da rady? Piast był najlepszy wśród chłopów ówczesnych. Piast to był pan ówczesny. Panie hrabio myśmy dziś sprawę zjazdu w Lachowie obrabiali, dzisiaj też trzeba pana. pana jakiegoś w pełnym znaczeniu słowa! Panie hrabio, jestem upoważniony...

Deptuła wrzasnął grobowym basem: — Jestem upoważniony powiedzieć to, co mówię... Reforma rolna! Zjazdy i inne tym podobne nie stanowią wszystkiego. Rzecz ta dalej prowadzi — do rządów silnej ręki! Ma być jedność i siła!

Deptuła zsunął się cielskiem olbrzymiem tak jakoś z taboretu, jakby klęczał przed hrabią.

— Kadencja prezydenta Rzeczypospolitej, panie hrabio, kończy się już za rok! — Deptuła ukląkł na oba kolana, jak to czynią w kościele chłopci, powoli i statecznie, z zupełnym przekonaniem. — Panie hrabio! Za rok, niech nam żyje nowy prezydent Rzeczypospolitej, August hrabia Lachowski!!!

Ordynat krzyknął, lecz było już zapóźno. Dep-

tuła objął go kornie przez piersi i ramiona. Gdy obejmował, płakał. Hrabia Lachowski przeczył głową, przeczył taktownie rękami i nogami, odsuwał się ostrożnie, wreszcie przez łzy zawołał:

— Tak wielkie brzemień?! Ach, drodzy moi ludzie! Ach, drodzy moi ludzie!!! Tak wielkie, wielkie brzemień!

Ze łzami w oczach powtarzał to proste, piękne zdanie, głaszcząc Deptułę na chybił-trafił, zamiast po głowie, przez ramię i po wypukłym czole.

Pan dyrektor Strzęgorz zbladł. Zagryzłszy wargi, uskoczył na palcach pod okno i aby nie psuć nastroju, nie szorować zapałką, od elektrycznej ściennej zapalniczki zapalił papierosa. Zaciągnąwszy się dymem głęboko, podszedł na palcach ku krzesłu ordynata, stanął za niem, by spojrzeć w oczy Deptuły. Nie mógł być tego dokonać.

Posel ludowy ukrył był całe oblicze na łonie gospodarza. Z pod drżącej ręki ordynata wybliskiwało tylko raz po raz czoło Deptuły, gładkie, jakby wypięte z nienacka tak nieskromnie.

Rozdział IV.

Prąd fizjologii.

Pożegnanie i wyjście Deptuły z hrabskich salonów odbyło się nadzwyczaj godnie. Wicemarszałek Ciarach, smakosz wszelakich ceremonij powiedziałby, że odbyło się pod pełnym żaglem wzruszenia.

Deptuła splakany tak gruntownie w objęciach ordynata, powstał nagle, uklonił się, lecz jakby nie osobom, a tylko całej przestrzeni tego miejsca. Jął już zwolna wychodzić, nie przodem i nie tyłem, a znów odrębnie, przodem i tyłem i oboma bokami, bardzo potulnym obrotem całej postaci.

Gdy Strzęgorz chciał odprowadzać i nawet ruszył z miejsca w tym celu, Deptuła uczynił znak, że nie potrzeba; żaloszny znak wielką białą dłonią.

Zostali we dwóch, hrabia Lachowski i pan dyrektor Strzęgorz. Po zniknięciu Deptuły, pan plenipotent, przeszedłszy skupionym krokiem po dywanie, zamknął za postem Deptułą drzwi na klucz i wyłączył telefon. Czynności, które wykonał przed chwileczką, świadczyły aż nadto wymownie, że pan plenipotent zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

Strzęgorz nie spuszczał z oka hrabiego Lachowskiego. Czy ordynat wziął kawał Deptuły na serjo?...

Czy istotnie był to ze strony Deputuły tylko kawał?! Czy to była gra samego Bigdy, tak mądra i przebiegła?! Czy może rzeczywiście grała tu rolę istotna ambicja Bigdy, nieco lokalna, ale uparta, dwuznaczna: Dawny chłop pańszczyźniany, drwał lasów ordynacji lachowskiej stanie razem z swym dawnym panem u władzy... Dawny pan, — prezydentem Rzeczypospolitej a dawny drwał premierem, — więc duszą pana prezydenta, ręką, która za tysiące sznureczków poruszać będzie swym hrabskim prezydentem...

Dyrektor Strzęgorz nie czuł w tej chwili w sobie żadnej inicjatywy i nie wiedział, jak podjąć rozmowę. Co powiedzieć, jak zacząć?! Olsniły go te chłopy sprytem i przebiegłością. Uznał, że najlepszą postawą będzie zupełna skromność. Jął sprzątać, po prostu sprzątać, jak dziś rano na jego biurku w ordynacji sprzątał poseł Deputuły.

Zsypywał popiół z popielniczek do jednej wielkiej wazy, zresztą starej i pięknej. Odstawiał na jeden stolik wszystkie likiery i koniaki. Układał po cichutku cygara w suchych drewnianych pudełkach. W pewnym momencie potrącił nieuważnie filiżankę, łyżeczka wypadła na podłogę.

Hrabia Lachowski uczynił gest zniecierpliwienia, dyrektor Strzęgorz zamarł w bezruchu.

— Doprawdy, człowiek nic innego nie robi przez całe życie, — powiedział wreszcie ordynat, — a tylko systematycznie zabija swego bliźniego. Niech mi pan powie na koniec, dlaczego?!

Pytanie było zbyt ogólnikowe, dyrektor Strzęgorz uznał, że nie należy na nie odpowiadać.

— Tak wielkie brzemie, tak ogromna odpowiedzialność! Zabiłby mnie ten posterunek. Ach, drodzy moi ludzie! Istne, istne warjactwo, — oburzył się hrabia Lachowski.

Strzęgorz milczał.

— Takie brzemie, — na Boga!

Strzęgorz milczał.

— Ile też dni na rok, — jęknął po dłuższej pauzie ordynat — może mieć urlopu prezydent Rzeczypospolitej? Kto mu udziela urlopu? Chyba Pan Bóg, czy jak?

Strzęgorz milczał.

— Ciągła reprezentacja! Stanowisko to odpowiada obowiązkom koronowanej głowy. W dzisiejszych czasach, przy takim wyczerpaniu finansów, istne warjactwo. Panie rotmistrzu —

Strzęgorz wyszedł na środek dywanu, by się znaleźć nawprost ordynata.

Hrabia Lachowski siedział wciąż na miejscu, na którym obejmował go niedawno poseł Deptuła. Ordynat siedział na tem samem miejscu i w tej samej pozycji, jakby mu było żal zmienić najdrobniejszy szczegół z układu tych okoliczności chwili historycznej, która się tu rozegrała niedawno.

— Panie rotmistrzu, co to jest ten Deptuła? Poseł na sejm, no tak, no tak, wiemy wszyscy, że poseł. Może nie głupi człowiek, ale czy ze studjami?

— Były profesor gimnazjalny, — odpowiadał najmiłszą chrypką pan Strzęgorz, — posiada aż dwa doktoraty, filozofji i prawa. Pisze, drukuje w pismach ludowych, niezły mówca, cóż jeszcze? Jeżeli chodzi o przeszłość —

Ordynat zniecierpliwł się. — Wszyscy, — rzekł, — mamy przeszłość, to są wiadome rzeczy. Pragnę wiedzieć co innego. Jak tam jest z uczciwością...

Strzęgorz rozumiał, że należy być ostrożnym. Odpowiedział filozoficznie: — No, cóż? Ludzka uczciwość, zwyczajna.

— To jedno, — westchnął z zadowoleniem hrabia. — A drugie: Co on znaczy, ten pan Deptuła w swoim stronnictwie?

— Drugi człowiek po Bigdzie, prawa ręka.

— Więc prawa ręka?!

— O, tak, niezaprzeczenie. — Strzęgorz z kilku przelotnych ruchów zaczynał już rozumieć hrabiego... Były to ruchy delikatne i pańskie, podniesione jednak obecnie do wyższej potęgi, ruchy audjencjonalne.

Strzęgorz uznał, że chyba należy już przełamać tę śmieszna sytuację; inaczej w dalszych a tak trudnych rozgrywkach nie będzie można wcale liczyć na starego idjotę!

— Wracając do Deptuły, — pan plenipotent usiadł na fotelu po pośle ludowym, — jest to człowiek zdolny, energiczny, zapobiegliwy. Oceniam go zupełnie przedmiotowo, sądzę bowiem, że w każdej sytuacji powinniśmy zawsze przedmiotowo sądzić ludzi i rzeczy...

Lachowski wstał, podszedł do okna i otworzył je. Wychodziło na drzewa starego parku. Ich szum, pomieszany z świegotem ptaków zappełnił całą przestrzeń pokoju. Oprócz świegotu ptaków słyhać tu było jeszcze coprawda jazgot dzieci i to żydowskich z aneksu parkowego, który rodzina Lachowskich od-

stąpiła kiedyś wspaniałomyślnie na użytek publiczny, nie spodziewając się, że tę właśnie dzielnicę zawojują Żydzi. Ostatecznie, — może świągot ptaków był silniejszy od jazgotu dzieci żydowskich?!

Hrabia trwał przy oknie dłuższą chwilę, tyłem obrócony do Strzęgorza. Nie odwracając się, rzekł nagle: — Oceniam dokładnie pańską przedmiotowość, rotmistrzu. Niech pan jednak raczy mnie dziś wystłuchać uważniej, panie rotmistrzu.—Hrabia usłyszał nagle to, co zwykł był nazywać szumem przebaczenia historii. Lekarze wmawiali mu od lat, że to anemja. Na anemję jednak, czy na blednicę cierpią młode, niewinne panny, nie zaś dorośli ludzie. Ów szum, chociaż niecałkowity jeszcze, niepełny, świadczy o głębokiej irytacji.

— Panie rotmistrzu, przyszło mi to dzisiaj na myśl, — czy nie zadaleko posuwa pan swą przedmiotowość?... Ci ludzie może prości, choć uczeni, naogół ludzie zwyczajni, ale o zdrowym chłopskim rozumie, ba! doktorzy podwójnych fakultetów ofiarowują mi, ni mniej, ni więcej, — no przecież słyszał pan chyba?!... A tymczasem mój najbliższy współpracownik, odznaczający się tak dokładną przedmiotowością, to znaczy pan sam, — o ile mi wiadomo, nie zaprotestował ani razu dotąd, gdym mówił przy nim w chwilach ciężkiej depresji, że powinienem sprzedawać stare spodnie! Nie protestował pan przeciw temu! Tak, tak, panie rotmistrzu: Lachowski, wedle pana, powinien zostać żydkiem i powinien, w tym właśnie charakterze, sprzedawać zużytą garderobę swoich służących!!!

Dyrektor Strzęgorz, w odczuciu nagłego niebez-

pieczeństwa, rzucił się naprzód. Uchwyciwszy hrabiego za ręce, a klnąc w duchu Deptułę, jał mówić szep-tem wzruszonej chrypki, — o obowiązkach własnych w obliczu ordynacji. A to są nieublagane, ach, ślepe obowiązki!

Ordynacja to wieki, prezydentura Rzeczypospolitej nawet, — to lat siedem. Nawet ojczyzna, panie hrabio, to zawsze zmienność kolei losów, ordynacja to stałość. Symboliczne sprzedawanie starzyzny przez ordynata jest tylko — wedle pana Strzęgorza, — znakiem pokory, która zawsze przystoi wielkości, ale jest to właściwie, ucieczka z ordynacji. Może nawet męczeńska, ale zawsze ucieczka...

— Chyba to rozumiesz, rotmistrzu, równie dobrze, jak ja, że na tem stanowisku, w Zamku, no... nad Wisłą, — proszę nam nalać wina. — Ordynat odwrócił lekko, oburącz Strzęgorza ku stołowi, na którym stały butelki. Odczekał. Potem nalał podane przez Strzęgorza kieliszki, — wypili, — wówczas hrabia:

— W Zamku, nad Wisłą i na tem stanowisku nie będziemy mogli wydawać naszych własnych pieniędzy, bo nie wypada. Tam mamy każdy ruch określony, przepisany i przewidziany protokołem. Udzielanie audjencyj nie kosztuje przecież... Nie wyjedziemy nigdzie zagranicę. Będziemy może nawet później chcieli, — ale nie wyjedziemy... Bo to są zaraz komplikacje europejskie, dyplomatyczne. A więc, nie wyjedziemy, i basta! Poza tem, — ordynat wziął leciutko Strzęgorza za ucho, — mój drogi, oczyszczą nas z podatków nareszcie! Nie będą chcieli przecież na licytację wystawiać własnego prezydenta.

Dyrektor Strzęgorz przytakiwał, przeklinając Deptułę. — no, bo gdzież w takiej konstelacji pożyczka? Pożyczka zagraniczna!

Na szczęście, — znowu kamerdyner. Strzęgorz przypomniał sobie, że na piątą trzydzieści obiecał Kostryniówniej ordynata.

— Udzielanie audjencji, panie hrabio, już się zaczyna. Chodzi tu, — objaśniał pilnie ordynatowi, — o jakąś sprawę osobistą tych pań, czy też tylko tej panny?...

Lachowski, tak leniwy i niezdecydowany zawsze, wziął szybko z tacy bilet wizytowy, psztyknął palcami wesoło w kartonik, i nie kiwnąwszy nawet głową Strzęgorzowi, lekkim krokiem, wsluchany w szelest swych giemzowych bucików, przeszedł do salonu rycerskiego (resztki dawnej zbrojowni Lachowskich) udzielić audjencji.

— Panna Zuza, och panna Zuza, — śmiał się ochoczo, jakby wracał z radosnej podróży.

Rozłożyła nieporadnie ręce, — udana owa nieporadność, jakże miłe udana! Zobaczywszy pannę Kostryniównę uzmysłowił sobie ordynat, że chyba nie zostanie prezydentem. Nie jest chyba bowiem możliwą rzeczą, by szef państwa mógł doświadczać tak żywiolowo ludzkich uczuć na widok płci odmiernej.

Ordynat prosił panienkę siedzieć, bynajmniej nie zdziwiony wizytą. Gdy Zuza chciała mówić, hrabia Lachowski nie dopuścił jej do głosu. Na wstępie audjencji musiał być sam poczynić kilka osobistych zwierzeń. Jakich, tego nie wiedział.

— Jeżeli pani nie przychodzi tu z interesami

w ścisłym znaczeniu słowa, to i ja mogę sobie pozwolić na otwartość.

— Otwartość, — w jakim kierunku?

— Wy, młodzi macie intuicję. Macie intuicję czasu, przestrzeni, może nawet przyszłości? — Hrabia plółł byle co.

Zuza patrzyła na niego szeroko rozwartemi oczami. Och, — zwłoka, zwłoka, trudniejsze było to i może nawet wstrętniejsze, niżby mógł ktoś przypuścić!

Słuchać, nie móc powiedzieć nic, słuchać starej papli, która wciąż paple o sobie, — na ileż starczy człowiekowi tej wstrętnej cierpliwości?!

— Żeby pan użył, panie, hrabio, swego wpływu, — od tego chciała zacząć. Potem miała przygotowanych kilka banalnych zwrotów o bibliotecę. Zuza sądziła, że tam ją właśnie przyjmie ordynat. Tymczasem wcale nie tam, lecz tu.

Sala rycerska, — kolczugi, naramienniki, nago-lenniki, helmy ze spuszczonei przyłbicami i długie miecze, albo proste, albo powykrzywiane, — jak zdętwiałe błyskawice na ścianach.

Gdybyż to było w bibliotecę! Miała przygotowane zdania o pisaniu, o książkach. Tyle tu treści w książkach! Lecz „z drugiej strony” ludzie, którzy się wtedy kochali, nie dbali z pewnością o książki, a kto pomógł kochającym się znajomym, przyjaciom, czy nawet obojętnym bliźnim, ten więcej zrobił może dla szczęścia rodu ludzkiego, niż ten, który zapisywał foljały. Gdyż musi być na świecie miejsce pośród tysiąca innych, — wolne zupełnie od wszystkiego innego, niezapisane, samo jedno, opuszczone, które każdy dla siebie musi gdzieś wkońcu znaleźć!...

Hrabia mówił o szkołach. Skąd mu się nagle zebrało na szkoły?!

Zuza uśmiechała się tkliwie i idjotycznie, z żalną myślą, że napewno ordynacja zalega z podatkami szkolnymi. Coeur czy też Zarząd Erazma także zalegał ze szkolnymi podatkami, — ileż razy zirytowana utyskiwaniem ojca mówiła Francuzowi, — że to świństwo, bo przecież dzieci kopalniane samorząd ze szkół wyrzuca.

Oni wszyscy, — uśmiechnęła się uroczo do hrabiego, — ci wielcy muszą zalegać w potocznych, a tak prostych sprawach. Mniejsza o to! W bibliotece zdążyłaby dawno wypowiedzieć swą prośbę, a tu te miecze, buzdygany, rusznice, — stare, święte obrzydliwe żelastwo!

Przytakiwała hrabiemu, czekając, kiedy się w gadaniu ordynata zrobi malutka, choćby najmniejsza przerwa. W tę przerwę wpakować się odrazu, — nie czekać dłużej ani jednej sekundy! Dodało Zuzie znacznej otuchy, że ją miły staruszek zaczyna wkońcu „przygarniać”. Bała się tylko usłyszeć bicia jego serca. Jakże kołata serce w takim starym człowieczku? Chyba raz na minutę?!

Hrabia Lachowski mówił wciąż o szkołach. Zuza zgrzana i zrozpaczona myślała wciąż o zwłoce... że tak właśnie może przejść całe życie, w bliskości z każdym innym człowiekiem niepotrzebnym, a ten potrzebny, jedyny i konieczny nigdy już nie nadejdzie!?...

— Szkoły, szkoły, — wołał hrabia Lachowski, — jeszcze raz szkoły i to nie powierzchownie a od góry do dołu, serjo. Wtedy nie kradliby i nie musieliby się wzajemnie pilnować.

Nie miał „pod ręką” cyfr. Ale zachował sobie to wyliczenie, robione zresztą bez niczyjej pomocy, — to znaczy bez posilkowania się specjalnemi statystykami. Wyliczenie statystyczne miał gdzieś osobno w papierach zeszłorocznych. Obliczenie, wydedukowane z kosztów pilnowania sadu owocowego w Lachowicach.

W Lachowicach, czyli, dosłownie, w sercu całej ordynacji, ciekawa rzecz, ile kosztuje dopilnowanie sadu aż do sprzętu owocu?! Jeżeliby na tej podstawie wziąć pod uwagę całą przestrzeń kraju, zajęta pod owocowe sady, — cóż, wielcy właściciele, chcąc się ratować przed reformą, olbrzymie przestrzenie wypuścili pod sady, — wypada łącznie, że w lecie około dwóch milionów ludzi nic nie robi innego, tylko pilnuje piętnastu milionów innych ludzi, to jest właśnie niszczycieli ogrodów!

Hrabia mówił to wszystko dla dwóch przyczyn. Pierwsza: jako człowiek przesądny, uprzedzał zawczasu sytuację, to jest gdyby to z Zamkiem miało dojść do skutku. W tym wypadku, kto wie, czy nie byłoby wskazaną rzeczą zacząć od cichej, łagodnej sprawy owocowej? Zacząć to tak, na marginesie bieżących spraw państwowych coś jakby akcją samego Prezydenta. Ewentualnie może połączyć to jeszcze z pszczelarstwem. Akcja pod hasłem: Ojczysty Sad, zresztą mniejsza o nazwę. Nie lubił szumnych nazw!

Oto pierwsza przyczyna. A druga: Jako człowiek przesądny, — dobry strzelec jest zawsze przesądny, — powiedział sobie, gdy pod koniec rozmowy ze Strzęgorzem trzaskał w palcach z biletu wizytowego Kostryniówniej, że jeśli mu się uda zdobyć

Zuzę... Do istotnego zdobycia nie był usposobiony dzisiaj, ale chociażby zdobyć tak, po swojemu... Że jeśli mu się uda ją zdobyć, to sprawa z Zamkiem spełni się!

Jeżeli nie uda się zdobyć Kostryńiównej, chociażby „po swojemu”, — sprawa z Zamkiem spali na panewce. Zakładowi takiemu z samym sobą przeszkadzała jeszcze myśl inna, mająca pewien związek z ideą SADU OJCZYSTEGO. Hrabia Lachowski przypomniał sobie, — po rozmowie z Deptułą nie dawały mu poprostu spokoju te znakomite myśli, — że lud polski nic nie robi, ba, nawet próżnuje przy wypasaniu bydła. A tymczasem widział to przecie na wyspach kanaryjskich, — baby, nawet dziewczęta, pasące bydło na wyspach kanaryjskich, pracują nieustannie nad wyrobem przepięknych haftów, zwanych teneryfami.

Oto myśl druga i znów nowa idea; jak tam nad teneryfami, żeby wprowadzić tutaj podczas paszenia bydła pracę, nad jakąbądź tkaniną i nawet możnaby nazwać te tkaniny odrazu. — Lachowiaki, czy Lachownicy, czy może Lachowitki?! Mniejsza o nazwę, nie lubił żadnych nazw. Ale idea sama!

Dość idei! Powiedział sobie, że jeżeli uda mu się chociażby po swojemu zdobyć Zuzannę, sprawa z Zamkiem ma szanse powodzenia. Mówił o szkołach, nie śmiąc ryzykować fizycznego manewru wobec Zuzy. Co jednak miało dalej z owych szkół wynikać? Mogło wynikać, — o tańcu współczesnym, modach, strojach i nadużyciach i braku prawdziwego uczucia. A z tego potem zaraz brzemień do dźwignia i — potrzeba pociechy...

Złożył ostrożnie dłonie na kolanach Zuzanny. Zamyslił się głęboko. Hrabia Lachowski zamyslił się głęboko nad wachlarzem, paletą, czy programem, jaki rozwinąć może życie: od ordynata — do Prezydenta Rzeczypospolitej.

Przerwę, którą spowodował namysł hrabiego, wykorzystwała nareszcie Zuzanna. Mówić odrazu wszystko, jak to dyktuje cichy strach przeczucia... O cóż jej chodzi? O pewnego człowieka, którego ona kocha. Stara to rzecz i głupia może nawet, ale kto wie czy nie wieczna wśród ludzi? Kiedy się jest młodym, wierzy się, że można z taką sprawą przyjść do kogo bądź —

— Do kogo bądź? — przerwał jej ordynat.

Że można przyjść do kogo bądź, pierwszego z brzegu, — jakiegoś porządnego człowieka i można przed nim otworzyć serce zaraz, choć się nie ma do tego prawa. A on, ów ktoś, tylko dlatego, że sam pamięta szczęście swojej młodości... Otóż ten człowiek, tak i człowiek nie będzie pytał, kiedy i co i jak i dlaczego i kto, a tylko odrazu szczerze, z najlepszego impulsu swej istoty okaże żywą pomoc, współczucie!

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego taki człowiek szlachetny okazuje odrazu współczucie? Dlatego, że poza normą wszystkiego, — śmiała się mówiąc te słowa, — co jest unormowane wszędzie, musi się dziać jeszcze jakieś bezprawie, może grzeszne, może nawet napewno grzeszne, lecz przez każdego kiedyś tajemnie upragnione.

— Czy pani, panno Zuzanno, jest rzeczywiście pewna, że przez każdego upragnione?

Wzruszyła niecierpliwie ramionami i dalej, — dalej, dalej:

O cóż tu idzie? O kilka słów hrabiego, jak w wielu innych sprawach. Ta sprawa jest następująca: ona, Zuza, kiedyś tam, dawno i mniejsza o to kiedy, w pa-sji i z zemsty, na zebraniu w ratuszu, po strasliwym wybuchu na kopalni zabiła dziewczynę kopalnianą, rywalkę swoją, którą znów kochał ten, którego ona, Zuza kochała do szaleństwa. Mój Boże, rywalka ta nazywała się tak śmiesznie, Lenora Duś. To już przeszło, minęło, cała ta sprawa zabójstwa.

— Tak, minęło, — Zuza uśmiechnęła się pogodnie, — i jeśliby ktoś koniecznie chciał, mógłby powiedzieć, że już dawno trawa porosta grób owej zastrzelonej. Otóż, panie hrabio, najmilszy, najgodniejszy zapewne z pośród wszystkich hrabiów, stało się tak szczęśliwie w tem nieszczęściu duchowem, że ów chłopiec, ten ukochany —

Hrabia marszczył się coraz groźniej.

— Nazywa się Mieniewski. Tadeusz, syn wielkiego lidera. Tadeusz Mieniewski. A ta panna, która go kocha, to ja. Otóż stało się tak szczęśliwie w tem nieszczęściu, że pan Mieniewski na służbie będąc u pewnego hrabiego, Augusta Lachowskiego —

— Nie może być, nic nie wiem o tem.

— U hrabiego Augusta Lachowskiego, w służbie leśnej, zastrzelił chłopca podczas swojej służby.

— Wątpię, droga pani, żeby to było u mnie. W ordynacji lachowskiej?!

— Ależ to fakt!

— Nic mi o tem nie mówił Strzęgorz.

Zuzanna przechyliła się do ucha ordynata, szepcząc: — Bo to może za drobne wydarzenie. Ale dla nas obojga, tak zwanych zakochanych ogromnie waż-

ne. Jak na każdej śmierci chcieliby i tu zero-
wać różni ludzie. Zabójca, syn lidera, — więc roz-
maite względy polityczne, zemsty, czy też rozgrywki.
Kto się w tem może zorientować odrazu? Gdyby jed-
nak pan hrabia wydał polecenie, żeby rodzinę wynag-
rodzić! Ja nie wiem, ile morgów trzeba im dać?! Ale
trzeba. Ten chłop nazywał się Krasno,.. Mieszkał ko-
ło Lachowic w Majdanie Krasienińskim. Gdyby pan
hrabia wydał przy tej sposobności opinię o panu Ta-
deuszu Mieniewskim. Oni do niego strzelali pierwsi.
Ale to przecież wszystko zawsze potem zależne jest
od śledztwa. Bo inaczej, zginiemy. Czas nas rozłączy,
panie hrabio, czas. Czas zawsze jest tak srogi
dla wszystkich młodych.

Hrabia wypuścił Zużę ze swych, — jak je klasy-
fikował, — pół-wujecznych uścisków. Powstał z ka-
napki. Piękny, sakramentalny, groźny. Uznał był
właśnie, że przegrał zakład z samym sobą. Zuzanny —
i to nawet po s w o j e m u zdobyć mu się nie uda, —
sprawa z **Zamkiem** nie ma widoków powodzenia.

— Gdy życie ludzkie jest w grze, proszę pa-
ni... — Tak zaczął. A potem, może właśnie dlatego,
że ta sprawa z **Zamkiem** wydała mu się w tej chwili
dalszą, niż gdy wchodził do salki rycerskiej, jął mó-
wić, — jakby się to już działo tam, na **Zamku**:
z bardzo wielką powagą o duchowej i prawno-pań-
stwowej postawie Lachowskich, jako takich. Bo są ro-
dy i rody. Wszystkie dobre i wszystkie zapewne za-
służone. Ale, jeden się będzie odznaczał przedewszyst-
kiem zasługą rycerską, a drugi uczonością, a trzeci
znów wynalazczością. Lachowscy zaś na pierwszym
miejscu od wieków już stawiają praworządność.

Uklonił się na zakończenie tej perory z tak niezwykłą dystynkcją. Zuza opuściła hrabiego, zrozpaczona.

Nie Strzęgorz i nie hrabia i nikt tu nie pomoże, — może jeden Deptuła. Tylko, tylko Deptuła, główny intrygant, macher, przecież Deptuła był w Zagłębiu, Deptuła wszystko wie, doskonale pamięta, Deptuła gra ze starym Mieniewskim swoją polityczną partję.

Już na drugi dzień rano pojechała do sejmu. Marszałkowscy drabanci w pięknych amarantowych rabatach zatrzymali ją zaraz w przedsionku. Białemi irchowemi rękawiczkami roztworzyli jej dowód osobisty i wzruszyli wyrozumiale ramionami. Cóż znaczy taki dowód? Nic. Trzeba mieć pozwolenie stałe, urzędnicze, czy dziennikarskie. Dla zwykłej publiczności jest galerja.

Zuza patrzyła nieporadnie to na czarną tablicę z wypisanemi posiedzeniami różnych komisij sejmowych, to w głąb przedsionka w zezowatą perspektywę szklanych drzwi, to wreszcie na strażników. Przypominali jej postawą i godnością kopalniane drużyny ratownicze. Wszędzie, wszędzie jest instytucja drużyny ratowniczej?! Nawet w sejmie?!

— Znam bardzo dobrze, — mówiła, — pana Mieniewskiego, pana habiego Lachowskiego, pana pośła Strzęgorza.

Nie trafiła widocznie na właściwe nazwisko. Zapewne: — jakby ktoś, pragnąc wejść do Zarządu Erazma, powoływał się na geometrę Falkiewicza, czy na któregoś z inżynierów, lub nawet zawia-
dowców, a nie na Coeur'a.

Wyjaśniło się wreszcie, że pana posła Deptuły niema w sejmie na żadnej z komisij, natomiast mieszka w hotelu sejmowym.

Śpiesząc dokoła długich sztachet ogrodu sejmowego, utwierdziła się Zuza jeszcze mocniej w swoim postanowieniu. Porozmawiać z Deptułą, bezczelnie i otwarcie. Niech tuszują odrazu, — przecież mogą, — sprawę Tadeusza i zabitego Krasny, a ona, Zuza, może Deptule pomóc w wielu sprawach, jeżeli chodzi o Strzęgorza, czy Lachowskiego, czy może o coś jeszcze w Zagłębiu, może o firmę HART, ona, Zuza, może się doskonale odwdzięczyć takiemu Deptule.

Dwa dni biegała do sejmu, potem znów do hotelu sejmowego, by odnaleźć Deptułę. Napróżno. Poseł w sejmie był nieuchwytny a pod numerem pokoju swego w hotelu nie znajdował się nigdy.

Musi tu pomóc ktoś, — Strzęgorz nie zechce, — musi pomóc ktoś z posłów, — jak zawsze w takich głupich, nibyto łatwych i pospolitych sprawach, ale tak nieporęcznych zarazem, chyba znów tylko Koza... Zjawił się nareszcie, przyjechał z góry windą, dawny sekretarz Koza, kochany poseł Koza, — „biedne zwierzę domowe”.

Zuza przybrała sztuczną pozę, uroczystą niezmiernie, zarazem wielce sentymentalną. Nie pasowała ta poza do garnituru Kozy w kratkę, a zwłaszcza do kaszkietu. Poseł trzymał w rękach czapeczkę z daszkiem, materiałową, szarą, w drobny rzucik zielony, jaką noszą w osadzie górnicy.

Zdziwił się, widząc tu Zuzę tak spłoszoną i tak wielce uroczystą. Uczynił gest nieśmiały, prosząc, aby zajęła miejsce. W hallu czekali jeszcze różni inni na

różnych innych posłów. Bo sejm to konfesjonał bólów całej ludności kraju.

Koza uczynił gest nieśmiały, poczem odrazu usiadł na wyplatanem krześle.

— No, i cóż jeszcze więcej? Nic nie rozumiem. Czy stało się coś jeszcze nowego? Zapewne znowu bank. Pieniądze, znów pieniądze. Nie moja wina, — szeptał — nikt mi nic nie zarzuci... Przepowiadałem i ostrzegałem w porę... Jeżeli chodzi o mnie. A także sytuacja... W danym razie i w tych okolicznościach...

Koza bajdurzył znowu, jak zawsze: — Przepowiadałem, — nikt mi nic nie zarzuci, — w takich wypadkach właśnie, — rzecz prosta, — w danym razie...

Spocone palce wycierał o zasmolone denko czapki robotniczej. Widocznie miał dziś zebranie na przedmieściu, skoro szedł w takiej czapce. W natłoku myśli, nie mógł teraz zrozumieć, skąd w jego czapce wziął się malutki pasek nad daszkiem? Tego paska nigdy dotąd nie zauważył. Ale cóż taki pasek, wobec odzieży Zuzy?!

Zawsze tego doznawał, gdy się spotykał z panną Zuzanną Kostryńiówną: jej odzież! Z futerka szyja się wyłania, na szyi nic, sam tylko połysk skóry, zaraz poniżej zagubiony dyskretnie w obszyciu kostjumu. I fałdy na żakiecie i zaraz układ sukni, jakby kielich kwiatowy, a znów z kielicha wysuwają się stopy tak dyskretnie obute!

Zuza podniosła się, szepcząc do Kozy poufnie: — Chodźmy stąd, panie pośle, niech mnie pan przeprowadzi do siebie. Chcę z panem porozmawiać bez świadków.

Czemuż hall nie był po brzegi wypełniony ludź-

mi?! Czemuż tu nie siedzieli, jeden przy drugim, jak na wiecu, by mogli patrzeć, by mogli raz zobaczyć, jak Koza przeprowadza piękną pannę do windy hotelu sejmowego?! Musieliby pomyśleć: randka! Randka posła socjalistycznego! Musieliby pomyśleć: — czy ten poseł nie zejdzie z drogi obowiązku w obliczu takich pokus?! Pożyłoby w tych widzach chociaż przez krótką chwilę kłamstwo takich pozorów, a znów w kłamstwie tem pożyłby sobie tak szczęśliwie sam Koza!

Wyjechali na trzecie piętro, tu przecież mieszkał w hotelu sejmowym. Wpadł do swego pokoju przedtem, aby uporządkować, zobaczyć, czy gdzie nie leżą na wierzchu skarpetki, albo gacie, albo też stare portki, nieporządnie rzucone? I czy jest pokój po nocy przewietrzony? Porządek prawodawstwa rozluźniony!

Owszem, stora była zsunięta, ale okno otwarte. To dobrze. Pachniało nawet nieźle fiołkowym weżetałem do włosów. Zapach ten może zostać. Stare buty pod łóżko szmyrgnąć, — zapóźno!

Zuza, nie pukając już, weszła.

Teraz dopiero struchlał Koza naprawdę. Pamiętał bowiem o weżetalu, starych butach, zapachach, a zapomniał o trąbach! O trąbach swej orkiestry z Osady, które to trąby, już trzy, — jeden helikon i dwa bombardony, — odesłali mu towarzysze z Osady Górniczej do naprawienia, tu, w Warszawie. Jako, że nic nie warte, bo niemożliwa rzecz, żeby tak wielkie trąby mogły się popsuć bez żadnego powodu. Niby złote, rozdęte aureole piętrzyły się wspinałym skrzętem, jedna na szafie, a dwie zaraz przy łóżku.

Zuza nie raczyła nawet spostrzec tych śmiesznych instrumentów.

— Panie Alojzy, — rzekła oparłszy się o szafę. — Przyszłam tutaj do pana z prośbą. Wiem, że mi pan pomoże, liczę na pana zawsze, nawet w wypadku, gdyby prośba moja miała być dla pana przykra, czy bolesna. To się tak składa między nami, że ciągle sprawiam panu cierpienie, może nawet stosunkowo zbyt wielkie?!

Koza zamachał ramionami, wydając ze ściśniętego gardła przeciągły jęk. Podbiegł do niej, z rękami nieporadnie zwisającymi wzdłuż postaci. Na ćwierć kroku zatrzymał się, wpatrzony w oczy Zuzanny.

— Mógłbym, — rzekł, — bardzo wiele tu mówić. Mógłbym powiedzieć pani chyba wszystko, co każdy człowiek raz w życiu powiedzieć uważa sobie za jedyne szczęście. Jeżeli jednak nie mówię tego teraz, to jedynie, by nie być śmiesznym. By nie być śmiesznym!!...

Zuza, westchnąwszy ciężko: — Jak pan chce, kochany mój, pocziwy, jedyny przyjacielu. To już nie moja rzecz, a pańska, panie Koza. Ja mogę panu tylko zadawać takie właśnie cierpienie, tak, tak, bo mam w tem jakąś korzyść, interes osobisty, bo sobie inaczej rady dać nie mogę, a pan może mi pomóc. Tak to się składa między nami pospolicie i nieszczęśliwie. Musi mi się pan wystarać — dodała nagle, — o adres Deptuły. On ma tu mieszkanie, ale nie mieszka w sejmie. Mieszka gdzieś prywatnie, nie mogę dotrzeć, gdzie? Potrzebuję tego adresu zaraz. Nie, nie, nie w związku z naszymi pieniędzmi, ale ze względu na Tadeusza, przecież pan wie...

Przecież pan wiel! Te słowa właśnie zwały się na Kozę straszliwym ciężarem. Alojzy upadł na kolana i przez pół objął Zuzę, stojącą na środku pokoju. Uderzył przy tem niezręcznie głową o jej biodro, oślepty z rozpaczy, tak całkowicie pewien swojej klęski.

Cóż Zuza? Nie słuchała i nie patrzyła nawet! Będzie tak teraz ciągle: Koza, czy też Lachowski, czy jeszcze inny. Wszyscy inni będą ją zaprzętałi, a ona będzie z nimi i będzie z nimi obcować tak marnie, miłosiernie, a gdy dwa kroki uczyni naprzód, cztery ją wtył odrzuca.

Czuła w tej chwili uścisk Kozy przez biodra, — jakby ogólny, zbiorowy ciężar życia, wszystkich przeskód i przeciwności i minionego grzechu i może nawet zbrodni?! Czuła ów cały ciężar, nie doświadczając poczucia winy żadnej. Pamiętała jedynie o wyrachowanym obowiązku ulegania owemu ciężarowi.

Nie występując z jego niskich uścisków, schyliła się nad Kożą.

Plakał.

To nic, to nic, to nic. — Z uczuciem świątobliwie dokonywanej prostytucji, ucałowała go w czoło i objęła jego głowę. Ale już w dwie godziny potem do tejże samej kawiarenki, gdzie to siedzieli niedawno, przyniósł jej Koza tajny adres Deptuły.

Sekretarz Koza twierdził, zdyszany, zgrzany, śmieszny, że musiał być dla tego zrobić niemalą podłość. Ze sekretarce klubu Bigdziaków nagadał coś o spisku, że się przysięgł, iż owego adresu nikomu z posłów nie da, że zresztą nawet Deptuła tam nie mieszka stale, a tylko jakaś pani Guńkiewiczowa.

Zuza już nie słuchała tego wszystkiego. Poklepawszy go po spoconej ręce, wyszła z cukierni. Czemuż nie wzięła samochodu? Szła piechotą, niepomier- nie zdziwiona kształtem domów, ruchem ulicznym, całym wyglądem miasta. Szła piechotą do mieszka- nia Deptuły, w głębokiem przeświadczeniu, że prze- kracza ważną granicę, że może idzie naprzeciw siebie samej, ale gdy się spotkają za tą granicą Zuza dzisiejsza, oraz tamta nowa z za tej granicy, je- dynie czasem od dawnej oddzielona, złączą się w jed- ną całość... Wobec której ta Zuza, idąca teraz ulicą Marszałkowską, będzie już innym, całkiem innym człowiekiem!

Przeczcucia, przywidzenia, mądrości, niepokoje!

Posel Deptuła nie spodziewał się takiej wizyty. Leżał, jak zawsze podczas ciężkich dni politycznego przesilenia w barłogu i wysłuchiwał sprawozdań pa- na Kapuścika.

Pan Kapuścik począł się był już orientować w pogmatwanej dyscyplinie swej służby. Dobrze już teraz wiedział, który z jego bezpośrednich, czy też po- średnich przełożonych do jakiego należy obozu. Pan Kapuścik miał teraz jedynie na widoku spr- awę hotelowego skandalu w Ekscełsiorze... Był to, jak się okazywało już niemal codziennie z admonicji posła Deptuły, główny kamień węgielny kariery Kapuścika.

— Te wszystkie twoje występy, najdroższy Ka- puściku w Zagłębiu Węglowem, — mówił Deptuła, — to jest, chciej wiedzieć najdroższy mój, prymityw! Szkółka początkowa, freblówka. Teraz masz zdać ma- turę tutaj... Nie wiem, nic nie wiem, jak to tam jest z tem twojem wykształceniem olicjalnem. Ale, jak

widzisz, wcale o to nie pytam. Chodzi mi znacznie więcej o twoje wykształcenie polityczne. Masz teraz zdać maturę, a od samego mnie bierzesz korepetycje, nie powinien ci więc egzamin sprawić zbytńich trudności.

Może nawet za małe trudności sprawiał panu Kapuścikowi ów egzamin. Z zajęć biurowych wymotał się Kapuścik nad wyraz prosto, zasłaniając się znacznym autorytetem pana posła Deptuły. Z prac dookoła bezpieczeństwa, zwłaszcza z resortu spisków, czy ruchów zbrojnych, wysupłał się, ba, nawet na instancję osobistą Deptuły u ówczesnej władzy państwowej.

Władza ta była miękka, — Deptuła mówił sam bez najmniejszej „krępacji”, — władza, jak jajecznicą. — Widzisz, — powtarzał później Kapuścikowi, — wydobyłem cię z roboty, do której tak się niepotrzebnie pchałeś. Wydobyłem cię z romantyzmu, z rinaldinizmu policyjnego. Bo co?!... Możesz wszystko wyrabiać, zawsze przebaczą jakoś i zapomną, ale to! Ale zbrojna konspiracja, to jest zawsze najbardziej karalne, oraz najdłużej zawsze pamiętalne! Trzeba cię oszczędzać na przyszłość. Na długą, dobrą przyszłość.

Pan Kapuścik nie przepadał specjalnie za Deptułą, ale szacunek i podziw miał dla posła ogromny. Taka pamięć, taka przytomność umysłu i niezgłębiona zawsze wiedza o tem, kto z kim i kto dla czego i kto za co.

— Możesz innych popychać do broni, — przepowiadał Deptuła, — ale sam zawsze zdaleka bądź od noża. To jest na całe życie najdroższa twa dewiza, Kapuściku najdroższy!...

Od czasu rozpoczęcia sprawy hotelowej zwykł był Deptuła mówić już — K a p u ś c i k u i po takowem wygłoszeniu nazwiska dodawać gest nadwyraz osobliwy, gest kucania, czy przysiadania, ukrywania się w gąszczach. Gest naiwny, a jednak tajemniczy, który za każdym razem przestraszał Kapuścika. A może byłoby rzeczą o wiele bardziej celową i ludzką nie czynić takich gestów, lecz oględniej szanować nerwy takich choćby współpracowników, jak Kapuścik?

Pan Kapuścik potrzebował teraz specjalnie spokoju. Odrobiny szacunku, wszystko jedno, na którym polu własnej pracy. Poświęcał się! Nie mógł, jak wszyscy inni prości ludzie, cieszyć się swoim dzieckiem. Swoim chłopcem. Odmawiał sobie szczęścia rodzinnego. Zaklął Karolinę Peczyńską (tak, dawniej Domagała), zaklął swoją Karlotkę, dzisiaj żonę dozorca na Politechnice, Budynek numer 3, by się ich chłopiec nazywał Janusz.

Nie Jan, psiakrew, lecz Janusz!! Czy te chamy, więc dajmy na to Peczyński, i rozmaite kумы, chamskie ogony wołowe, zrozumiej różnicę pomiędzy Jan a Janusz?! Pan Kapuścik widział swojego chłopca raz jeden tylko. A tu Bigdziaki miały już dojść do władzy, dziś, jutro, lada dzień, z godziny na godzinę. Z godziny na godzinę mógł ten zwykły Kapuścik, dziś wykonawca tajnych zleceń Deptuły, — zacząć wielką karierę.. Kraj się budował na prawo i na lewo, jeszcze tylko przerobić aferę hoteli i już na wielkich wodach wasz posłuszny Kapuścik! Dajcież mu odrobinę spokoju w tak bardzo trudnym czasie. Gdy wszystko pcha się naprzód, a znów prąd fizjologii odnosi wtył człowieka.

Jak sobie radzić z tym prądem fizjologii?! Może to było zwyrodnienie? Albo tak zwany kompleks?! Czyta się o tem w medycynie sądowej. Dzieła tej medycyny wypisywał sobie ongiś jeszcze w Zagłębiu i nawet do czytania dawał Kapuścikowi dyrektor Kostryń. Dawał je razem z Gazetą Policyjną. Więc albo zwyrodnienie zdrowego prądu fizjologii, albo też może coś wyższego, duchowego, uczuciowego? Djabli wiedzą!

Pan Kapuścik mógł przecież mieć, gdyby tylko zapragnął, — tych wszystkich uciech szalonych, wielkomięjskich, których dostarczać może stolica takiemu stanowisku konfidencjonalnemu, jak Kapuścika! Takich uciech, możnaby mieć na takim stanowisku, ile dusza zapragnie!

A tymczasem nie, nie i nie i cóż ukrywać?! Od wszystkich uciech wytwornych wołał Kapuścik po staremu swoją Karolkę Peczyńską - Domagało. A uciech, choćby z powodu sprawy hoteli PATRIA EKSCELSIOR, ile kto chce! Nawet tu właśnie, na temże samem szóstym piętrze, nad sławnym barem KLASA, chociażby w kojcu pani radczyni czy też hrabiny Guńkiewiczowej!

Nie 'popróbował to sobie tu Kapuścik choćby tej Lolki Romek? Trzeba było o niej coś wiedzieć bliższego, efektywnego, — co za dziewczyna, skąd i po co, na co i jakimi drogami? Takie rzeczy musi się wiedzieć w policji pozytywnie. Pozytywnie, to nie znaczy po łebkach! Czy pan poseł Deptuła miał wchodzić w te drobiazgi? Deptuła mógł nie wchodzić, ale Kapuścik musiał. I co? I wszedł w drobiazgi i zawiódł się ogromnie...

Nie zawiódł się bynajmniej co do ciała. Istna rzepka, — jędrne to, ściste, gładkie, bez żadnej woni niedobrej, owszem, nawet pachnące, a piersi, nogi, wogóle kształty, jak z ogłoszenia mydeł zagranicznych, czy też pasty do zębów, czy też jedwabnych pończoch, coś całkiem klasycznego!

Siedzieli w pokoiku we dwoje, urządzonej miała Lolka tę swoją mansardę mieszkalną, istny pokój paniński, niech się schowa każda Kostryńiówna. Święte obrazki, dyskretnie umieszczone i wszystko w bieli, i parawanik w bieli, i umywalka w bieli, nad umywalką fotografie atletów sportowych, wykrojone dyskretnie z sportowej prasy.

— Ach, panie komisarzu, — powiada panu Kapuścikowi Lolka Romek, — co się będziemy bawili w chowanego, pan jest z policji, prawda? Pochodzę z Łomży, co pan chcesz jeszcze wiedzieć? Jeszcze może imiona rodziców?

Zamiast imion rodziców, poprostu w sukieneczce, jak była już do wyjścia, przechyliła się nagle, tu na kanapę, jakgdyby ktoś kieliszek stawiał do góry dnem.

I lekko i odrazu i już. I ręce pana Kapuścika przykłada już do siebie, na te miejsca osoby swojej, które sama uważa. I tak żęgluje i tak jakoś steruje po sobie, — więc co tu mówić jeszcze, dziewczyna z drygiem rzadkim, a nie zdołała w Kapuściku wywołać właściwego prądu fizjologii. Pod względem ciała o ileż lepsza od Karoliny Pecińskiej-Domagalo, ale, mierząc na prąd, o ileż słabszy!

— Co do wyboru, — referował to potem pan Kapuścik panu posłowi Deptule, — nie można nic zarzucić, jeżeli chodzi w aferze Ekscełsioru o intymne

zbliżenia. I owszem, panie pośle, ta dziewczyna ma ciało przyszłościowe, żelazo - beton, marmur! — Kapuścik znalazł się na tem, jako dawny sportowiec, a przytem, — także skóra, panie pośle, mało powiedzieć gładka, ta dziewczyna ma skórę, jak gлянсовany portfel dyrektorski.

Deptuła charknął i ślepią wybałuszył, on, który zawsze, jakby czołem tylko spoglądał.

Rozmowa z postem Deptułą o Lolce Romek zesła Kapuścikowi równie niemiło, jak niemiłem, choć takim gładkiem erotycznie było owo zbliżenie próbne z samą Lolką. Deptuła charczał, rzucał się, prychał, kazał też sobie opowiedzieć cały przebieg spotkania z wszystkimi detalami, co przekraczało może rzeczywistą potrzebę informacji. Potem piwo postawił Kapuścikowi, wypili tego ranka, ni stąd ni zowąd, — po niemiecku. To jest, koniak, wiele koniaku, zagryzającego piwem. Deptuła śmiał się przytem, że go nakoniec wszyscy zdradzą, jak się przy końcu zawsze zdradza proroków, choćby najlepszej sprawy.

Kapuścik znów przeproszał i ślubował, sam już nie wiedział co?... Dowodził, że do afery hotelowej Lolka się nie nadaje, nic w niej niema salonu, nic niema wychowania, ani za grosz hajlajfu. I nazbyt wielka łatwość!

Deptuła znów wpadł „na to“ w ogromne oburzenie. — Ty mnie tu nie ucz, durniu, — wołał z pośród butelek rozrzuconych na kołdrze, — kto się nadaje, a kto się nie nadaje, gdyż ona się nadaje! Nie nadaje się mówisz, ale kto się do niej zbliży, to go potem rozkosz po kościach łamie. Ba! nawet taki Strzęgorz!

Z tego łatwo mógł wywnioskować Kapuścik, że nawet taki podwójny doktor fakultetów i leader, no, i poseł trzęsący stronnictwami, wielki Deptuła, — coś chyba czuje bardziej gwałtowniejszego dla takiej Lolki Romek. Z powyższego powodu, zaraz przy koniaku jął się Kapuścik wycofywać, — że nic, że tylko zetnął co do łóżkowego przebiegu spotkania z Lolką Romek.

Deptuła wściekł się o to jeszcze bardziej. Począł gnębić Kapuścika bardzo brzydkimi słowami i już nawet chciał bić. Niby to nie o Lolkę, ale o „tajchłowanie“, nieszczerłość i nieprawdę.

A więc latają za nią Deptuły i Strzęgorze i pewno inni jeszcze przygodni goście z miasta, Kapuścik sam wypatrzył niejednego studenta. Teraz jednakże po takiej głupiej scenie już nic nie śledził więcej, a niech się rozbijają. Pod względem politycznym a także erotycznym, z punktu widzenia prądu fizjologii nie mogło tu być żadnego porównania: jakie przeżył uczucia z Lolką Romek, a jakie nastroje i porywy, gdy przyszła wreszcie do niego głupia, poczciwa Karolka Domagała-Pecyńska! W tem sęk! Czy to zboczenie, kompleks? Czy odwrócenie całego prądu fizjologii? Czy coś uczuciowego, duchowego i prawdziwa rzecz serjo?!...

Karolina przyszła „wszystkiego“ raz, a jakby przychodziła sto razy, tyle liryzmu czuł w sobie pan Kapuścik na jej widok. Zakrawało na prawdziwą tragedję, Pecyński, dozorca politechniki, „Budynek numer 3, — okazał się zazdrosnym. Przed ślubem było mu wszystko jedno, ale teraz, po ślubie, mówił, że

gdyby coś takiego, niby „na boczku“, bez wahania zabije!

Karolcia przysła z dzieckiem zawiniętem w chustce, — z malutkim Kapuścikiem.

Tu Polska w prawo, w lewo buduje się, pomnaża, ma być kraj w stu procentach, tu władza się rozrasta, tu wystrzela karjera z tej władzy coraz śmieiej — a tu synek rodzony paraduje przez całą Warszawę, jak nędzny syn dozorczy? W chustce, nawet nie w wózku!

— Masz go, twojego bysia, — rzekła Karolka, siadając w pierwszym pokoju na brzegu biurowego fotela.

Kapuścik miał dla siebie pełne dwa pokoje w Mokotowie, w nowym kooperatywnym domu, zwolnionym od podatków, ale w którym mimowoli prowadził meldunki i dzięki temu nie płacił za mieszkanie. Dwa pokoje, czyli jeden biurowy salon, a drugi — sypialka. Łazienka się nie liczy, jako pokój. Ale, że była i że była kuchenka, więc możnaby powiedzieć, że pan Kapuścik dla siebie miał cztery ubikacje.

— Ależ pan mieszka tu, panie komisarzu, rzeczywiście, jak hrabia, — zawołała Karolka.

W pierwszym salonie biurowym stało siodło na stojakach, z trenzelką, odznaki za strzelanie pod okurzoną pięknie gałęzią palmową, fotografia rodziców w złotej ramie; na ścianach jeszcze do tego Ractawice i Grunwald i Hold Pruski Matejki, powiększona fotografia Prezydenta, oraz marszałek Foch dla znaczenia przymierza Polski z Francją.

Kapuścik nie dosłyszał poprostu okrzyku Karolki, wpatrzony w swego syna. Patrzył na tego syna

chyba za cały czas, — nie widzieli się ojciec z dzieckiem na tej ziemi. Patrzył, nie słysząc nic i może nic nie widząc, bo nie potrafiłby nikomu słowami opowiedzieć, jak wyglądał ten syn?...

Co znaczą słowa w chwili tak poważnej?! Znaczą tu tylko rozgwar, zamęt w uczuciach, całkiem niezrozumiały. Dopiero gdy Karolcia powiedziała, — nie wiem, gdzie go położyć tego twojego bysia, — usłyszał pan Kapuścik te słowa.

— Warjat ze mnie! — wykrzyknął. Pokazał jej mieszkanie całe, wszystkie kurki od gazu, nowe „reszo” i kureczki od wanny, gdzie natrysk, a gdzie wieczny ogieniek gazowej kąpieli. Dali dziecku bułeczkę, poczem zasiedli do podwieczorku.

Karolka pić nie mogła koniaku, chociaż Martel, bo karmiła. Kapuścik pił, była szynka i korniszony, ciastka z Ziemiańskiej i czekoladki ananasowe, specjalne, a potem, gdy dziecko zakwiliło z sąsiedniej sypialki, Kapuścik zsunął storę i ze słowami, — mnie też należy się rodzina, — poniósł swoją Karlotkę na kanapę.

Jakież to porównanie z Lolką Romek? Żadnego! Tam kobieta i tu kobieta. Tam ciało i tu ciało, tu nawet ciało gorsze, zwątlone macierzyństwem, ale tyle tu jest do zasycenia, złagodzenia!! Tak dalece tragiczny prąd fizjologii dokąd może prowadzić? Prowadzi chyba do wytworzenia jeszcze jednego dziecka, czyli jeszcze jednego podrzutka, jeszcze nowej ironji i jeszcze rozszerzenia wpływów przemożnych dozorca Pecyńskiego na Karlotkę! A cóż ona? Karlotka?

Śmiała się blado w mroku biurowego salonu pa-

na Kapuścika, tak blado, tak potulnie, jakby ją każdy mógł mieć na swe żądanie, a tymczasem było to tylko nowe chyba przeczucie nowych smutnych zawiązków sztucznego położenia życiowego... Karolcia śmiała się raczej blaskiem swych sinych warg, niż rzeczywistą radością. Kapuścik uznał w duchu, że Karlotka Domagała-Pecyńska uśmiecha się żywiolowo, jak ziemia. Nibyto bierze ją, kto tylko chce, nawet ów mąż, Pecyński, lecz kto potrafi odczuć ją i przecierpieć należycie?!...

Ta myśl szlachetna sprawiła, że pan Kapuścik, nacieszywszy się Karoliną, jak żoną a zarazem matką własnego dziecka, ach, — nacieszywszy się do dzięsiatego potu, — gdy się już rozstawali stropił się bardzo. Przy rozstaniu bowiem walczyły w panu Kapuściku przeróżne myśli sprzeczne: że musi jaknajprędzej zrobić wielką karierę, by nie mieć czasu na takie głupie sprawy. Oraz, że gdy już zrobi tę karierę, odda małego Pecyńskiego do korpusu Kadetów.

— Ten nasz mały, — rzekł Kapuścik Karolce już przy drzwiach, — zostanie oficerem. Ale nie noś go w chustce. — Pomyślał chwilę, poczem wyjąwszy z portfela sto złotych, dał Karolce na wózek dla Janusza.

— Ma być ten wózek, — mówił Kapuścik srogo, — jak je widuję takie wózki w Alejach Ujazdowskich. Jak takimi wózkami jeżdżą dzieci przeróżnych dyplomatów. A ty, nie masz mi chodzić w chustce. Masz mi chodzić po miejsku. Wózek taki jest włąb wpuszczany, pomiędzy koła gumowe, na resorach i z piękną ceratową budką. Czy też skórzaną. I ma, — Kapuścik recytował jednym tchem, jak czło-

wiek, który daną rzecz przestudjował szczegółowo, — przed twarzą malca, rozumiesz, taką celulojdową ściankę czy szybkę do osłonięcia od wiatru. Taką ściankę w skórzanej oprawie. Ileżto może kosztować, na przykład, jak sądzisz? Śliczna rzecz taki wózek!

Karolcia Pecyńska-Domagała zaemiała się spokojnie i żałośnie. Wózek taki jest pewno bardzo drogi!

Mimo, że po raz drugi nie przyszła już z Januszkiem do Kapuścika, dała mu znać telefonicznie, do biura, — umiała się połączyć znakomicie, — że mały zachorował na brzuszek, od tej cukiernianej babki, co to mu dali w t e d y, że zapłaciła doktora i lekarstwa, że danych sto złotych rozeszło się na leczenie, gdyż nie wzywali doktora z Kasy Chorych, bo sąsiadka wezwała doktora z Kasy Chorych i dziecko zaraz zachorowało (jej dziecko, tej sąsiadki) na różę. A taki wózek z celulojdową ścianką na głębokich resorach z rzemiennymi paskami kosztuje nie sto, ale najmniej ze sto pięćdziesiąt złotych!

Kapuścik dał jej, całych dwieście, nie sto pięćdziesiąt złotych na ten wózek, a teraz siedział u posła Deptuły, niby na rozżarzonych węglach.

Z wysokich okien szóstego piętra nad barem KLASA widać było przejeżdżające po torach wesoło lokomotywy stacji centralnej, ale czyż biała wesoła kita lokomotywy, wykwitająca w słońcu wiosennego poranka, zdoła wyrównać brak około trzystu złotych w rachunku, który wcześniej czy później wypadnie jednak przedłożyć posłowi?

Kapuścik referował sprawę hoteli, EKSCELSIO-RU i PATRII, — że ma już prawie całą obsadę, że to pójdzie, jak z płatka, że intendent hotelu PATRIA

okazał tyle dobrej woli, że właściwie już jest gotowe wszystko. Kapuścik referował, a równocześnie miał w kieszeni karteczkę z wydatkami poczynionymi w aferze hotelowej.

Do poszczególnych pozycji — na tę nieznośną sprawę dawał poseł Deptuła pieniądze ze swej własnej szkatuły, — postanowił Kapuścik doliczyć po kilka, czy kilkanaście złotych, czy nawet kilkadziesiąt. Pozaokrągać poszczególne pozycje i tym sposobem rozpylić koszta wózecka wśród wydatków, związanych z Lolką Romek, czy z metrdotelem EKSCELSIORU, czy z fortancerem PATRII, lub innymi typkami, mało to tego było w takiej sprawie?!

Kapuścik rozpylił ową sumę trzystu złotych (niechże sobie Karlotka dokupi jeszcze do wózka ze dwie pary jedwabnych pończoch) bardzo ostrożnie, ale się teraz bał wyciągnąć odnośne konto z kieszeni.

Bał się nietylko przenikliwości pana posła Deptuły, ale siebie samego... A tak, samego siebie! Gdzieś na świecie musi być zawsze wkońcu jakaś granica, gdyż inaczej świat nie byłby światem, życie zaś przemieniłoby się w grzęzawisko. Tak tłumaczył Kapuścik niejednokrotnie te sprawy pieniężne swym agentom i to samo wyznawał sam. Muszą być wkońcu jacyś ludzie na świecie, których się — i to jeszcze w takich drobiazgach, — nie nabija w butlę!

W myśl tej dewizy nie wyciągnął kartki z fałszywym zestawieniem pozycji, lecz zameldował Deptule, że mniej więcej, około trzystu złotych rozleciało się, oprócz wszystkiego, gdzieś przez palce przeciekło drobnymi wydatkami i niepodobna doliczyć się obec-

nie tego, — Kapuścik wybuchł przy tej sposobności tak frasobliwym śmiechem...

Takie śmiechy, nie do Deptuły! Poseł Deptuła nasrożył się ogromnie.

— Jeżeli czegoś chcesz, jeżeli pragniesz urwać trochę dla siebie, — wyrzekł poseł Deptuła, skrobiąc gęste kudły na piersiach, — to masz przyjść i poprosić. Dam, albo nie dam, to jest już mój interes. Możesz nie mówić nic i figlować w pozycjach wydatków, jeżeli sprawa na tem nie ucierpi. To możesz też. Ale nie wolno ci, najdroższy Kapuściku, figlować jawnie, że rozleciało się, przeciekło drobnemi wydatkami! Ja wiem, że wszyscy kradną. Trzeba kraść jednak umiejętnie, poważnie i dyskretnie. Skąd przychodzę do tego, żebym miał myśleć o twoich osobistych sprawach?! To mnie nic nie obchodzi. Kradnij, niech o tem nie wiem, rzecz na tem niech nie cierpi, ale wyznania tego typu i takie konfidencje i takie pospolite naiwności możesz schować dla siebie!

Kapuścik skoczył z krawędzi deptułowskiego łóżka na równe nogi, Deptuła jął niespokojnie rzucać głową i siać blaski swem białem czołem, — do pokoju weszła tak, bez pukania Zuzanna Kostryniówna.

— Zjawisko! — zahuczał ciężkim basem Deptuła.

W tak szczęśliwym zbiegu okoliczności, Kapuścik, ośmielony zawołaniem Deptuły, spytał co prędzej o zdrówko, o kolanko, iż nie pozostawia w chodzeniu absolutnie żadnego śladu.

Kostryniówna, jakgdyby nie słyszała okrzyków Deptuły i Kapuścika, Rzekła ze środka pokoju, wpa-

trzona w daleki widok stacji centralnej: — Jak tu ładnie. Ależ prześlicznie!

Na dalekiej, połyskliwej przestrzeni niezliczonych torów wykwitwały białe czuby lokomotyw. Powietrze drżało w słońcu. Pociągi odjeżdżały, lub wjeżdżały na stację z głuchym, a tutaj ledwie dosłyszalnym loskotem, niby nakręcane pociąжки dziecinne.

— Ludzie stąd, — zawołała Zuzanna, — jak mrówki! — Wyszła na balkon, niby chłonąc ten widok i sycąc się bezmiarem powietrza. Gdy powróciła po chwili, Kapuścika w pokoju nie było.

— Bardzo rozumnie, — rzekła, przypatrując się Deptule, — że pan odprawił pana Kapuścika. Widziałam pana ostatni raz podczas pokazu mód i kostjumów w hotelu EKSCELSIOR. Oczywiście, poznałam pana znacznie wcześniej z gazet. Z takich portretów znają pana wszyscy w całej Polsce.

— Pani mnie z gazet, ja panią znam jeszcze z Zagłębia, z czasów waszego procesu.

Rozmawiali nadzwyczaj szybko, zdanie po zdaniu, pytanie i odpowiedź, jakgdyby bez namysłu.

— Podczas procesu byłam ogromnie zdemoralizowana. Gdybym tam miała pod ręką taki balkon, jak pan ma tu, wyskoczyłabym chyba na bruk. Pan się dziwi? Pan myśli zapewne, że tak zwana dzisiejsza młodzież nic nie myśli i nie czuje? To nie jest słuszne.

— Nikt nie wątpi, że myślicie i czujecie, po swojemu. O tem nikt nie wątpi. — Deptuła siedział na łóżku. Zdążył był jednak wdziać pyjamę. To jest, ściślej rzecz określając, swą szarą marynarkę. Pyjam

nie znosił, uwierały go zawsze w kroku. Nie chciał jednakże pozostawać w koszuli nocnej.

— Pan wie dobrze, z których ja jestem Kostryniów?

Wybuchł śmiechem i rzekł: — Naturalnie, z tych samych, to jest z węglowych. Jesteście teraz obie panie, to znaczy pani z mamusią, dosyć głośne w polityce. Uratowałyście, na parę dni, może tygodni, tego cudaka Mieniewskiego. Pani pewno w związku z tą sprawą przychodzi do mnie? Cóż się tam stało?

— Nic się nie stało, panie pośle. — Zuza usiadłszy na krzeselku w środku pokoju, wpatrzyła się w twarz Deputy całkowitym wysiłkiem wszystkich swoich władz ducha. Chciała koniecznie przeniknąć to oblicze, zbadać ten porowaty łopuch zielonkawy, wylewający się z grubej nasady karku rozfalowaną powierzchnią.

Twarcz Deputy trwała przed Zuzaną naprzeciw słońca, — martwa, jak twarcz ślepego.

— Nic się nie stało — powtórzył za Kostryniówną.

— Pan zna, panie pośle, mój proces. Zostałam uniewinniona przez sądy. Jestem więc niewinna w tamtej sprawie. Nikt nie może powiedzieć —

— Nikt nic nie może powiedzieć. Nikt nic nie powie nawet o tej dziwnej zręczności, dzięki której udało się pani zdobyć mój adres tutejszy.

— Są to okoliczności, panie pośle, dość osobliwe.

— Osobliwe! Pocóż tu tyle mówić. Pani ma przecież nietylko takie banalne drobiazgi poza sobą. Nie tak dawno zabiła pani swą rywalkę, inną kobietę, ści-

ślej mówiąc, dziewczynę z ludu. Nazywała się, no, mniejsza o to —

— Nazywała się. — westchnęła Zuza, — Lenora Duś.

— To już jest teraz obojętne. Zabiła ją pani, wykorzystując swe położenie socjalne. Byłem na procesie, pani dobrodziejko, sam przecież jestem prawnikiem, — mówił spokojnie Deptuła. — Poznałem tę sprawę na wylot. Załatwialiśmy tam wtedy, w Osadzie, kwestję dostaw dla firmy HART. Cóż? Potem, postarała się pani, by pieniądze pana Kostryńia, ojca pani, zostały zweekswowane na drogę społeczną. Bardzo rozumnie... Ba-a-ardzo rozumnie. Dzięki temu zmasała pani, że tak powiem, plamę zabójstwa, a ostatecznie ulokowawszy tak właśnie owe pieniądze, nic na tem nie straciecie. Gdyby nawet zawalił się Mieniewski, myślę, — dodał Deptuła z naciskiem, — o starym leaderze Mieniewskim, partja będzie musiała wypłacić się za niego. Partja nie mogłaby przelknąć gładko pieniędzy, pochodzących z rąk zabójczym dziewcząt proletarjackich. Podziwiam panią od początku tej całej sprawy. Rozum, — energja, — spryt!

Zuza zmartwiała. Pierwszy jej odruch, wstać i wpić się paznogciami w ten szary, płaski pysk. Rozedrzeć go na strzępy. Ale nie, ale nie, lepiej iść drogą rozumowań Deptuły. Stanąć na jego stanowisku, przyjąć jego zasadę. Wytworzyć wspólność interesów, myślenia, wspólność tak samo niskich, podłych, ciemnych planów...

— Zapomina pan, panie pośle, skoro mówimy o procesie, z jakiego powodu zabiłam tę dziewczynę? No, — uśmiechnęła się, — z powodu kochan-

ka... Jest pan bardzo dyskretny, skoro pan o tem do-
tąd jeszcze nie wspomniał. Otóż, panie pośle, przy-
chodzę właśnie tutaj w jego sprawie, tego mego
kochanka. Kochanka. Tadzio, myślę o panu Tadeuszu
Mieniewskim, nie wie, że jestem tutaj. Mam nadzieję,
że nigdy się nie dowie. Wspominał mi o panu, żeście
się rozumieli w Lachowie. Wspominał mi o panu. Ta-
dzio pracuje we współdzielni MASŁO. Znajduje się
na wolności, za kaucją ordynata, czy ordynacji la-
chowskiej. Pan lepiej wie ode mnie, że Tadeusz
może być niewinny, ale, że, — jak wszystko wszę-
dzie w życiu, może to być i tak i tak... Wszystko
zależy od ordynacji, od zeznań świadków.

Deptuła uśmiechnął się: — Nie było świadków!

— Od zeznań samych poszkodowanych, którzy
pono należą do pańskiego stronnictwa. Mówił mi to
pan Strzęgorz.

— Dyrektor Strzęgorz, — wyrzekł Deptuła i za-
myślił się.

— Krótko mówiąc, — przerwała tę chwilę Zu-
zanna, — proszę pana, by się pan zajął tą sprawą
i by ją pan wykończył. Pan to potrafi, jeżeli
zechce, równie dobrze, jak ja zdołałam załatwić spr-
wę swego zabójstwa. I tu trzeba jakoś „zwekslować“
to zabójstwo. Pięknie i godnie a bez niczyjej krzywdy.
Czego pan żąda za to?

Deptuła zwał malutkie oczka i bodąc czo-
łem cichą przestrzeń pokoju: — Rzecz jest możli-
wa. Czego ja żądam za to? Głupstwa. Chyba dro-
biazgu, bo, ostatecznie, czegoś żądam. Drobiazgu.
Rozmawiamy pod pieczęcią zupełnej lojalności.
Pani się zakrzątnie od jutra, dziecko moje naj-

droższe, — podsunął się wraz z kołdrą ku Zuzie, — aby się poznać, zbliżyć, zfamiliaryzować z urządzeniami i wogóle z hotelem Ekscelexportem. Może pani tam zamieszka, czy jak? Jak pani woli? No nic, egzotyka. Proszę tam sobie zamieszkać i być cicho i tam proszę zaczekać. Nic wielkiego, droga pani, nic wielkiego. To wszystko, czego żądam.

Był straszny: — rozlany w betach, połyskujący blaskiem czoła nad wąskimi szparami oczu.

Zuza powstała: — Cóż, doskonale, panie pośle. — Podadła rękę Deptule.

Podał lojalnie swoją, mówiąc rzetelnym basem: — Jak między biedakami, droga pani, umowa stoi na mur, na kamień. Jak najprędzej w EKSCELSIORZE.

Zuza wolała przenieść się tam odrazu. Nie być już więcej w domu. Jakież to tam ten dom? W pensjonacie rozgrymaszonych ziemian, przy parawanie z pierścionków od cygar. Lepiej tutaj w hotelu.

Co miał na myśli pan Deptula? Czego chciał, co zamierzał? Czego miała „dokonać” w hotelu?

Więc to już dziś ten odjazd! Nareszcie odjazd z domu, to najważniejsze. Pod nieobecność matki urządziła sobie tę sprawę Zuzanna dość uroczyście z nawiązkami dla służby, z pakowaniem obu walizek, nader uważnym, rozsądnym, przemyślanym. Najpotrzebniejsze rzeczy! Któreż będą rzeczywiście potrzebne i na co i do czego?...

Nie wróć tu już więcej, — śmiała się Zuza do siebie samej w duchu. Nie warto nawet rozglądać się dokoła. Nie, lepiej nie brać kąpielowego płaszcza, zajmuje dużo miejsca. Ale neceser ojca, z krokodylej

skóry, — brać. Pieniądze są na razie. A fotografij nie brać żadnych. Wszystko, co chce, ma przecież człowiek w swej pamięci. Jak zrobić z zimowemi rzeczami? Wyjść z tego założenia, że zima nie będzie znów tak ostra. Ile to jeszcze czasu do tej zimy!

Do matki krótki list, coś niby o spotkaniu z koleżanką, coś o wyjeździe na wieś, na cztery dni.

Idjotyzm.

I to już wszystko. A potem jeszcze jedno ostatnie rozejrzenie się po tych pokojach, po miejscu i po czasie tu zamkniętym, krótkie śmigłe spojrzenie w rozstępujące się okresy życia, zawartego w przedmiotach, chwilach, nieistotnych wspomnieniach...

Z pensjonatu na dworzec. Tu postój niepotrzebny.

Numerowy. Numer 41:

— Proszę zanieść te rzeczy do auta. Nie, nie, — pled wezmę sama.

Dlaczego nagle te ostatnie trzy słowa, — „pled wezmę sama“, — wydają się poprostu szczytem ludzkiej mądrości?... Ze szczytu tej mądrości przyjazd do hotelu. Przyjazd zupełny, rzeczywisty, w obliczu kilku groomów hotelowych, którzy wspaniale połyskują guzikami liberji. Przyjazd do hotelu z tak dziwaczne-go, domowego n i k ą d.

Egzaltacja, dziwactwo!

W dużym, chłodnym hallu bawiło Zużę, że taki szereg niepotrzebnych uczynków może mieć jakiś wpływ na politykę. Z tego także składa się polityka? Deptuła, Bigda, Lachowski, czy Mieniewski, sfery, klasy i grupy, ławice gniewu, zazdrości, czy rozpaczy a między zawiasami tych wrót jakieś panienki, które

chłopców swoich ratują ze szponów walki politycznej...

Dwie godziny w łazience, w ciepłej wannie. Nieprawdopodobne uczucie przebywania „na nago” w wielkim domu, pełnym dziesiątków, setek obcych ludzi. Dlatego pewno samobójcy lubią zabijać się w hotelach. Jakoby już zapowiedź samotności w zaświatach. Zejść na dół, do portjerni i zapisać się w książce hotelowej. Niedbale i z pośpiechem.

O, oczywiście, w pośpiechu nieodbytej podróży.

W windzie zabawne myśli o Kozie, o przyjacielu Kozie. Na korytarzu wystanym czerwonymi dywanami myśl o ojcu: — dyrektor Feliks Kostryń. Tu stał w tym hotelu, przyjeżdżając z Zagłębia. Stawał zazwyczaj w EKSCELSIORZE. I tu wracał, może nawet do tego samego pokoju z posiedzeń, na których takie ciosy odbierał od pana Mieniewskiego, lidera socjalistów.

Dyrektor Feliks Kostryń pracował z poświęceniem największym dla zapewnienia dobrobytu swej córce: czerwone schody domowego przedsionka, na brzegu schodów biedna mała figurka w dostatkiem, czarnem futrze, z rozsypanymi dokoła papierami. Nad czerwonym chodnikiem, coś jakby dźwięk jaskółczego świegotu, przerwany nagłym wołaniem: — prędej, Zuzanno, prędej...

Doznała tutaj Zuza tak dziwnego wrażenia: zupełnej samotności... Nie obchodziło ją nic więcej. A przecież tkwiła tu w tym hotelu, nie dla siebie, dla Tadeusza. I może dzięki temu właśnie widział się jej Tadeusz, jakby wyodrębniony już z niej samej, inny, prawdziwy, o ileż wyraźniejszy. A dlaczego w chwili

tak dziwnej, gdy myślała tyle o Tadeuszu i o życiu i sobie, tu przy oknie hotelowego apartamentu, zdało się jej, jakgdyby patrzyła nie przez firankę, lecz przez złote desenie i przez czerwone plamy parawanu z pierścionków od cygar?!

To tęsknota za domem... Przez całe popołudnie spała Zuza.

Wieczorem postanowiła pisać listy. Przedtem zjadła. Tak, o godzinie dziesiątej wieczór, kazała sobie podać to wszystko, co, — wedle opowiadań Coeur'a, — składa się na śniadanie okrętowe wielkich linii przewozowych. Coeur opowiadał zawsze z entuzjazmem o tych śniadaniach! Grape-frut, jajka na szynce, herbata, konfitury, miód.

Przy spożywaniu tego „śniadania”, śmiech obleciał Zuzę, radosny i przebiegły: że czyni coś dobrego, ważnego, że wielkimi krokami zbliża się do swego Tadeusza a zarazem, każdą godziną, minutą, każdym uderzeniem spłoszonego serca okłamuje świat cały!

Teraz dopiero jesteśmy razem, więcej, niż kiedykolwiek — myślała, — gdy jedno nie wie, że drugie rzuca się dla wspólnego celu w jakiś awanturniczy odmět. Cóżto za odmět?! Hotel EKSCELSIOR?!

Wszystko jedno, — ostatecznie, dzięki temu wszystkiemu wyjadą razem w świat. Teraz jeszcze nie można r a z e m. Ona sama wyjeżdża, za nich dwoje, znikąd do nikąd, ale już podróżuje po tem samem miejscu nadziei i pragnienia. Napisać listy z tej podróży!

Zuza usiadła przy hotelowem biurku i napisała list do Tadeusza, mniej więcej w takich słowach:

Czy to się samo stało, czy też, nie wiedząc nawet o sobie, postępowaliśmy w życiu tak, aby się nasze losy podobnie układały? Prawdę odpowiemy sobie na to pytanie dopiero może po śmierci, bo w życiu zawsze jest człowiek stronny. Odpowiadając jednak wedle życiowego sensu, sądzę, że postępowaliśmy nieomal celowo, aby się związać wzajemnie.

Bezczelność takiej miłości jest chyba niebezpieczna, to też zdaje mi się, że wypadnie nam za to wszystko drogo zapłacić. Stać mnie na to!

Pisała szczerze, wiedziała, że ją stać na wszystko! Ale Tadeusz? To ostatnie widzenie się w kawiarni, takie żałosne! Zagryzłszy mocno chusteczkę, pisała Zuza dalej:

Płacić, płacić, — słowo jest pospolite ale ostatecznie w życiu ustawicznie kupujemy tylko i sprzedajemy. W naszej sprawie dałabym zawsze każdą najbardziej wygórowaną cenę. Ale Ty? Ale Ty?!! Nie wiem o tem u Ciebie.

Otóż, — może masz rację! Wydaje mi się chwilami, że podjęłam zadanie ponad siły. Nasza miłość nie sklepi się już chyba. Może właśnie lepiej — tyle przepłynąwszy, u samego brzegu utonąć.

A może byłaby przyjemniejsza w życiu zwykła samotność? Ja sama nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Ty mógłbyś odpowiedzieć, przynajmniej w stosunku do mnie. Ale jak? Chwilami myślę, że i tu jeszcze powinnam Ci pomóc. Poradzić Ci, nauczyć Cię, jak masz mi odpowiedzieć.

Nie można jednak i nie wolno radzić choćby najbliższemu człowiekowi w takich wypadkach. No, bo to tak, jakby go się skłaniało do złożenia fałszywego świadectwa.

Teraz już chyba oboje nie mamy sił na żadne kłamstwa?

Jak widzisz, z tego listu nic nie wynika. Więc nie krępuj się w niczem. Jest rzeczą zupełnie obojętną dla naszego wzajemnego stosunku, co ja bym mogła zrobić dla Ciebie. To są moje fantazje, chimery. Gdybym nawet, jak to mówią poeci, życie ofiarowała, nie może to nigdy wpłynąć na Twoje życie. Wniosek: rób zawsze, co Ci się podoba.

Cały list, — bez przyczyny. Ale piszę, bo tak mi to nagle przyszło do głowy. A także z powodu naszego ostatniego spotkania. Tadek! Nie znoszę żadnego współczucia. Brzydzę się niem.

Od czasu rozstania się z koleżankami, po ukończeniu pensji, nie pisała Zuza listów do nikogo. A ten list przyszedł jej tak łatwo i tak się prędko sam właściwie napisał, iż prawie nie wiedziała, co tam w nim umieściła.

Napisawszy, rozplakała się Zuza. Popiwszy łyżę herbatą, napisała list drugi, do matki. Ach, było to już głupstwo!

Droga Mamo, Kochany Parawanie! Mieszkam chwilowo w hotelu, nie pojechałam na wieś, gdyż dowiedziałam się niezwykle przykrych rzeczy, co do naszych pieniędzy. Jeżeli szanujesz pamięć

Ojca i wogóle jeżeli zależy Ci na tem, byśmy nie straciły wszystkiego, miej cierpliwość. —

Zuza podarła ten drugi list coprędzej. Z pieniędzmi, z matką, „domem“ niech się już wszystko dzieje samo.

Liczyła godziny w hotelu. Godziny i kwadransy. Deptuła zjawił się dopiero następnego dnia, koło wieczora. Śmiał się i wołał od drzwi: — Jakże to Pani znalazła ten mój prywatny adres?!

— Och, panie pośle, ten pański adres... Rzecz przypadku. Ktoś inny, całkiem inny wymieniał ten adres, nie przypuszczając wcale, bym to mogła usłyszeć. — Zuza plotła, jakby w porywie hysterji, wierutne głupstwa, wymyślone przez Kozę jeszcze z powodu adresu Deptuły. — To wszystko ma tak przedziwny związek! Może plotki, czy słuchy tylko?... Czy jakaś konspiracja?! Przyznam się szczerze, że nie bardzo to wszystko rozumiem, panie pośle. Chodziło tam o pańską osobę. Takie jakieś polityczne i dosyć skrytobójcze kombinacje...

— Jakie plotki? I jakie kombinacje? Niech pani mówi zaraz!

Wzruszyła ramionami:

— Nie wiem, nie wiem dokładnie. Przecież to gadanina, zapewne czcza, ale miałam wrażenie, jakby chodziło tam o czyjeś życie!...

Śmierć obleciała Deptułę. Przeczucie śmierci tak mocne, tak wyraźne! Nie pomyślał o tem dotychczas nigdy. Nie pomyślał, że także ten element należy uwzględnić w rozgrywce politycznej. Uczy o tem historjal Otwierają się nagle i te drzwi, niewidoczne,

zawsze ukryte zbożnie w gładkiej ścianie historii i wychodzi z nich śmierć! Ileż trwało przeczucie pana posła Deptuły? Sekundę? Może mniej.

Przypomniawszy sobie wielkim wysiłkiem woli, że w ostatecznym razie nie Deptułę zabijać będą, ani Ciaracha, ani Kosa, ani Gruszkę — lecz Bigdę!! Czyż też może, — bo tak to bywa w historii, — nie ci mordować będą, którzy uplanowali mord, lecz ci, którym zagrażał?!... Ale i w tym wypadku nigdy, nigdy Deptuła. Bigda będzie mordował!

Przeraziła w tej chwili Deptułę dziwna a może nawet tajemnicza współrzędność uczynków, planów, chwytów, która istniała pomiędzy nim a Bigdą. Składało się szczególnie, że nie wiedząc o sobie nawet, działali zawsze takim samym stylem. I w tym wypadku też!

Bigda w swojej rozgrywce personalnej zastawił sidła na obu Mieniewskich. Deptuła usadził już niezgorzej Zuzannę Kostryńniównę i niebawem miał zamiar *puścić w ruch* matkę panienki, dyrektorową Kostryńniową.

— No, to nie mówmy o adresach już więcej. Czego od Pani chcę tutaj w Ekskelsiorze? Ażeby pani w tutejszym klubie w Etruskiej sali zagrała w karty. Raz — i dość. Oto wszystko. Przyjdą do pani ludzie pewni, zaproszą. A ja swego dotrzymam.

Pokazał list poufny do pana plenipotenty Strzęgorza, w sprawie Tadeusza, oraz poufny list do męża zaufania ich stronnictwa, to jest stronnictwa Bigdy, w Lachowie, w sprawie wdowy i dzieci po zabitym Kraśnie. Poczem poseł Deptuła wyszedł, dziwny, opiekły, straszny.

Ci ludzie byli już u niej — dwóch panów uśmiechniętych, osobliwych.

Przebierała się w wieczorową toaletę najsumienniejszej, najwytworniejszej, a jednakże obojętnie. Perły pod lewą pierś, fryzura, manikura już przedtem, wyrównać brwi. Na policzki, mleko migdałowe, potem krem, teraz przeciągnąć różem. Ustalić wszystko, teraz jeszcze wzmocnić rzęsy.

Uwaga na pończochy, — ani jednej fałdeczki.

Suknia czarna w wielkie zielone pręgi, doskonała dla rudej. Rudość podkreślona już wcześniej, bez zarzutu. Kark jeszcze raz zobaczyć, — wygolony. Przejrzała się w ogromnem lustrze numeru, w blasku wszystkich światła i oto szybko uciekła pod okno, by tam posłuchać.

Czego?!... Bicia własnego serca? Nonsens, — sentymenty. Wiedziała sama najlepiej, czego chce: uwolnić i ocalić Tadeusza i nic mu nie powiedzieć i nie krępować, ani zobowiązywać.

Oto jej cel jedyny, prawdziwy, idealny!

Kiedy weszła na salę w towarzystwie dwóch wyfraczonych drabów, jakby straciła nagle właściwą orientację. Od czasu wieczoru muzycznego wydanego przez Coeur'a przed wybuchem Erazma, nie była Zuzą jeszcze w tak licznej i „wieczorowym” towarzystwie.

Przechodząc koło etruskich waz, w dźwięku, w hałasie ludzi tu zgromadzonych, przeżywała znów tamte chwile, minione a tak bliskie — mogłaby narysować dokładnie głowę wiolonczelisty kwartetowego, oraz sylwetkę geometry Falkiewicza, jak stał z boku estrady u Coeur'a.

Straciła orientację. I tak to przeżywała już później zawsze i już do końca życia, — wieczór etruski pomieszany dziwacznie z tamtym rautem muzycznym.

Jakgdyby we wspomnieniu. Zdarzenie to, nie było chyba faktem, zawsze tylko wspomnieniem. Dość duża sala, pełna światła i dymu i gwar tych osób i jakby dalszy szum tamtych osób z rautu w Osadzie Górniczej. Ten gwar tutejszy, całkiem inny, odmienny, gwar, który wie, przeczuwa, ale się nie chce zdradzić.

Gwar, który zwleka...

Wśród słów i rozmów i przedstawień wzajemnych, gdzieś na boku, w zupełnie nierealnej przestrzeni widać przecież dokładnie okna budynku Rady Kopalń i Hut. Za oknami przypatruje się ojciec Zuzy Tadzio wi Mieniewskiemu, jak Tadzio w swych niebieskich fagasowskich drelichach froteruje posadzki.

Ona, Zuzanna Kostryniówna — tak, z tych samych Kostryniów, to jest węglowych, — uśmiechnięta, przesadna, rozdaje tutaj karty do pokera, lecz równocześnie w pięknej czarnozielonej sukni, kiedy wyciąga ręce, aby poprawić włosy, nie wie, czy poprawi sobie włosy, czy pozostanie tak z rękami zdumiona, zamysłona?!... I myśli nagle: Tadek, czemu się śpieszysz, będę musiała raz jeszcze zabić twoją Lenorę...

Grają dalej i piją dobry szampan, a zimny! piją więcej, Zuza wygrywa ciągle. Mały śmietnik papierów wzrasta przed nią na suknie.

Towarzysze wymieniają papiery, papiery mnożą się, tęczą, gdy tylko ruszyć zmieniają swoją barwę, — zmieniają swoje cyfry. Równocześnie zaś, — Zuza czuje to najwyraźniej, — pragnie tu wejść Le-

nora, ta obszarpana dawna robotnica z parą małych bucików w podniesionej dłoni. Jaka jest na to rada? Śmiech. Zuza wybucha śmiechem.

Lenorę już zdmuchnęły trzy piękne, czarne fraki, z pomiędzy których wyłania się ktoś inny. Tanecznicą z wystawy hotelowej pięknych morskich kostjumów, przebrana teraz w piękną balową suknię, jakże się nazywała? Lolka Romek, uszczypnięta przez pana trenera z kroplami krwi, ponad lewą łopatkę.

Grają razem, Zuza i Lolka Romek i jeszcze jacyś inni. Kiedyż wreszcie stanie się już ten skandal i policja? Kiedy nareszcie nastąpi koniec całej „egzotyki”? Skandalu niema.

Śmieją się, rozmawiają, grają zaś w bakarata. Karta ma się spotykać z kartą, — proste, jasne, dziecinne, cóż może być prostszego?!

Nie drogo chce Deptuła za swój ospały skandal. Pewno tu jakiś szpicel polityczny siedzi, który doniesie później na policję, — może nawet Kapuścik? Nie, niema Kapuścika. Zuza ciągle wygrywa. Zaplątało się coś wśród kart. Było tak, czy nie było?

Lolka Romek denerwuje się ciągle, biała, drobna, zabawna, — taką ci trzeba było iść przez życie, biedna, martwa Lenorko!...

Zuza uśmiecha się pobieżnie, pomyłkę można przy dobrej woli zawsze wyjaśnić. Tylko schody, tak ogromnie podobne do tutejszych, — tylko schody czerwone, u których brzegu spoczywa w futrze dyrektor Feliks Kostryń, odrobić się nie dadzą, — ale taka pomyłka karciana?!...

Zuza słyszy wyraźnie ostre, nieomal krystaliczne słowa Lolki Romek.

— To jest już drugi raz, — woła Lolka.

Grają dalej, ktoś się uśmiecha nagle z tamtego stolika. Etruskie wazy błyszczą w rogach salonu, gdy nagle słyszy Zuza wyraźnie, jak Lolka Romek mówi:

— Niel Do trzech razy sztuka!! Pani podgląda karty!

Lolka powstaje oburzona, podskakuje, Zuza podnosi się spokojnie. Lolka rzuca się na nią i łapie ją za twarz ostremi paznogciami i drze i mnie i szarpie całą twarz i jeszcze przy tem pluje!

Zuza pamięta przecież wszystkie sporty, — tenisa z Coeurem, — backhand, forhand i chwytą Lolkę za jej nagie ramiona. Bezwładna myśl: — co mówił Strzęgorz?... Z nawozu powstają białe czerwy?!

Zimne ramiona Lolki w twardych dłoniach Zuzanny. Ale Lolka wciąż pluje potworną, kocią śliną. Jakieś fraki i białe kamizelki. Gorsy frakowe odczepiają ręce Zuzanny od gołych ramion Lolki.

Ktoś bije szkło i znowu uderzenie Lolki. Zuza jest skrzępowana. Trzymają ją za ręce mężczyźni, a tamtej nie trzymają, nad lewą piersią Lolka jej rozerwała suknię. Czy chce ukraść te perły?! Tupot, krzyk i policja.

Teraz już Zuza trzyma Lolkę za włosy, drze mocno z całej siły. Lolka wrzeszczy straszliwie, Zuza trzyma za włosy, ciągnie. Słyszy w skrwawionem uchu rzewne jakieś wołanie, widzi przed sobą rozszalałą twarz Lolki, czerwień jej małych ust aż do samego gardła.

Okropny ból poniżej brzucha, — to Lolka Romek kopie i znowu noga Lolki w szarej, jedwabnej pończosze.

Drzwi rozpękły na dwoje, — policja, — granatowe mundury, — Zuza upada, kopnięta w brzuch. Słyszy jeszcze nad sobą wołanie Lolki Romek:

— Okradła mnie, złodziejka!!!

Rozdział V.

Zapobiegliwość ducha.

A może wszelki sens mieści się w szarym deseni hotelowej tapety? Dwa symetryczne rogi obfitości, wysunięte z nich róże i liście, — powyżej tworzy się ciemno-brązowe serce. Wystarczy podnieść oczy, wpatrzeć się w nikłą pajęczynę tego wzorka, by poczęła ogarniać człowieka senność.

Senność osobiwa, w której istota Zuzy zda się odpoczywać i już niczego nie odczuwa i tylko trwa, podczas gdy pamięć, — te obojętne obrazy związków, ludzi i rzeczy, płynące przez widomy zawsze rysunek tapety, — przędzie wciąż swoje wątki.

Jakże długo tego dobrego? Dosyć już chyba wreszcie. Teraz znowu na miasto szukać tak zwanej pracy, — wracać z niczem i znów zamknąć się tutaj w marnym hotelu i słuchać stąd miejskiego szumu. Słuchać ciągłych stukotów korytarza i schodów, każdemu odgłosowi poświęcać nagle, ofiarnie całą swoją uwagę.

Uwagę i współczucie gorące, — i znowu nic nie wiedzieć! I znów czekać, jak przez tapety, niby przez pajęczynę przesuwają się znaczenie spotkań, zdarzeń w tysiącu samotności. W tysiącu ścian wy-

sokich, przestrzennych, przezroczystych, wśród których Zuza dostrzega siebie samą, jak tu stoi w hotelu samotna, opuszczona, na wysokich obcasach, panna Zuzanna Kostryń w półżałobie po ojcu.

Spuchlizna już jej zeszała z twarzy, zostało jeszcze kilka śladów na policzkach, jak od pazurów kota.

Cóż to za obowiązek tak pilnie nasłuchiwać ogłosów tego Greckiego Hotelu?!

Hotel: — raz po raz dzwonki w kącie korytarza i woda spływająca rurami, prowadzonymi przez róg sufitu. Wiadomo, że ta woda spłukuje nieczystości. Czemuż więc, mimo wszystko, gdy się odezwie ów szum, Zuza rozdziela skwapliwie to zjawisko: — pamięcią swą potoczną wie doskonale, że to woda kanalizacji. Lecz jeszcze inną, drugą, wyższą pamięcią wie, że to jest szum fali, głos całej wody świata w małej części dźwięczący, niewinny głos żywiołu.

Leży tu Zuza, pod kołdrą numeru osiemdziesiąt, w Hotelu Greckim, dziwi się, że to nie dawna domowa pościel z holenderskiego płótna, a przez desenie tapety wybiega ku przestrzeniom, pozbawionym wymiaru. Posuwa się tamtędy, cierpliwie uśmiechnięta w chmurze stroju, jedwabiu, wydziwić się nie mogąc, że to ona, ta sama, Zuza!

Ta sama na kanapie z dawnym Coeurem, ta sama w pistacjowym pokoju z Tadeuszem, ta sama, gdy tańczyły na plaży we dwie, na plaży Ekscelesioru. I ta, która w ponury dzień pogrzebu żony portjera Supernaka rzuciła cukierkami w pierś Lenory i ta, jadąca później jesienią w dzień ogłosze-

nia wyroku, dowiedzieć się, co robi Karolcia Domagało?

Ów zapach dnia tamtego, zgniły, jesienny, pełen mglistej nadziei. Ekwipaż kopalniany wraca prędko do miasta, w jesiennym mgle powraca Zuza, siedzi uprzejmie na poduszkach powozu, i powtarza bezmyślnie adres: Antoniowa Pecyńska, Politechnika, budynek numer 3.

Takie to zwiastowanie nowej ery.

Pajęczynę deseniów hotelowych przesłaniają czerwono-złote pręgi pierścionków od cygar. Przy tym pocziwym starym parawanie darła Zuza po śmierci ojca swoje listy dziewczęce.

Zuza czuła się tutaj dzisiaj, w Greckim Hotelu, jak w ów dzień śmierci ojca. Ta sama błogość smutna i ten sam wypoczynek nareszcie. Jedwabie, chmury drogocennych materyj i ona w otoczeniu urojonych smokingów, fraków i jakiegoś tam wołanie zdaleka, z tak wysoka —

prędzej, Zuzanno, prędzej!

Z jakim zdziwieniem odwiedza Zuza biura stręczenia pracy?! Głupia praca kobieca: — żadnej samodzielności, tylko służenie, podtrzymywanie, zarządzanie, konwersowanie, towarzyszenie zawsze wszystkiemu, tylko do towarzystwa. Ale tutaj też deseń, kraty, sztachetki, ogrodzenie, kontuar. Jest ta i tamta strona i z jednej strony biednej podają ręce papierek tamtym rękom, — które się wyciągają z lepszej strony, bogatszej.

Zuza nie miała żadnych papierów, prócz paszportu. Żadnych świadectw. A za cóżby świadectwo? Była przecież dotychczas po dobrej stronie

krat, ogrodzeń i deseniów. To raczej wszyscy inni chwiali się, rozchwiewali po złej stronie ogrodzeń. Teraz znów, widać, tamci, inni są już za sztachetami i przyjąc jej tu nie chcą.

Chciała się dostać na jakieś „pewne” miejsce, służyć, zarabiać i dostawać pieniądze. Jakże to trudno! Paskudna awantura w EKSCELSIORZE skończyła się naogół szczęśliwie. Nikt o niczem nie wiedział. Nic się nie ukazało w prasie. Pieniądzy tam straciła wiele. Prawie wszystko. I skradziono jej tam cenną broszkę z trzema kosztownymi perłami.

Napewno Lolka skradła? Deptuła ją nastawił? Zuza nie śmiała myśleć o tem wszystkim, Bo jakże to? Kara i sprawiedliwość? Zemsta sprawiedliwości?! Zuza śmiała się pobłaźliwie, wzgardliwie do tabaczkowych serc tapety hotelowej na samą myśl o tak przykładowym rozrachunku.

Człowiek jest sam, — cóż może sprawiedliwość?! Jest sam, samemu mu najlepiej. Postanowiła załatwić sprawę z matką. No więc już teraz list, zaczynający się od słów:

Droga Mamo, Kochany Parawanie!

Dlaczego — parawanie?

Tkliwe nonsensy, — na tobie trzymało się to wszystko, czem był nasz dom... Rola oliwy w wielkich śrubach fabryki, — tyś była tą oliwą. Następnie zalecenia co do pieniędzy, — pilnuj tej swojej „misji”.

Na końcu zaś uwaga:

„Będę ci, oczywiście dawała znać od czasu do czasu, co robię i co się ze mną dzieje. Jeżeli jednak

zacziesz mnie szukać i awanturować się po swojemu, to jest po macierzyńsku, pamiętaj, że wyskakuję oknem na pierwszy taki głos, — wyskakuję choćby z czwartego piętra”.

Taki list, prosty, szczery. List nie posuwa naprzód sprawy zarabiania! Chodzenie i znów hotelik i znów pilne chodzenie po ulicach.

Nie tracić formy nigdy! Chodzenie po ulicach w nowym, wiosennym płaszczu, którego poły rozwiewają się pięknie, — tylko pieniędzy w kieszeni coraz mniej. A potem ten przypadek całkiem niespodziewany. Taka okazja świetna!

Kiedy Zuza raz jeszcze wracała z biura, znów bez posady i znowu niepotrzebna, — całemu światu niepotrzebna, natrafiła między ulicą Poznańską, Hożą, Lwowską, w tym tak równym i obojętnym zaułku Warszawy na wielki rwetes.

Przed fasadą jakiegoś kina czekały konie doróżkarskie, a może nawet lepsze, większe, browarniane, poubierane w indjańskie truchła, czy pióropusze. Na koźle wrzeszczał usmarowany cegłą indjanin w bibułkach, z czubem zabawnych piór na głowie.

Z dorożki tej, dość osobliwie przerobionej w kształt kocza, przy wrzasku gapiów, dzieci, wyrostków, wysiada młoda, „powieściowa” angielfka, długowłosa, w peruce oczywiście, i krzyczy, że już jeździć więcej nie będzie, dość ma tej bujdy, za marne grosze nie da ze siebie robić dziwowiska!

Rzuciła z trzaskiem na chodnik rewolwery kowbojskie, zdarła z głowy perukę, — krzyki i awantura. Gwizd chłopców, kotłowisko i po chwili

kowbojka wychodzi z bramy, — normalnie przyodziana.

Zuza zapamiętała głośne trzaśnięcie bramą. Przez tę bramę wchodzi coprędzej Zuza, idzie przez długą sień, ku oświetlonej przegrodzie, z której wylatują dwa słowa: — głupia pinda.

Już Kostryniówna konferuje w przegrodce drewnianej z zażyłą właścicielką, — taka dobra posada chyba, jak wszędzie każda inna!

— Reklama naszych filmów, a że ludziska stają na ulicy i patrzą, podziwiają, no to dlaczego jest reklama, żeby nic nie widzieli? Żeby się może tyłem odwracali?!

Brać, czy nie brać?... Iść na taką posadę? Przecież to nie posada, raczej głupie błazenstwo! Przypomniało się Zuzie, jak kiedyś, dawno, jeszcze w Zagłębiu, w Osadzie Górniczej wychodziła wraz z ojcem z Rady Kopalni i Hut. Zastąpił im tam drogę na schodach jakiś człowiek w palcie kraciastem, niby to strojny, w gruncie rzeczy tak śmieszny, coś niby jak artysta. Okazało się, — dawny sztukmistrz cyrkowy. Ekwilibrysta, który się wynajmował obecnie do czyszczenia wysokich kominów kopalnianych.

Feliks Kostryń odpowiedział mu wówczas, — Zuza to pamiętała, bo takie było dziwne, przykre i żałosne: — Pan był artystą, ale to już jest przeszłość. Ja teraz panu nie będę płacił, jak się płaci artystom, prawda?

Prawda?... To właśnie słowo zabrzmiało teraz w Zuzie. Czuła, że się znajduje, jakgdyby na przełęczy, czy na ścieżce rozstajnej. I, że się tu zna-

lazła bez istotnej przyczyny. Kontuar, jakaś pani ze zmytą broszką koralową pod szyją. Kino, afisze, obrazki pustych zdarzeń... Że tutaj właśnie przyszła ona, Zuza, któregoś dnia... Jakiego? Dzisiejszego?! Któryż to dzień dzisiejszy będzie w potoku pustych dni?

— Brać, czy nie brać? Czy żyje jeszcze ów cyrkowy artysta, który zastąpił im drogę przed gmachem Rady Kopalń? Zuza wysunęła rękę ponad małe liczydło o startych żółto-brunatnych gałkach. To właśnie znaczy życie:

— Jabym się, proszę pani, — powiada Zuza, — doskonale nadała do takiej lekkiej roli.

I już, postanowione, zrobione! Ma się rozumieć kaucja, zresztą wcale niewielka, później w barze śniadanie, które Zuza spożywa nie sama, lecz jakby sama z sobą, we dwie, te same, chociaż w jednej związane. I jakaś radość głupia, pospolita, niby, że będzie „praca” i uczuciowe rozmachy ponad brzegiem „przepaści ulicznej” i taki śmieszny żal, że ów artysta cyrkowy, który im wówczas drogę w Osadzie zastąpił, z pewnością już nie żyje..

I oto jeździ Zuza już, od zaraz, od dziś, jak w pospolitym śnie, który się wyprządł z kurzu, prochu i śmieci, z zapachu gazołiny, z przeciętnych błysków okien, z papierów, gazet, podartych torb, zgniecionych niedopałków.

Zuza wyjeżdża rano, wyjeżdża popołudniu, jeździ aż do wieczora, od przedpołudnia aż do wieczornych świateł. Jakże bezmyślnie przewozi po ulicach swój własny los i odpoczywa w bezgra-

niczmem zdziwieniu. Ta sama, coraz inna, w peruce złotobłond, jako dziewczyna angielska, uprowadzona przez srogich dzikich Indian, to znów w hiszpańskiej pluszowej kamizelce, w czarnej peruce, jako uliczna Karmen, paląca papierosy, to znów w płatowcu jedzie, ciągnionym przez dwa konie piwowarskie. W lśniącej ceracie rzekomego kostjumu lotniczego, przewycięża Atlantycką, ciągniona przez dwa konie piwowarskie, w drewnianej awjonetce żegluję nad łysinami targowiska, nad rozwłóconą nacią miejskich hali.

Awjonetka jest oklejona głośnami obrazami wielce burzliwych losów. Wiąże się to w wspomnieniu Zuzy z pięknymi rycinami biblioteki lachowskiej: — na brzegu Nilu, czy też wielkiego Kongo murzyni niosą na głowach kosze przedziwnych ziemiopłodów, a tu znów między Hożą, Poznańską, Pańską i Batorego, choć się nikt nie spodziewał, — zaczyna padać deszcz.

Stare koniska mokną, dziś są trzy zaprzężone, bo Zuza jest dziś Rosją. Z liter tytułu wypływa farba jakiegoś okropnego zdarzenia na bruk, woźnica w wielkiej papasze, wypchany poduchami, Zuza w kołpaku, w szubie, pali z nim papierosy, była kiedyś w tej Rosji, lecz już nic nie pamięta.

Dziś jest rosyjską panną sentymentalną, wczoraj była Afryką, jeszcze dawnej kowbojką, Zuza jest dowolnymi postaciami ludzi, rzeczy i przygód, różnych ucieczek, zwycięstw. Za to je na kolacje, na obiad, na śniadanie. A kiedy wróci wieczorem do hotelu pod numer osiemdziesiąt, słyszy przez desień tapety, przez sprawy, losy, zdarzone, niezdarzone

i przez swój własny los we wszystkich innych utopiony bez śladu, słyszy wołanie —

Prędzej, Zuzanno, prędzej!

Teraz się już nie śpieszy. Do kogo? Do nikogo.

Do Tadeusza? Nie odezwie się Zuza sama, niech on jej teraz szuka. Niech on jej teraz szuka, jak kiedyś ona jego.

Któryż to raz przejeżdża tędy, ulicą Batorego przed kooperatywą MASŁO? Zjawiała się tu kiedyś w pięknym wozie Strzęgorza, teraz przejeżdża w idjotycznym kostjumie lotniczki na malowanej drewnianej awjonetce. Wtedy chciała się spotkać z Tadeuszem, dziś drży, by jej Tadeusz nie zobaczył, a tutaj właśnie mają zawsze największy kłopot z przejazdem, gdyż lory pełne beczek manewrują tu długo, — obok zawsze przekupnie i przenośne stragany.

Przejeżdża tędy Zuza, przymykając oczy. Albowiem, jeśli wszędzie wiezie ze sobą uczucia i nieszczęścia i nadzieje miłości, — tu ją ogarnia zapach tej czarującej sprawy, który się nie objawia powonieniem, ale zasnuwa oczy światłością niewidomą.

Światłość, — codzienność, — śmieszność, ta sama przecie fala niewinnego żywiołu. Zapach, oczarowanie w piersiach, tymczasem, mocny Boże, na ogonie drewnianej awjonetki usiadły chłopaczyńska, które gonią i gwizdzą za wozem nieustannie.

Zuza ich nie odpędza, pocóżby miano mówić później, jak o tamtej statystce — głupia pinda. Zuza ich nie odpędza, niech gonią i niech gwizdzą, należy to do fachu cierpieć takie gwizdanie. Ale złamali

ogon drewniany. Woźnica wrzeszczy, zeskakuje, wśród chłopców konsternacja, a jeden z nich ucieka, mały drobny i bosy. Gawiedź się zgromadziła, gwizd, syk i wymyślenia. Woźnica dopadł malca, prowadzi go za kołnierz.

Mały, bosy odrostek. Inni wrzeszczą i gwizdzą, policji jeszcze niema, już biją kamieniami. Ogromne konie piwowarskie dębią się ponad brukiem. Zuza zaciąga lejce, awjonetka aż trzeszczy, z spółdzielni MASŁO wybiegło kilku pracowników w białych kitlach.

Śmieci, nacie, pakuły, kamienie lecą zewsząd na Zuzę. Ledwie trzyma już konie, utrzymać ich nie może. Wśród białych kitlów, które wybiegły z furtki spółdzielni MASŁO znajduje się Tadeusz. Zuza go widzi, choć równocześnie zasłania głowę przed gradem lecących na nią śmieci.

Tadeusz dostrzegł Zuzę. Zapomniał, że ją śmieciem obrzucają, tak się zdziwił. I patrzył, — patrzył. Bili w nią kamieniami. Łapała się za głowę, piersi i ramiona. Wołała ciągle słowa, których nie mógł dosłyszeć.

Od jej wołań, od rozpaczliwych ruchów wzma-gała się w Mieniewskim dziwna, bolesna radość, ta sama, której zaznał w kopalni gdy wyskakiwał wpoprzek pędzącym wózkom, by chwycić konie, — wtedy podczas pożaru Erazma.

Teraz nie skoczył. Czekał. Człowiek kompletny nie rwie się i nie szarpie. Ma zawsze czas. Ma przecież w sobie równowagę lodu. Dopiero gdy Zu-zanna dostała w czoło kamieniem i twarz oburącz jeszcze raz zakryła, ruszył Tadeusz z miejsca.

Powoli, równym krokiem. Był blady. Ptasi profil zaostrzył się, w piersiach drżała tkliwa nadzieja, na co?!

Chłopców rozgonił. Nikt przecie z tłumem nie da sobie rady równie dobrze, jak stary żołnierz. Dwa kopniaki i kilka przekleństw wielce śmierzdzących, ogromnie kawalerskich.

— Co tu robisz? — spytał Zuzannę, wstępując na drewnianą awjonetkę.

— Jeżdżę, — odpowiedziała Kostryńniówna, nie mogąc jeszcze tchu złapać. — Kraje świata przedstawiam. — Śmiała się, ale w jej śmiechu słyszał Tadeusz tłumione łzy.

— Uciekłaś z domu?

Powiedziała, gdzie mieszka. W Greckim Hotelu.

— Odwalaj stary durniu, — wrzasnął Tadeusz na woźnicę, — póki policja jeszcze nie nadeszła.

Już odjeżdżali. Zuza odwróciła się nagle. Tadeusz patrzył za nią. Spoglądali na siebie ze zdumieniem, jak całkiem obcy ludzie. Mieniewski gapił się, jeszcze skurczysynował poszczególnym łobuzom.

Uciekła z domu, kraje świata przedstawia? Cóż do cholery! Przypomniał sobie, jak kiedyś o dalekich krajach opowiadał Lenorze przed wystawową szybą Osady Górniczej. Opowiadał, był z jedną, a druga, Zuza, szła tymczasem z pustych przestrzeni czasu, by zabić tamtą, Lenorę i przyjść tu dziś na bruk. I znowu jest to samo?!

Może to jest prawdziwa miłość? Wszystko zawsze, na wieki pomieszane i nic się nie wie i nic

się nie wiedziało, nic się wiedzieć nie będzie, to jedno tylko pewne, że ciągle idziesz przeciw samemu sobie.

Tadeusz przybył do Greckiego Hotelu wieczorem, nie z pustymi rękoma. Przyniósł szynkę i wogóle wędliny. Zuza dawno wiedziała, że przyjdzie. Nic nie mówili o ulicznym zdarzeniu. Podczas kolacji obgadali jednakże sprawę porzucenia domu. Dobrze im się tu rozmawiało, chociaż dosyć brutalnie.

Tadeusz zauważył, przełknąwszy spory kawałek szynki: — No tak, to wszystko pięknie, ale zdychać będziesz pod plotem wkońcu. Ja już zdychałem. Znam to. Żyję z tego zdychania. Dlatego przecież mam taki czuły smak, żem długo zdychał.

Zuza: — Zdychać nie będę, dam sobie jakoś radę.

— Nie, nie, tu niema — j a k o ś!

— Znajdą się zawsze ludzie.

— Nie, ludzie się nie znajdują. Ani ja się nie znajduję. Bo będę wtedy w kryminale, — dodał po dłuższej chwili.

Nie chciała mu nic mówić o Deptule. I o tem wszystkim, co działała z takimi ofiarami. A może Tadek miał ostatecznie rację? Iluż doznała w ostatnim czasie przykrych i bolesnych zawodów?! Ale Zuza nie wyjdzie nigdy z formy. Ma przecież „swoją szkołę” i to nie byle jaką. Uśmiechnęła się pięknie nad stołem, pod lampą hotelową, zasłoniętą abażurem z bibułki.

— Ludzie się zawsze znajdują, — powtórzyła.

Tadeusz uniósł się. — Dla iluż ludzi, — wołał, — choć błagali, konali blisko ciebie, zdychali w tak żałosnych męczarniach, nie znalazłaś się wcale, nigdy?! Więc cóż tu teraz takie zawracanie głowy? Trzymaj się, głupia, swego dawnego instynktu, bo to jest twoja linja! Drzyj skórę z innych dla siebie. Pilnuj tej forsy, co ją masz u matki. Mój stary coś tam z wami podobno kręci. Duś starego! To człowiek niezły, ten pan Mieniewski, tylko flak. Więc go duś, pilnuj! O widzisz, — czuwaj! Dobre hasło. Nie możesz zbiednieć, bo cię na szmelc wyrzucą wszyscy! Byłem długo „biedny“ teraz żyję z rzygania masłem, ale powiadam ci, posadę swoją cenię, szanuję!! Nie wolno ci być biedną. Przypomnij sobie mnie, gdym był w Zagłębiu. No, to było mniej więcej to samo. Jak teraz ty. Także wyszedłem z domu. — Tak, ładni się tam ludzie znaleźli... Pędziliście mnie ze wszystkich stron. Sama przecież widziałas. Tak ciebie pędzić będą. Niechże cię Pan Bóg broni.

Zasłoniła mu dłonią usta, szczęśliwa, że tak się wielce jej losem niepokoił.

— A cóż nas to obchodzi, co później, dalej będzie? — mówiła.

— Obchodzi nas to bardzo, — wołał, — jak mnie moja posada obchodzi. Nie zakwestjonowano mi ani jednej smakowej analizy, chociaż przyjechał do nas duńczyk inżynier specjalista maślany.

Ale Zuza wyśmiewała się z Tadeusza. Że taki burzuj, że się o przyszłość matrwi. O forszę. Ciągłe plany układa. Słyszeć teraz nie chciała o żadnych

planach. O urządzeniu życia. O takich głupich, dzikich, społecznych warjactwach.

— Nie myśl już o tem wszystkim, — chodź...

Czyż to tak zawsze będzie między nimi? Miłość była męczarnią wkońcu, a zrozumienie wzajemne sporem rozpaczliwym.

— Co ci tam, po co myśleć, Tadek? Po co? Nie wszystko jedno? Możesz sobie rozumieć wszystko, jak ci się podoba. Każdy może tak samo. I tak się wszystko rozłazi wszędzie wkońcu. Taki hotelik, inny? Takie łóżko, czy trochę lepsze? O tej godzinie w każdym numerze tutaj, wszędzie są jacyś ludzie. No, oczywiście, parki. I my też jakaś parka. Za darmo, za pieniądze, kto o tem wie, w tym hoteliku? My za darmo, mój drogi, ale z pewnością myślą tutaj, że za pieniądze. I cóż nas to obchodzi? Po korytarzu chodzą, słyszysz? Woda się leje w rurach, a tu znów my leżymy, znikoma chwila!

Tadeusz — moralista! Moralista i przyszłościowiec, kaznodzieja! — Musi być jakiś sens, — powiada, musi być dalszy sens, ale ty nie dasz temu rady. Lepiej siedź cicho, kochanie, trzymaj się swojej forsy, — tuli Zuzę w ramionach, ostanta przed rzekomą napaścią i znów powtarza: — Uważaj na pieniądze! Do matki wróć, warjatko!

On, Tadeusz, mężczyzna, zmiażdżony po wielokroć, to znowu co innego. Może udawać ptaka na gałęzi.

— Dali ci w łeb kamieniem i masz dosyć, za swoje. Mówię ci z doświadczenia. Tak żyć nie można chwilą, a głębszy sens, no, to jest mordowanie! Dryg chirurgiczny trzeba mieć. — Przypomnieli

mu się poczciwy Chybacz, Tylko, niezawodny Kubera. — Tak, musi to być człowiek innej wytrzymałości, nie ty. Cóż ty? Człowiek innej wytrzymałości i odwagi. Ty się szanuj, uciekaj, — całował jej policzki i blade, zaciśnięte usta.

Dryg, odwaga! Nie mógł mówić Zuzannie, że się tam kombinują. I mają swoje kółko, oraz organizację, zamkniętą, jak cholera. I coś tam mają robić, coś niby w danym razie, — jakiś porządek. Jeżeli Bigda i jego dobrzy ludzie pójdą już za daleko. Tego nie można w łóżku opowiadać dziewczynom. Ale tak, z lotu ptaka, ostrzec przynajmniej, żeby sobie nie zawracała głowy ideami.

W każdej idei tyle się mieści draństwa.

— Odwaga tego typu, męska rozumiesz, zdobywa się nie łatwo. Trzeba na to rozpalić się i zmarznąć i jeszcze się rozpalić i znów zmarznąć na lód. Flaki się dokłada do tego interesu. Przerobić to nie raz. Przeciwno wszystkim kłamstwom. A potem wiesz nareszcie, że tylko jedna prawda jest dobra i prawdziwa, a mianowicie ze wszystkich kłamstw złożona. Bo wszystkie wniosłe kłamstwa o bliźnim, o człowieku, społeczeństwie, to razem prawda życia. Zęby sobie wybijesz, wstawią ci drugie, jeszcze drugie wybiją i dopiero wiesz, co należy, o prawdzie społeczeństwa. To bardzo droga rzecz zaręczam ci. Ja jestem na tej drodze teraz. Niechno jeszcze uwierzę trochę mocniej, to ściany rozwalam. Ale ty Zuza, ty?

Rozczulił się, jak jeszcze nigdy w życiu. Ogarzał ją, — dobrze, że nie widziała łez, że łzami w oczach zacisnął ją w ramionach. Bo zdało mu się,

jakby jego dawne życie znów się w niej przetwarzało z takim samym uporem, niepotrzebnie i po co, po co?!

A Zuza? Mówi, składając sobie jego głowę na ramieniu, — że to wszystko o odwadze i społeczeństwie i tam dalej, że to wszystko są głupstwa, wydęte, wydmuchane. Bo jest na świecie jedno tylko na serjo, — przyjemność, szczęście, jakiś tam szum mijania, w małej części dźwięczący, niewinny szum żywiołu!

Niespodziewana wizyta pana Kapuścika zwróciła uwagę Zuzy na owe „wydęte, wydmuchane głupstwa” znacznie konkretniej, niż rozmowa z Tadeuszem. Pan Kapuścik zjawił się rano, pochodził grzecznie po korytarzu, dzwoniąc swą piękną szablą. Czekał cierpliwie, póki się Zuza nie ubierze.

Wszedł nakoniec, ba, kwiatki nawet ofiarował. Przyjął ranną herbatę, Zuza bowiem piła pierwsze śniadanie u siebie w numerze. Porozmawiał o dawnych, dobrych czasach, dawne czasy są zawsze dobre. O tem, jak wszyscy z Osady, cała ta dawna paczka, na ludzi wyszli. Zajmują wysokie stanowiska, on, Kapuścik żadnego bo to już taki rodzaj służby, ale niektórzy inni, chociażby nawet pan!

— Dlaczego „nawet”, cóż to znowu za „nawet”?

— „Nawet” dlatego, że już w Osadzie była pani wysoko. A tu znów nowe stanowisko, w kinie. Od kiedy pani w sobie taki artyzm odkryła?

— Nie w kinie, przy reklamie.

— To nic, to też jest sztuka i artyzm, jak wszystkie inne artyzmy. Artyzm, sztuka, wzruszenie. Tę Osada Górnicza nikomu dać nie mogła. Nawet takim wysoko postawionym osobom. A tu w Warszawie tyle na każdym kroku pierwszorzędnej sztuki!

O EKSCELSIORZE nie mówił nic. A był tam przecież, widział wtedy tę magnatkę węglową, dyrektorską, pobita, pokopaną. Pan Kapuścik uważał, że to był ze strony posła Deputy dość niebezpieczny eksperyment. Eksperyment, nazbyt demokratyczny. Nie mogą i nie powinni nigdy w mocno zorganizowanym społeczeństwie ci, którzy byli ewentualnie uciskani bić uciskających. To do niczego nie prowadzi.

Nie wracał więc do sprawy EKSCELSIORU a rozprawiał o sztuce. Policja, z obowiązku, trzyma rękę na wszystkim. Na sztuce też. W każdym teatrze ma swe bezpłatne miejsca; dwa, ze względu na porządek publiczny.

Czy Zuza wybiera się na scenę dramatyczną, czy też może wodewil, farsa? — Wbrew modnym dziś umiłowaniom szerokiej publiczności, Kapuścik był za wielkim dramatem. Ogromnie to „odciąga” człowieka, duszę jego odciąga.

— Wezbrane namiętności, proszę pani, wezbrane, wiekopomne kształcą przeważnie delikatność uczuć. Bo jak człowiek zobaczy na scenie, ile to nawaliło wielkim historycznym postaciom, to potem swoje własne zmartwienia łatwiej potrafi znieść. Po drugie zaś, życie współczesne obraca się w drobiazgach ciągle. Wezbrane wiekopomne namiętności

ukazywane ze sceny, mogą się z czasem rozplenić w naszym życiu codziennem. Byłby to wielki plus. Kapuścik wstał z krzeselka, gdyż na parapecie okna, wychodzącego na szarą niebotyczną ścianę usiadł gołąb. — Czy to pani karmi takie gołąbki?

— Ależ nic podobnego, pierwszy raz widzę tutaj gołębia.

— Niechno pani zobaczy.

Popatrzyła na pana Kapuścika zdziwiona, lecz podeszła ku oknu.

— Halo! — zawołał, łapiąc Zuzę za rękę. — Niechno pani poczeka chwilkę ze mną. Bo to jedni na scenie, a drudzy w życiu przeżywają wezbrane namiętności.

— Czy pan oszalał?

— Oszalał, zaraz oszalał?! Wezbrane, wiekopomne namiętności. Proszę mi tu wyśpiewać zaraz wszystko, wszystko, co pani wiel

Zuza szarpnęła się.

— Policja z panią mówi!! — Pan Kapuścik, sportowiec i meloman, używający codzien przy myciu szczotki do zębów, szczoteczki do paznogi... A oto nagle, jakże straszliwa gęba?! Jakby z rzemienia, klejem polepionego.

Gołąb biały w brązowe łatki bije w blaszany parapecik, Zuza drży i wspomina — sama nie wie dlaczego, — odległe wydarzenie, w domu: służąca ich okradła, przyszedł cywilny agent, czekali, ojciec, matka i ona, Zuza. Agent kazał służącej otworzyć kuferek, zanurzył łapy w kuferku, zadrżeli wtedy wszyscy!

Tak drżała teraz Zuza.

— Proszę mi tu wyśpiewać zaraz wszystko. Cóżto pani mówiła kiedyś do kogoś, że pewna okoliczność może zagrażać ewentualnie życiu?... Nic pani nie pamięta? Co jest o tem wiadomo? Gadać, odrazu gadać!

— Ja nie jestem służącą, — zawołała bez sensu Zuza, — jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób?!

Ona nie jest służącą? A Karolka mogła być i służącą i pomywaczką?! Ona nie jest służącą! Kapuścik zjeżył się, uchwycił Zuzę za ramiona, — kto będzie świadczył o tem, co się tutaj działo, gołąbek za oknami?...

— Pani rozgadywała jakieś cuda o zamachu? Po mieście różnym ludziom, — mówił wstrząsając nią, jak otrząsanem drzewkiem. I dodał w kil'ku zdaniach, to już dodał na deser, że Tadeusz ma jeszcze sąd nad sobą o Krasną, a nawet tamta sprawa o zabójstwo Lenory jest jeszcze w apelacji i wszystko jeszcze może być grubo inaczej. — Więc gadaj pani zaraz, wszystko!

Wyglądało, jakby ją już chciał bić. Szedł naprzód z pięściami i zatrzymywał je dopiero przed oczami Zuzy.

Nie wiedziała, czy to Koza rozgadał swą własną plotkę, czy też Tadeusz wmieszał się znowu w polityczną aferę jakąś, o której wczoraj wspominał aluzjami? Już nie wiedziała nic. Za dużo tego było!

Panna Zuzanna Kostryń, władająca ongiś Osadą Górniczą, gdy znów Kapuścik podszedł ku niej z nastawionemi, jak do bicia piściami, wzniosła już

tylko ręce i zasłoniła się. Przetopilo się wszystko w jej przerażeniu: ulica, śmieci i drukowane na tapetach serca brunatne, koński nawóz jezdni, wrzask chłopców i kamienie i gwizdy i te afery nowel!

— Ja nic nie wiem, — krzyknęła. A potem, jakby te słowa były jeszcze ważniejsze: — I nikt nic nie wie, i nikt nic nie wie... — Mówiła to przed Kapuścikiem, przed nędznym Kapuścikiem, jakby to on był ostatnią instancją, jedynym, upoważnionym sędzią.

— I nikt nic nie wie, — płakała, zasłaniając się dłońmi.

Cóż? Miał ją może bić?! Dobrze, a potem n'ech się sytuacja zmieni, odwróci, pannisko znów wypłynie i Kapuścik zgubiony. Czy dostatecznie zatrzęsł jej sumieniem? Czy przestanie na przyszłość gadać, jeżeli nie ma o czym? Sumieniem chyba zatrzęsł dostatecznie, a czy wiedziała co i czy co było na tem co wiedziała, na tym niby zamachu? Spisku?!

Deptuła wściekał się, — masz mi, Kapuścik, dojsć po nitce do kłębka. Ładna nitka, — w postaci Kostryniównej. Muchy w nosie i dyrektorstwo, niby artyzmy i zawsze jeszcze forsą i bądź co bądź oparcie w różnych ludziach. Cóż mógł więcej wydusić z takiej nitki?

A tu Deptuła szalał, że to na jego życie godzą (łgał stary expedite!), że ma być wyświetlone zaraz wszystko, tymczasem żadnych oznak znikąd nie było. Czyż Kapuścik nie mówił, że Stachowszczycy knują, że sobie przysięgają po kruchtach?! Trzeba było tym śladem wcześniej iść. I forsę na to nie żałować.

Ale co? Kto referuje te sprawy bezpieczeństwa? Nie Kapuścik. Był zwolniony od tego rinaldinizmu policyjnego. Miał sobie powierzona skromną, małą aferę EKSCELSIORU i PATRII. Przeprowadził. No, i czego chcą więcej? Trzymali protokoły, podpisane, do prasy nie puścili, na razie zatłamsili. Zatłamsili tak gładko, że niewiadomo nawet, czy sam Stachowski wiedział co o tej sprawie? Nie pochwaliliby się przed nim jego własna hotelowa służba. No więc czego chcieć jeszcze?! A tu, ni z tego ni z owego Deptuła ryczy srogo, — referuj mi natychmiast od strony bezpieczeństwa.

Od strony bezpieczeństwa jest bezpiecznie na razie, a ty, stary bydlaku, nie udawaj! — Oto, coby powiedział najchętniej pan Kapuścik posłowi Deptule, gdyby nie moment lirycznego współczucia... Liryzm może zgubić każdą państwową sprawę, ale jak bez liryzmu żyć?! Każdy może mieć w życiu słabe chwile i każdy ma zapewne swe prądy fizjologii, na które nic poradzić nie może. Nie każdy jednak ma dostateczną zapobiegliwość ducha.

Dostateczna zapobiegliwość ducha pana Kapuścika zasadzała się na tem, że od momentu urodzenia się synka nastąpiło stopniowe przesiedłanie ze sportu i spraw fizycznych na duchowe. Wyjście na razie jedno, w udaniu, w pięknem słowie wiekopomnych namiętności. Wyjście w osłodzie, jaką przynoszą współczesnemu człowiekowi dawne królewskie oraz inne, minione, bohaterskie postacie, którym tragiczny los dawał takiego szprycal!

Takich duchowych pociech poseł Deptuła nie miał, chociaż z pewnością bardzo potrzebował, bo

go krew zalewała o tę głupią dziewczynę, Lolkę Romek. Pan Kapuścik solidarnie, po męsku przebaczał teraz Deptule wszystkie wściekłe warjactwa. Jeśli wziąć serjo uczuciowe cierpienie, no, to wychodzi tak: tu Lolka Romek daje nura, a tu ten zjazd w Lachowie czy w Lachowicach, wszystkie posły do łydek doskakują, każdy coś rwie dla siebie. Tu znowu Bigda, też cholera pryncypał, orze w Deptułę i zagania porządnie i rodzinę sprowadza, a ten mu znowu, wiceleader, mieszkania swego używa, a tu Guńkiewiczowa jeszcze, coś niby nagle z pyskiem, bo gdy Deptuła mieszka, — głupstwo, a!e gdy Bigda ma tu zamieszkać z żoną?!

— Przychodzisz tutaj do mnie po raz ostatni, mój drogi Kapuściku, — powiedział poseł Deptuła, gdy Kapuścik wszedł skromnie, z raportem o wizycie u Zuzy Kostryńiówny. — Poraz ostatni przychodzisz tutaj, bo odstępuję mieszkancko to na kilka dni.

Pan Kapuścik musiał się opanować, widowisko bowiem, jakie go tu czekało, nie było tak codziennel Wśród perkalowych kotar zadrukowanych tureckim deseniem Deptuła w starych pantoflach porannych, nieumyty, błyszczący, w rozchełstanej koszuli nocnej a na to jakieś nowe ubranko, zaprasowane elegancko.

Po zdaniu, — przychodzisz raz ostatni — natychmiast awantura. Ze Kostryńiówna wszystko wie, lecz gadać nie chce, że Kapuścik to nie Kapuścik, ale głąb kapuściany i — zaraz won!

— Wynos się stąd na zbity łeb!!

Tak szło teraz ciągle. Poseł Deptuła żył, jakby

w szczególnem, apoplektycznem jasnowidzeniu. Przejierał ludzi, rzeczy i sprawy na wylot, wszystko odrazu przeszywał wzrokiem, przenikał myślą, poczem wpadał we wściekłość.

Wściekłość, — Kapuścik twierdził stanowczo, — była udana. Wściekłością pokrywał Deptuła tą samą sprawę: że Lolka Romek wzięła i uciekła. Gdy jej nie było dwie noce po awanturze hotelowej w EKSCELSIORZE, powiedział był z miłym uśmiechem do Kapuścika:

— Czy wiesz? Loleczka objadła się tam zbyt-ku, teraz udaje, że wzięła i uciekła. — Już nie powtórzył później nikomu owych słów wiceleader Deptuła. Tylko samemu sobie mówił, budząc się samotnie: wzięła i uciekła.

Nie wróciła już więcej na szóste piętro, nad bar KLASA. Nie wróciła do niego, Deptuły, który ją przecież pierwszy wygrzebał i odchuchał i zaczął polerować dla zaciejszej kariery i tyle już pieniędzy dał, a ostatnio sam zakupił walizki, dwie, na wyprawę do EKSCELSIORU, obie walizki z porządnego fibru. Lecz wzięła i uciekła. I już nie było Lolki i tylko słońce świeciło w jej pokoju... Albo księżyc.

A gdzież jest twoje ciałko miluchne, — pomyślał Deptuła, przykazując pani „hrabinie” Guńkiewiczowej utrzymywać ten pokój we wzorowym porządku. Gdy się to wszystko stało z tą ucieczką, uzmysłowił sobie Deptuła, że traci równowagę wewnętrzną.

On, wielki komin straszliwego pieca polityki, poczuł się nagle niczem, łącznie ze swemi dwoma

doktoratami, ze swoim stanowiskiem, karierą i nawet z swoją błogą nienawiścią do ludzi. Doznał tego wrażenia niezbitcie, gdy poganiał Guńkiewiczową, radczynię i hrabinę, aby przynajmniej starła porządnie kurze w pokoiku Loleczki. Przyszło w tej chwili na myśl Deptule, że gdy za parę dni przyjedzie stara Bigdzina z córką, Zośka, — Zośka tutaj zamieszka w tym schludnym pokoiku. Zasmucony tą myślą, spostrzegł Deptuła jeden stary koreczek z pantofli Lolki Romek.

Rzeczy nie zostawiła żadnych, ani jednego strzępka, wszystko z sobą zabrała nader przezornie, ale koreczek taki zostawiła jednakże i leżał teraz na nocnym stoliku. Poseł Deptuła wziął ów koreczek i schował do kieszeni. Warcząc dalej na panią Guńkiewiczową, której krew uderzała do głowy, bo żeby kazać żonie radcy, oraz kobiecie dobrze urodzonej, sprzątać po takim ulicznym czupiradle... Deptuła warcząc, nieustannie strofując obrzydłego babsztyla, to jest Guńkiewiczową, macał w kieszeni ów koreczek subtelny.

Kształt pięty wygnieciony w koreczku uprzytomnił panu posłowi możliwość ostatecznych poświęceń. Ożeniłby się, a tak, poseł Deptuła każdej chwili mógłby się być ożenić z Lolką Romek. Nie chciałyby?! No, toby ją zaadoptował i usynowił i potem zamąż wydał. Tymczasem teraz?... Teraz nie śmiał pomówić z nią, dowiedzieć się gdzie jest, co robi. Bał się na oczy jej pokazać. Byłoby to za wielkie przejście. Bo cóż? dać w pysk, albo zapłakać. Dowiedział się jedynie przez Kapuścika kilku ważnych szczegółów.

Lolka skombinowała się z Strzęgorzem. Stało się to zaraz nazajutrz po awanturach w EKSCELSIORZE. Gdy ją wylali z hotelu, przez dwadzieścia cztery godziny przepadała niewiadomo gdzie, z kim? Jej bagaż w nowych walizkach z fibru pozostawał w hotelu. Po bagaż ten przysłano wkrótce z hotelu PATRIA, gdzie panna Lolka *Romek-Romecka*, zapisana została na liście gości, jako artystka. Chorowała tu pono, odwiedzał ją dyrektor Strzęgorz.

Nie spodziewał się poseł Deptuła, że z powodu ogromnej przykrości można przebyć tak osobliwe, dziwnie radosne stany. W pierwszej chwili ucieszył się, że nawet taki Strzęgorz, cwaniak i rutynista, pół hrabia, który już z tyłu pieców erotyzmu chleb jadł, zaaprobował gust Deptuły. No, proszę, wybór jednak się okazuje ekstra!

A widzisz, mój Kaziczku, a widzisz, mój Kaziczku, — powtarzał sobie Deptuła falsetem, — jesteśmy obaj tak pierwszorzędnie drugorzędni... — Z tego wyboru Strzęgorza jakże ogromne, o ileż szersze możliwości współpracy politycznej! Zapomocą Loleczki będzie można wyrabiać z Kaziuńciem dziwne, przedziwne sztuki.

Tak myślał poseł Deptuła pierwszego ranka, gdy się przedzierał przez gąszcz przedwyjazdowo-lachowskich spraw, umów, rozmów i widzeń. „Fakt Lolki Romek” nietylko nie zaciemniał umysłu pana posła, ale nawet przydawał jego pracom szybkości niebywalej. Tylko ręce i końce palców pozostawały zimne. I stopy zimne, czego poseł Deptuła nie lubił bardzo. I w piersiach chłód, jak na wycieczce górskiej.

I koło serca merdanie lekkie, jakby zajęczą łapką uderzał ktoś leciutko w ten pracowity organ.

Pomagało to w pracy aż do samego obiadu. Do obiadu przerabiał poseł Deptuła personalja. Takie tam różne sprawy wpływów, protekcji, kompromisów, trudno przecież walić to całe łajno na jednego Bigdę. Tembardziej, że poseł Bigda, — tak sobie ułożyli na naradzie poufnej, — musiał się teraz zrobić zupełnie niewidzialnym, nieprzeniknionym, niedostępnym i dzikim.

Personalja były do przerobienia z Gruszką, Kosem, Ciarachem, z pewnym nadzwyczaj wpływowym, ważnym redaktorem. Moznaby odwalić jeszcze Stodorowskiego, Dolańskiego, Kortysa, Cynwajsa, czegoż znowu chce Cynwajs? Tak, moznaby odwalić jeszcze ze dwa posiedzenia w komisjach. I co jeszcze?!

Wydało się Deptule, że mógłby tego ranka odwalić cały sejm, obrobić wszystkie sprawy polityczne, gospodarcze, handlowe i wojskowe, i jeszcze całą kupę różnej administracji. Taką czuł w sobie szybkość! Szybkość, — zręczność, — drapieżność!

Zręczność czuł w sobie nieomylną, najgroźniejszą, zręczność tłustych grubasów. Świnia, zbestwiona świnia nie przemknie się tak szybko, jak dziś przed południem potrafił się uwijać gruby, ciężki Deptuła. A rozmaitość?! Z każdym inaczej, z każdym całkiem inaczej.

Starego Gruszkę przytulił tylko do siebie mimochodem, w klubie poselskim i zaraz wszystko ze starucha wycisnął. Do Gruszki lgnął Deptuła niczem muł, czy zawiesista glina.

— Ty, stary, tylko milcz, nie mów nikomu nic, zajmiesz się oświeceniem w nowym składzie ministrów i co ci, źle?!

Nie dość tego dla Gruszki? Więc z Gruszką po dobroci, a znów z Kosem na udry.

— Pysk stul, Kos, lepiej będzie, gdy stulisz pysk. Pojedziesz do Lachowa z nami. Należy ci się! A tam sobie wyrobisz dalej sam, co będziesz chciał. Musisz politykować sam. Załatwia się za ciebie kto? No, kto za ciebie mocz oddaje? No, powiedz. kto? A kto za ciebie fajda? No więc i politykę swoją musisz załatwiać sam.

Ten sam chłód w sercu Deptuły, ale ruchy odmienne, niż przy Gruszcze. Przy Gruszcze była głna, a tu jest osuwanie się ziemi. Całym sobą, niby urwisko przechyla się Deptuła nad czarnym Kosem dziobatym i jak urwisko spada Kosowi na kark ogromnym swym ciężarem.

Z Ciarachem jeszcze inaczej. Z Ciarachem motanina, krzątania i pętania. Prawdziwa płasawica. Ciarach staje się gwoździem, nie gwoździem, — jeszcze cienie. Ciarach staje się sztydłem. Nie sztydłem, — jeszcze cienie. Ciarach staje się igłą, długą cieniutką igłą zardzewiałą... Gdy się w co bije, no, to jak kleszcza musisz wrywać pazurami.

Dobrze, doskonale, wybornie, przewybornie, Ciarach igłą, a na to znów Deptuła, — ustępliwą poduchą. Wbijaj, ile chcesz wbijaj, a poducha się wydmie, wypuczy się i co? I nic, mój bracie, nic! Możesz się zapluć, zapieniść a cóż poducha? Wypięta się swem łonem i gadaj zdrów!

— Słuchaj, Ciarach, wiesz przecie doskonale, że

to nie ty, że to ja chyba trzymam Stachowskiego w rękę. Ty chcesz zostać marszałkiem sejmu. Rozumiem to. Jadłem śniadanie na ten temat, u ciebie w domu. Owszem, stwierdzam, że było dobre. Ale ty do Lachowa nie pojedziesz, — tu dodał poseł Deptuła ot tak, dla rozgrzewki — ej ty, na bujnym koniu, gdzie pędzisz, kozacze?! Do Lachowa ty nie pojedziesz, bo Bigdziny będziesz pilnował przez ten czas, żeby tu jakichś warjactw nie porobiła. Oprócz tego, całego sosu będziesz doglądał tutaj. Całego sosu stołecznego. Aby się nie zwarzyło co przed czasem. I powiadam ci szczerze, stronnictwu przydasz się tu, na miejscu o wiele więcej.

Tu znowu Ciarach szydłem, igłą... Deptuła już z powrotem, — poduchą. A bij, pchaj, siadaj na niej! Tuś siadł, a tam się znowu wypuczyła. Któż może się domyślać, że w osłonięte poduchą serce uderza ckliwie miękka łapka zajęcza?!... O tem nie może wiedzieć nikt, nawet redaktor, który chce wiedzieć wszystko. Sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy dziennie przedstawia ten redaktor. Na widok redaktora Deptuła staje się pożarem. Pożarem, ogniem samym. Jest tu, jest wszędzie, jest rozdwojony, potrojony, bo wszędzie musi palić. Więc tutaj lekko tylko się odmachnął i powiada:

— Zrobimy panu taki rozkład jazdy pociągów, że zdąży pan ze swym numerem pierwszy, wszędzie.

Teraz jeszcze do Bigdy. Przez drogę stąd z lokalu klubowego do sejmowego hotelu idzie Deptuła coraz wolniej. Ba, teraz przypomina sobie, że zapomniał o wszystkim. O wszystkim i o sobie. Nie jest sobą! Nie jest wcale Deptułą! Gdzież się po-

działa dawna mądra deptułowość potężnego Deptuły?! Tak ogromnie potrzebna teraz, nieodzowna!

Stoją dziś z Bigdą na samym progu władzy. Bigda sam, prosty, równy, swobodny i przykładowy! Nazywa się, że go Bigda (Deptułę) ocalił z owej sprawy wirówek (Spółka Kujawska), chłopom podrzucających. I z weksli, co to mówiło się, że opiewają na złote, opiewały zaś na dolary.

Była to w całej politycznej karierze Deptuły śmieszna chwila streszczonego jaknajkrócej humoru. Streszczony, dobry humor, kondensacja... Ale przecież i razem, wspólnie z Bigdą, wyczyniali niejedno, już pod sam koniec wojny. Te wagony skór, — na zelówki! Perkale — i odbudowa kraju... Nikt o tem nie pamięta, prócz Deptuły. I Bigda nie pamięta. On, ścierwo, czego nie chce, nigdy nie zapamięta.

W hotelu sejmowym zatrzymał się Deptuła tuż przed drzwiami numeru Bigdy. Teraz Bigda zostanie opatrznosciowym mężem ludu wiejskiego... A on, Deptuła? Nie będzie mógł grać swojej roli dalej! Nie ma sił teraz na to, nie ma głowy. Bo myśli wciąż o Lolce, o jej walizkach, pokoiku, podczas gdy Bigda ma głowę zimną, spokojną, jasną, niczem nie zaprzątniętą. Przyjaciel i współtwórca, drugie ciało tej samej wspólnej duszy! Jemu też babę jaką na łeb posadzić, utaprać go w kobiecie. Już jak przyjaźń, to przyjaźń, niech będzie wszystko razem.

Zapukawszy w umówione sposoby, Deptuła wszedł.

Wizyta pozostawała mu dobrze w pamięci, choć się tu przecie nic osobliwego nie stało i o niczem specjalnem nie gadali, bo dawno mieli ułożone, a już

z tych ułożonych linii jedno tylko zmienili trochę, to jest, co do osoby ordynata Lachowskiego.

Osoba ta stała dawniej poza rozgrywkami personalnymi, hrabia miał być wciągnięty później do gabinetu z powodu mianowania Gruszki, teraz zmienili, ale to drobiazg chyba! O tyle się zmieniło, że wystrzela się ordynata od samego początku — na stanowisko prezydenta. Co będzie za rok, — bo to dopiero za rok aktualizuje się miejsce prezydenta, — niewiadomo. Czy się strzela ordynata poważnie na stanowisko prezydenta, niewiadomo. Ale wiadomo, że takim sadłem posmarowany ordynat urządzi widzenie w Lachowie zręcznie i korzystnie.

Nie mieli więc Bigda z Deptułą do obgadywania tak wiele. Conajwyżej wzajemne donosy posłów na posłów, drobne, że ten o to, tamten o tamto prosi, temu nogę podstawia, a przed tym znów przestrzega. Cóż wiele mówić: takie tam poklepywanie dawno już odrutowanego garnka.

Możnaby jeszcze pogadać o inteligentach. O inteligentach gadali Bigda z Deptułą, gdy byli bardzo zmęczeni, gdy się nudzili. By sobie dodać sił, kurażu i humoru. By się podniecić wzajemnie. Ale zmęczeni dziś nie byli, zasadniczo więc wszystko wiadome jest co do inteligentów: pod but, albo poobsadzać, jak w MAŚLE! Dać im taką robotę czułą...

Okno pokoju miał Bigda otwarte. Wychodziło na ogród sejmowy, szumiący rozkwitłymi kasztanami, Bigda siedział bokiem do okna.

Wizyta ta utkwiała w pamięci Deptuły z powodu specjalnego zachowania się Bigdy? Takim zarem od niego tchnęło. Takim gorącem, że mimo

otwartego okna, czuć było wszędzie w pokoju, jak-gdyby kwas rozprażonego chleba. Bigda siedział nad biurkiem w gaciach, w koszuli, boso. Z płóciennego grubego giezła, bo się tak układała ta bielizna jak-by w kamieniu kuta, widniała twarz Mateusza sucha, matowa, brązowa i nieruchoma.

Bigda pisał. Miał przed sobą zapisanego papieru najwyżej pół stronicy. Jaki to spokój ma taki twardy człowiek?! Siedzi, pisze i nic go nie obchodzi. Nie zatruwa mu głowy ten dziki dur kobiecy!

Babę jaką Mateuszowi na łeb posadzić, — marzył Deptuła, patrząc na poskręcane świstki, rozrzucone po podłodze.

— Co jest? — zapytał Bigda i pisał dalej, albo raczej rył dalej po papierze w tem samym miejscu.

Deptuła w kilku słowach o wszystkim, zwałił przyjacielowi odrazu na łeb cały garus codzienny. Tak, rzeczy bez znaczenia, tak, dla przetarcia gęby.

Bigda, nie odwracając głowy, nie zmieniając pozycji powiedział nagle, a jakże to zabrzmiało ciężko w lekkim poszumie drzew: — Na temat naszej reformy rolnej nie mówię nigdy nic. To wiesz. Okazuje się teraz, że nie potrafię o tem napisać ani jednego słowa.

Milczenie.

Po chwili, w szumie liści znów ochrypty głos Bigdy: — Ani jednego słowa. Jedność swoją już mają. Z poprzetrącanemi kośćcami ją mają, ale mają. Teraz trzeba napisać artykuł o reformie, z której jedność wynika. Do naszego Ludowca trzeba napi-

sać ten artykuł. — Bigda zawrzasnął nagle: — I nie mogę ani jednego słowa!

Siedział nad papierami w gaciach, bieliznie, w płóciennem giele, — jakby nad grobem własnym, otwartym, z którego wylał przed chwilą i teraz дума nad odwaloną płytą. A to ci płyta: pół stronicy papieru, zapisanego krzywemi kulasami, nad wszystkim polatuje z ogrodu drobny, płochy szum liści.

Jeszcze takiego Bigdy nie oglądał Deptuła. Jeśli takie namysły teraz, to cóż to będzie dalej?! Najlepszą pewnością i pociechę wszyscy w tem mieli zawsze, że Bigda zawsze działał. Za nich wszystkich działał, działał i działał! Niechże się ocknie! Niech się ocknie, co żywo! Połaskotać prywatą jaką, — jakaś mała prywatą drańska, lub coś osobistego, przyjazd rodziny Bigdy, — Zośkę chce wydać Mateusz za Stanisława, a tu tymczasem stary Mieniewski z dyrektorową Kostryniową obrabia interesy!

— No, jak ci to opowiem, to już trzymasz staro za kark, nie mówiąc o kobiecie!

Bigda milczał. Nakoniec podciągnawszy gaci, ryknął niespodziewanie: — Nie gadać tutaj do mnie!

Deptuła wracał korytarzem, nie rozumiejąc nic. Wiedział, że go Bigda wylał na zbity łeb. Wiedział, że trzeba było napisać artykuł o Lachowie. W tej chwili nie rozumiał jednak ani zjazdu w Lachowie, ani też kompromisów politycznych, ani ogromnej sprawy chłopskiej, którą rozwiązywali we dwóch. Rozumiał tylko jedno! Ze trzyma w bocznej kieszeni marynarki koreczek z pantofelka Lolki Romek (teraz nawet Romeckiej!) i że stąd, z sejmu,

pojedzie natychmiast do PATRII. Jak pomyślał, uczynił.

Robi posel Deptuła w hotelu PATRIA zadęcie ziemianina. Ale dlaczego od tej chwili aż do wyjazdu do Lachowa nic już innego nie pamięta, tylko swe własne sprawy osobiste, a z polityki nic? Przecież tak ważne kwestje przerabiali w tej polityce, było jeszcze gadania i mielenia ozorem! A jednak do momentu, kiedy wsiadali z Bigdą do samochodu, — nic, nic i nic, tylko jakby osobiste wakacje! Kompromis na wakacjach i polityka na wakacjach i on, Deptuła, straszliwy komin potężnej kuchni politycznej na wakacjach.

Tak się zawziął w tym czasie na Lolkę!

Przychodzi do hotelu PATRIA, niby jako ziemianin. Oddał laskę, wyciąga z kieszeni stare, niciane rękawiczki, których nigdy nie wdziewa i mówi portjerowi: — No, panie dobrodzieju, weźże pan rękawiczki. — A równocześnie ogląda się ku wejściu, jakgdyby kogoś czekał, jakby czekał swojej pani dziedziczki, z pannami na wydaniu.

He!!!

I tak macha rękami, sielsko. Niby nad łanem swoim, niby nad ziemią, nad dobrą swoją rolą, niby tak błogosławi dobroczynnie. Przed obiadem załatwia także klozet. Znowu jest ziemianinem.

— No, a mydełko, — powiada, błogosławiąc ręcznikom, — czy ma pani mydełko dla mnie? — Z klozetu dąży uroczyście do stołu, gwizdząc po drodze aryjkę z operetki. Serce w Deptule drży nadzieją, że w restauracji hotelowej siedzi gdzieś Lolka Romek.

Lolka nie siedzi nigdzie.

Deptuła je samotnie. I pije też samotnie. Musi się zdrowo napić, bo zaraz po obiedzie pójdzie do niej na górę. Na górę do numeru. Niech pan Strzęgorz, człowieczek pierwszorzędnie drugorzędny nie myśli, że będzie miał Loleczkę na własność. Nie, Kaziczku. Omyłka. W proroczych gloriach tej omyłki „dał sobie” poseł Deptuła cały wiosenny obiad, przedewszystkiem zaś raki. Ssał im głowy, farfocle brzuszne, gruchotał drobne łapiny w zębach, a duże łapy gryzł, nie obierając, jako, że szkoda czasu. Co zaś którego raka zjadł, to mu popatrzył w oczy. Cóż w nich widać, w ugotowanych oczach?

Pogodna śmierć. Wszystko się kiedyś kończy. Taka Lolka wzięła i odeszła. A ty biedaku zryj i pij. Tu niema co! Tak sobie postanowił i okazało się, że słusznie, bo gdy przynieśli grzanki ananasowe i jeszcze butlę wina, przekonał się Deptuła, że żarcie było bardzo potrzebne. Myśl bowiem spowodowało nareszcie, jakąś lepszą myśl ludzką, i rozsądną refleksję. Podniosły się w Deptule znienacka te refleksje szlachetnym chórem na cześć sprawiedliwości życia.

No tak, tu żre i pije pan Władysław Deptuła, poseł i wiceleader w dobrobycie statecznym. Zaraz pójdzie na górę pospać z Loleczką Romek. A cóż lud na tem traci? Lud na tem tylko zyskuje. Do ananasów przyczynia się smak ludu. Lud musi być zdradzany przez swoich najsilniejszych. Zdrada taka jest organem selekcji. Słabsi podpatrzą, pilnie

podpatrzą najsilniejszych i podciągną się wyżej. I tak dalej, jedni po drugich i jedni za drugimi.

Zasępił się Deptuła, że tak jest mało na świecie ideałów, trudnych do osiągnięcia. Jeśli wytrwale płyniesz, — wszędzie i jakże prędko trafiasz zaraz na brzeg! Zapłacił i otrzymał numer pokoju Lolki Romek-Romeckiej, poszedł godnie na górę. Po drodze były lustra, jak to zawsze w hotelach pierwszorzędnych. A dopieroż u księcia Rosławskiego, husarza-przemysłowca miałoby może takich lusterek brakować?!

Deptuła minął ich kilka zupełnie obojętnie, a oto nagle w ostatnim, gdy się wynurzał z zakrętu małych pobocznych schodków, ujrzał się całkowicie. Całkowicie, a zarazem stopniowo od czubka głowy, wdół, ku brodzie, przez szyję, piersi, brzuch, — weszły nareszcie w polerowaną wziernię lustra krótkie, opasłe nogi.

Deptuła stanął — przerażony. Ta morda obrzęknięta, białawo-sina, te wargi i skronie rozdęte! Widział się przecież w lustrze, ale zarazem nie mógł dostrzec w odbiciu swego własnego wroku. Czemże więc patrzył? Czy, — kto za niego patrzył? Kto mu go pokazywał w zwierciadle? Kto mu tu pokazywał *takiego* Władysława Deptułę?!

Zbiegł nadół, boczkiem ze schodów, pod ścianą, jak przepłoszona mysz. Uciekł stamtąd ze strachu, prawie od drzwi Loleczki. Bał się już ryzykować. Wiedział, że gdyby Lolka nie przyjęła go, chciała wyrzucić za drzwi, nie przeżyłby już tego.

Kupił w hotelu cygaro, kazał się wieźć do krawca i w ryku zgrzytającego motoru uznał, że

to jest miłość! Nie mógł sobie powiedzieć okropniejszej obelgi. Pluł na rękę, zaślinioną dłonią bił się w policzek. Nie za mocno, by ludzie nie spostrzegli. Tyle się bił, ile trzeba dla oprzytomnienia i okazania pogardy sobie, ludziom, miłości, Lolce! Zatrzymał auto przed modnym krawcem.

— Nic podobnego, — nie na miarę. Jakieś gotowe ubranie. I nowe szelki, krawatkę i skarpetki. Tamto przenoszone ubranko odesłać.

Nie, nie odsyłać. Zapakować i zanieść do taksówki, która czeka przed sklepem. Stąd, już w nowym ubranku do cukierni. W cukierni duże, czterokilowe, tak zwane młyńskie koło czekoladek. Pod pokrywą pudełka wsunął Deptuła karteczkę na której sam napisał jedno jedyne słówko — „anonymowo”.

Słówko — anonimowo, — opatrzył znakiem zapytania. Stąd do hotelu PATRIA. I znów stanął przed lustrem.

To już nie łapka zajęcza, uderzała chyba teraz w serce posła Deptuły duża ściśnięta pięść. Zeszedł z powrotem do portjerni. Oddał cukierki, kazał je odnieść na górę do numeru, a sam, znów niby z sielska machając ramionami, wyszedł. Do domu. Jak najprędzej do domu. Szedł prędko, nie oglądając się na boki.

Szedł tak prędko, że aż się spocił po drodze. Nareszcie — już bar KLASA. Dążył przez owych sześć pięter nad bar KLASA, pochylony, naprzód podany, jak do szturmu. Postanowił zajrzeć dziś prawdzie w oczy.

Prawdzie — to jest Deptule rzeczywiście, bytowemu!

Wszedłszy jednak do mieszkania rozflaczył się, rozbebeszył, naświnił wszędzie, porozdzierał w niektórych miejscach arabskie kotary, potem zrobił znów dziką chryję Guńkiewiczowej, potem się zwałił do tej nauczycielki, cielęciny z Lubelskiego, obiecywał jej miejsce, posadę i różne inne cuda i wymordował ją, wygniółł i wyszydził, a potem późno w nocy zajrzał znów do pokoju Lolki Romek i znów wrócił do siebie. A tu, zatkawszy sobie głowę kołdrą, powtarzał na głos aż do uśnięcia: — Nie znalazłeś się Deptuła...

Od rana nic, prócz przypomnienia, żeby Kapuścik przewentylował te plotki spiskowe, zamachowe i nic i pustka. W całym ciele choroza rozpaczy. Popołudniu drobny dzwoneczek od Strzęgorza! Na dziś wieczór. Ma się rozumieć, doskonale. Ależ zawsze, najchętniej!

Dopiero znacznie później, już wsiadając z Bigdą do samochodu którym ruszali w stronę Lachowa, przypomniał sobie Deptuła polityczną stronę wizyty u Strzęgorza. Ale wtedy, na Wilczej nic o tem nie pamiętał.

Gra była ważna, nowa, niebezpieczna, a tu Deptuła nie rozporządza już żadną wrażliwością. Można go „bujac”, można mu opowiadać wszystko, ach, możnaby go żgać, kopać, czy za uszy pociągać, Deptuła już nie czuje. Jest dobry, bo nie czuje.

To raczej odruchowo chwycił Deptuła notes, czy piętrzył czoło i chował pod wybrzuszoną skórą

malutkie swoje oczka, gdy pan dyrektor Strzęgorz od niechcienia wyjechał z koncepcją ewentualnych zmian w układzie, jeśli mowa o tajnej propozycji personalnej, co do osoby na miejsce prezydenta.

Pan Lachowski, August hrabia Lachowski, ordynat, — kandydat pierwszorzędny, ma się rozumieć, ale ze względu na adekwatność...

Deputa machinalnie nastawił uszu, w myśl wypróbowanego doświadczenia, iż każdy termin filozoficzny pokrywa w polityce przeważnie jakieś świętostwo.

Ze względu na adekwatność kandydatury, byłaby raczej mowa w obozie zacnych ziemian o Bigdzie.

Nie chcieli, dranie, dać się z swoim Lachowskim замуrować żywcem w zaszczytach. Deputa uczuł w tej chwili, że go opuszcza kompleks Lolki Romek. Była to chwila krótka, lecz nader jasna. Deputa tutaj siedzi w swoim starym ubraniu (nowe pokopał wczoraj i powiesił w szafie), dawny, stuprocentowy wiceleader marszczy czoło i uśmiecha się końskim zadkiem swych opieszających warg. I rozumie wybornie, że się zacni ziemianie spostrzegłi. Nie chcą dać замуrować żywcem Lachowskiego, ba, wolą замуrować żywcem Bigdę.

Pan Strzęgorz nalewa kieliszki pipermentu. Czarna kawa zagotowała się w szklanej wielkiej maszynie. Pachnie. Pan Strzęgorz nie ma dziś lokaja, gwarzą sobie po kawalersku. Nalewa teraz do filizanek czarną kawę.

Jedna filizanka została przy maszynie (tam zapewne usiądzie sam, aby doglądać jeszcze płomienia

spirytusu), drugą bierze pan Strzęgorz w połyskliwe, chociaż nieco kosmate palce i wolnym ruchem, by nie uronić ani jednej kropelki, przenosi dookoła stołu, w stronę Deptuły.

Deptuła patrzy na honorową ścianę salonu, by nie pomyśleć pewnej rzeczy, którą wie, że pomyśli. Przez honorową ścianę salonu jedzie konno na kosakowskim portrecie rotmistrz Strzęgorz i wskazuje baterji dalszą drogę zwycięstwa. Nie można na to patrzeć. Lepiej patrzeć na dłoń, niosącą filizankę czarnej kawy. Dłoń jest kosmata nieco. Nawet palce niedaleko paznogci mają już drobne kępki kosmacizny. I oto jest myśl nowa, tak wstrętna a zarazem upragniona: jeżeli owa ręka jest owłosiona aż po paznogie, to co się dzieje dalej z całym ciałem?

A więc Strzęgorz jest porośnięty, kosmaty. Deptuła widzi, jakby posiadał sztukę przenikania odzieży wzrokiem! Widzi przed sobą nagięgo Strzęgorza, niosącego w ostrożnych palcach filizanczkę kawy.

Czemże już był Deptuła w tym czasie rozpaczliwym?! Był już wszystkim, lecz nie był jeszcze degeneratem. Teraz stał się degeneratem. Uśmiecha się, przypominając sobie dawne, obrzydłe czasy w bursie dla biednych chłopców, znajdów. A kto się tam certolił ze znajdami?! Ta sama, jakże bolesna rozkosz w dołku, gdy Strzęgorz postawił filiżankę na stole. Deptuła chwytą plenipotentą, klepie po udach, biodrach i śmieje się i nagle ryczy rubasznie: — No, Kazek, kiedy, jak kiedy, ale teraz? Było nie było, wypijamy bruderszaft dzisiaj, nasz, nasz bruderszaft!

Wypili. O polityce nic. I dawno się rozstali, już dawno porządkował Deptuła u siebie, składał papiery, bieliznę i ubrania do kuferka a jeszcze śmiał się dalej, jakby to było wciąż jeszcze u Strzęgorza na Wilczej. Opróżniał swoje bocianie gniazdo, gdyż miała tu zamieszkać Bigdowa z córką. Na kilka dni.

— Pani Guńkiewiczowa, — wydawał dyspozycję Deptuła późną nocą, nasłuchując zarazem, co się dzieje w sąsiednich numerach i wogóle na korytarzu bocianiego gniazda. — Pamiętaj pani, że na te dni należy całkowicie przyciszyć lokatorów tutaj. I wogóle interes cały!

Na balkonie bocianiego gniazda przypomniał sobie Deptuła o nowej propozycji Strzęgorza. Co do prezydentury Bigdy. Mateusz Bigda prezydentem. Tak, czy nie? Trzeba sobie odpowiedzieć na to pytanie jak najprędzej.

Wpoprzek całej ulicy widać było na dole, na asfalcie czerwone elektryczne litery ogłoszenia baru Klasa. Przez poszczególne rozległe człony liter mijał raz po raz tłum przechodniów. Wyglądało to stąd, jakby wielkie znaki świetliste kurczyły się i rozciągały w swym kolorowym miąższu, to wyrównując się, to mierzchnąc, to znów błyszcząc jednolicie wezbranem światłem.

Klaksony samochodów dochodziły na szóste piętro w naiwnym wielce brzmieniu, jakby kwakanie kaczek. Wychyliwszy się nieco z balkonu ujął Deptuła nisko, pod sobą na parterze małe, żelazne sklepienie, rozwinięte nad wypukłym frontonem baru KLASA. W zagłębieniach tej żelaznej kopułki le-

zały rozmaite odpadki, puste pudełka zapalek, strzępy szmat i szkielec parasola. Ot, zwykle śmieci miejskie, z którymi robił porządek już tylko deszcz i wiatr.

Deptuła miał wzrok doskonały. Widział daleko i ostro. Niejednokrotnie dziwił się, że wzrokiem swoim nie kaleczy ludzi na odległość. Patrzył bowiem, oraz zaglądał w cienie, zmarszczki i fałdy przeróżnych fizjognomij zdaleka tak dokładnie, — jakgdyby odskrobywał wąskiem ostrzem. Przy świetle okien pierwszego piętra widział zupełnie dobrze rozmaite przedmioty w załamach żelaznej kopułki nad frontonem KLASY. Zaznajomił się z nimi już dawno. Pamiętał też, gdzie co kiedy przybyło, spadło i gdzie już trwa.

Na balkonie bocianiego gniazda miał pan poseł Deptuła dwa widoki do wyboru: — albo krajobraz stacji centralnej, dziesiątki lokomotyw, czuby pary, wagony, szyny i wreszcie ciemne, jakby tajemniczą bolesnością wezbrane oddale przestrzeni.

Drugi widok, o wiele bliższy, to ulica i żelazna kopułka nad barem KLASA, ze śmietniczkiem, ze szkieletem parasola, z niedopałkami. W chwilach trudnych i niebezpiecznych — a takich właśnie ileż więcej ma każdy człowiek w życiu, — patrzył cierpliwie Deptuła na ów śmietniczek wałęsający się po zboczach i uchyłkach majestatycznej kopułki baru KLASA. W śmietniku można coś zawsze znaleźć, — objaśniał sobie bezmyślną swą ciekawość.

I oto znalazł! Znalazł poseł Deptuła to, czego szukał i co mogło mu przynieść pewne uspokojenie: na pytanie, czy Bigda ma zostać prezydentem, zna-

laż Deptuła odpowiedź między szkieletem parasola, a pudełkami od papierosów: Bigda powinien cierpieć, rozbijać sobie łeb, jak on: Deptuła! Bez tego wogóle razem dalej nie pójda... Roztkliwił się Deptuła nad Bigdą, nad ukochanym Mateuszem, nad ukochanym przyjacielem. Jakaż byłaby to niezmierna ulga, jaka piękna harmonja, gdyby Bigda dręczyć się mógł tak samo, jak teraz on, Deptuła.

Następnego ranka przeistoczyło się to przyjacielskie pragnienie w dym. Deptuła znał te rzeczy u siebie znakomicie. Gdy czegoś pragnął rzeczywiście, — póki nie przeprowadził, omotywała go taka sprawa, jak dym, że ani patrzeć wkońcu, ani oddychać nie mógł swobodnie.

Dym...

Będziesz siedział naprzeciw mnie, — powtarzał sobie, jak mu to Bigda zwykł był mawiać przed każdym posiedzeniem trudniejszym przed każdą radą nadzorczą, ale ważną, przed każdą cięższą przeprawą... Będziesz siedział naprzeciw mnie, najdroższy przyjacielu, — cieszył się poseł Deptuła, jadąc do pani dyrektorowej Kostryniowej. Będziesz siedział naprzeciw mnie.

Deptuła wiedział przecież, że gdyby się udała afera z Kostryniową, będzie miał w Bigdzie nowego sojusznika przeciwko Strzęgorzowi. Bigda zapłonie nową wdzięcznością, Kostryniowa go też nakręci dla dobra córki. Bigda będzie mógł całkiem krótko rozkazać Strzęgorzowi, aby odszedł od Lolki.

Na kim się oprę, — pomyślał Deptuła w najgłębszem, najwierniejszem rozczuleniu? Na tobie, przyjacielu!

Wpadł do pani Kostryniowej, jak po ogień. Niema tu ani jednej sekundy do stracenia!

— Pani dyrektorowo, niechno pani posłucha, niechno pani posłucha! — Mówił właśnie, jak w dy-mie, krztusząc się i zaciskając mocno powieki. Ale, ma się rozumieć, zdążył przedtem popatrzeć, co, gdzie, jak, czy w porządku? Jakże babsztyl wygląda, czy trzyma się porządnie, no i wogóle, — jaka ma tu być aura?

Babsztyl się trzyma w idealnym porządku. Deptuła lubił najświeższą młodość w takich ra-zach, żeby to było zawsze ściśle, jędrne, jak rze-pa. Ale jeżeli płeć może być także uduchowiona, no to będzie miał Bigda uduchowania wszelakiego wyżej uszu. Deptuła znał się na tem, nie od dziś. Niedarmo chyba miał w tym względzie praktykę, gdy na ostatnim roku filozofji pomagał sobie ko dy-cjami. Miał wtedy pewien ściślejszy związek z pew-ną notarjuszową. Niema kwestji, Kostryniowa była o wiele lepiej, od dwóch, od trzech, od dziesięciu takich notarjuszowych była lepiej!

No pewno, nie nadużywać bardzo, unikać ran-ków zawsze. Jeżeli jednak chodzi o kształt ze-wnętrzny, utrzymany do tego w stylu czcigodnej, lecz jadalnej matrony, — nie będzie mógł Mateusz trafić lepiej.

Deptuła zamknął za sobą drzwi na klucz. Po-czem palec sobie położył na ustach, później, niestety, zapomniał się i portki oburącz podciągnął, później jednakże zatarł owo wrażenie, zbliżając się do pani Kostryniowej na palcach. Teraz gdy znowu działał, z wyraźnym celem w sprawie Loleczki Romek, nie

był już ani pchłą, ani słońcem, ani wczorajszą myszą, zmykającą brzegami klatki schodowej.

Teraz był znowu w całej pełni Deputa.

— Co mi pan chce powiedzieć?! — zawołała pani Kostryniowa.

Krocząc naprzód, zaprzeczył głową. Wtedy zaś pani Kostryniowa wydała tłumiony okrzyk zgrozy. Poseł zbliżył się do niej, tak znacząco, że stanęła bez ruchu, jakby sparaliżowana.

— Jesteście zgubione obie, — mówił — jeżeli pani w tej chwili, w tej ostatniej chwili, póki czas jeszcze, nie posłucha mej rady. — I tu wyłożył jej wszystko, gadając długo, mętnie, nieznośnie a zawilo. — No tak, trudno, pani jest przecież matką, wolę nic nie ukrywać. Panna Zuzanna, wszak to córka pani, nie pasierbica, niektórzy utrzymywali, że pasierbica! Ale nie? Oczywiście! Panna Zuzanna jest zgubiona i stacza się w przepaść.

— Mam od niej list, — krzyknęła Stanisława—
coprawda tajemniczy, dziwny...

— To obojętne, — przerwał Deputa, — Cóż znaczy list, niech pani słucha faktów!

Jął opowiadać te fakty. Były okropne, ale Deputa opowiadał je dziwnie serdecznie, najgłębszym swym, osobliwie słowiańskim, starosłowiańskim basem. — Córka pani, panna Zuzanna, która się przyczyniła z pewnością głównie do oddania wszystkich waszych pieniędzy leaderowi Mieniewskiemu, dowiedziała się jakoś, skądś, że te pieniądze właściwie już przepadły. Postanowiła widocznie odegrać się w karty. Tak proszę pani, w karty. Ostatecznie, nie można powiedzieć, by nie odpowiadało to jej

sferze, pochodzeniu, zwyczajom w tej sferze przyjętym. Ta gra w karty w tajnym lokalu nie odbyła się bez bardzo przykrych incydentów. — Nakreślił ogólnie przebieg incydentu.

— Protokoły policji udało się na szczęście zatrzymać. Nie dano tego do prasy. To nie poszło, może da się zatrzymać jeszcze, wszystko zależy od dalszych okoliczności.

Protokoły policji, sala etruska, gra, karciarstwo i może nawet k r a d z i e ż; jedna z tych osób, „zamieszanych”, artystka, jakaś panna Lolka Romek-Romecka oskarża pani córkę, — tak, napewno nieporozumienie — oskarża pani córkę o grę fałszywą w pokera, czy w bakarata, nie znam się na tych grach. Okropne towarzystwo, bijatyka. Czy był to akt rozpacz, czy też lekkomyślności, — niewiadomo narazie...

— Ależ ona tu w liście chce oknem wyskoczyć, — krzyknęła Kostryniowa — grozi najwyraźniej! Ale nie wspomina ani jednym słoweczkiem o tem wszystkim, co tu pan opowiada, panie pośle?

— Nic dziwnego, że córeczka w liście do matki nie wspomina o swoich występach w pokątnych lokalach gry, to nic dziwnego. Co do skakania, — mówił dalej starosłowiańskim basem Deptuła, — co do skakania oknem, nie wyskoczy. Dochodzi bowiem, zdaje się, do tej awanturniczości jakaś miłość, o ile ja się orientuję. Ja panią w błąd wprowadzam, — krzyknął nagle Deptuła. — Jeżeli się się nie naradzimy, nie przedsięwziemy jakich kroków, córka pani doskonale może wyskoczyć, zabić się i wogóle, wszystko, co pani chce!

Kostryniowa chwyciła się za głowę.

Deptuła mówił dalej prosto i serdecznie.

— Wywieźć ją, niech odpocznie, zmiana klimatu, ludzi, powietrza, otoczenia, świat jest tak piękny. Świat jest tak piękny, szeroki, rozmaity! Dać młodemu stworzeniu poczuć tę krasę świata, stworzonego przez Boga dla radości człowieka.

Wzniósł oczy ku górze i zakończył znowu basem cerkiewnym: — *Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie!*

Dlaczegoż, kiedy wspomniał o Bogu, przelękała się i popatrzyła na Deptułę z tak wielkiem przerażeniem?! Nie zważał na to. Mówił dalej o środkach i pieniądzach; o jedynym na to wszystko ratunku, który jest teraz tylko w jednym jedynym Bigdzie. On, Bigda, albo nikt.

— Jak ojcu, powie mu pani wszystko bez przesądów i bez ogródek. Ja tu nie znaczę nic. Jeżeli jednak chcecie jeszcze ratować nietylko wasze pieniądze, ale także nazwisko, n a z w i s k o m ęża pani, dyrektora Kostrynia... — Deptuła nie zakończył tego zdania, stając się, ni stąd ni zowąd, ziemianinem. I wołając, — no już, jedziemy, jedziemy jak najprędzej! — błogosławił znów krzesłom, lustrum i dywanom.

Pani Kostryniowa wybuchła nieoczekiwanym płaczem. Wiadomość była zbyt straszna. Staczająca się w przepaść Zuza, bankructwo! — Skąd pan wie, że straciłyśmy nasze pieniądze? — Nie to chciała powiedzieć. Chciała powiedzieć, że wyrwie córkę natychmiast z jej złego otoczenia. Wyjadą zagranicę. Ma się rozumieć! Ma się rozumieć, świat

przez Boga stworzony jest piękny! Jeżeli jednak Bank Robotniczy wywrócił się, nie będzie mogła jechać z córką zagranicę. Bo za co?

Przypomniała sobie Kostryniowa w dziwnem olśnieniu swe tak niedawne, choć tak smutne szczęście. Jak z córką razem biegały po cichutkich alejach Wilanowa, jak rozmawiały o „misji”, dalszej misji życiowej! — Co pan każe, co pan każe, abym zrobiła teraz, panie pośle? Nic nie rozumiem.

Wyłumaczył raz jeszcze, że on sam nic nie może. Dowiedział się jedynie przypadkiem o ruinie Banku Robotniczego i o przygodach panny Zuzanny. Wszystko trzyma w swem ręku Bigda. Bigda trzyma w swem ręku wszystko i ich nazwisko i ich pieniądze. Trzyma to wszystko Bigda w swoim ręku dzięki ogromnym wpływom.

— Który to jest pan Bigda? — Kostryniowa prosiła Deptułę, by jej przypomniął. — Czy go znam? — Chciała sobie przypomnieć, zmarszczyła czoło w wysiłku.

Rysy twarzy tej kobiety rzeczywiście, jakby kto ułił dla Bigdy, — stuprocentowa szlachetność! Moznaby je drukować na banknotach i to na wyższych, conajmniej stułotówkach. Deptuła zaczął skwapliwie opisywać, jak pan Bigda wygląda.

Kostryniowa przypomniała sobie w tej chwili sama. Ów wieczór nieszczęsny, gdy była w banku u Mieniewskiego z pieniędzmi! Gdy odbierała papiery, był tam też jakiś inny poseł, chłopski w długich butach z cholewami, Rozmawiali o nim z Mieniewskim, pamiętała, że był w długich butach,

nie pamiętała twarzy. I oto taki człowiek, taki człowiek trzyma w swem ręku pieniądze i nazwisko Kostryniów! Uśmiechnęła się do Deptuły gotowym zawsze, mechanicznym uśmiechem.

— Pan poseł raczy chwileczkę poczekać. Zbiorę się i jedziemy. Ach, mój Boże, jedziemy!

Wszedłszy do sypialni, zbliżyła się do okna. Było otwarte. Usiadła przy niem, a raczej rozsiadła się, jakby na dłuższy czas dumania. Wiedziała jednak, że już nie wolno jej stracić ani jednej sekundy. Trzeba wstać, iść, ruszać się jak najprędzej! Jeszcze jedną chwileczkę. Z żalem patrzy na dachy, błyszczące w słońcu, na daleką Wisłę. W niebieskiej dali wiślanej błyszczał, na horyzoncie prawie, malutki biały żagiel.

Tego właśnie było już za wiele dla pani Kostryniowej. Poderwała się, przerażona: ratować córkę! I ratować pieniądze. Lecz przedewszystkiem córkę! Tu obowiązek i tam obowiązek, ach, wszędzie obowiązek!

Podczas zmieniania sukni uświadomiła sobie nagle, że nadewszystko chodzi tu o misję! O misję, o pozagrobowe życie jej męża tu na ziemi, o nazwisko, o wszystko! Ale zapłacić trzeba będzie za pensjonat i rachunki, no, i za co wyjechać i z czego żyć... Wszystko, co z tak wielkim wysiłkiem zdobyła chyba wreszcie, — przeświadczenie moralne, spokój, poczucie własnej godności i poczucie ofiary, to wszystko, dzięki czemu rozgrzeszała się nawet (nie licząc rozgrzeszenia kanonika z upadku swego z Coeur'em, — to wszystko było fałszem?! Chodziło o pieniądze!

Stanisława, przemieniając obuwie, potknęła się. Usiadła na niskim taborecie przy dawnym parawanie z pierścionków od cygar. Oparła palce, oparła czoło o ramę parawanu, w bezsensownej, mistycznej nadziei, że ten sprzęt przyniesie jej pociechę w tej chwili.

Przymknęła oczy, aby się skupić i opanować. Misja, misja, tradycja, służba dla biednych oszczędności Kostrynia i dla ich przeznaczenia! Z przymkniętych oczu pani dyrektorowej płynęły łzy bezradne, poprzez które nie mogła już zobaczyć innego wyjścia, prócz ostatecznej ucieczki w nieznanym, obcym człowieku. Człowiek ów, poseł Bigda, niewiadomy, tak obojętny, jawił się w niedoczyszczonych chłopskich butach. Oto wszystko, coby mogła dziś powiedzieć o Bigdzie. Niedoczyszczone buty z cholewami, oto wszystko! Jakże to straszne i jakże to upadek!

Rozdział VI.

Urok bocianiego gniazda.

Pani dyrektorowa Kostryniowa wyszła do posła Deptuły zapłakana, lecz bardzo godna. W pełnej żałobie. Z pudru, którym starała się zatrzeć ślady łez, błyszcząły wyblakłe oczy jeszcze piękniejszym blaskiem.

— Ach, tak, droga pani, — huczał gęsto Deptuła, — życie, to jednak jest kawałek do odrobienia, nie byle jaki! — Poseł uznał, że Kostryniowa „w sosie cierpienia“ może być niebywała. Żadnych porównań z dawną notarjuszową. Powinienby to być dla Bigdy kawałek wymarzony. Dla Bigdy?...

Jechali samochodem do dawnego mieszkania nad KLASĄ, przygotowanego na przyjęcie rodziny chłopskiego lidera. Lidera i prezesa. Sam prezes siedział tam już na stałe od wczoraj.

Taka dyrektorowa Kostryniowa przydałaby się nietylko Bigdzie. Jakże wielkie zasługi wychowawcze mogłaby oddać chociażby Lolce Romek?! Tak, gdyby Lolka nie uciekła, mogłaby doskonale przejść przez coś niby w rodzaju wychowania, towarzyskiego musterunku u Kostryniowej. Takie jakieś

skrócone towarzyskie, podręczne — sacré coeur. Od czasu, gdy uciekła, nie przestawał Deptuła osnuwać swoich relacyj familijnie, rodzinnie.

Kształcić Lolkę, pouczyć, dać jej może nawet do czytania kiedy nareszcie Mickiewicza?! Żeby szelma czytała, uszlachetniała się. I dodać salonowego wzięcia. Przez Kostryniową.

Czy taki Bigda zrozumie, że i jemu samemu, jeśli ma objąć władzę, przydałaby się wybornie taka Kostryniowa, — pod względem wychowania, ułożenia, nie mówiąc już o pożądanym hałasie romantycznym z przyczyny podobnie dziwnego związku. Zaprząc do roboty Kostryniową i to na wszystkie fronty. Czy to Bigda zrozumie?

Bigda nic nie rozumiał. Gdyby był widział, jak się dyrektorowa zachowywała na schodach do bocianiego gniazda! Na długiej i wysokiej drodze sześciu pięter od baru KLASA aż do samego bocianiego gniazda, jak szła temi schodami, zaciąwszy usta!

Weszli bez pukania. Posel Deptuła miał z sobą klucze, było to przecież jego własne mieszkanie. Ale czy jest cokolwiek własnego na tym świecie, gdy ma się do czynienia z Bigdą?! Pani Guńkiewiczowej po drodze ani śladu i ani śladu lokatorek. Deptuła tak przykazał. Rodzina Bigdy przyjeżdżała dopiero jutro, pociągiem wieczornym — lepiej jednak na zapas już zachować odpowiednią powagę lokalu.

Weszli do przedpokoju. Ciszka.

Bocianie gniazdo miało dwa pokoiki w amfiladzie. Weszli do pierwszego. W mieszkaniu posła

Deptuły, owem gnieździe bocianiem nie było drzwi pomiędzy pokojami, a tylko, jak i na ścianach perkalikowe kotary. W pierwszej ubikacji nikogo, w drugiej zatrzymali się zdumieni... Na świecie trwała piękna pogoda. Balkonowy salonik zalany był światłem. Bigda stał tyłem do widoku, twarzą ku pokojowi, jak martwy.

Patrzył przed siebie, szeroko rozwartymi oczami, a nie widział ich dwojga. Z tyłu z za pleców pośta wysuwały się rozliczne tory dalekiej stacji centralnej.

Deptuła pragnął koniecznie rozniecić w sobie teraz, choćby na chwilę stan impetu powietrza, przeciągu spraw, myśli, postanowień, podstępów, ów stan dawnej chwytkości. Chociaż już nie wierzył w swe niezawodne siły, nadał się wewnątrz nie całą pasją do życia, żarcia, dziwek. Nadęty popatrzył Bigdzie w oczy.

Złe trafili dziś z Kostryniową!

W oczach Bigdy, bezmyślnie zapatrzonych, jak w źrenicach zwierzęcia, nic się nie odbijało, prócz światła. Deptuła znał te stany ducha mateuszowego. Widocznie Bigda destyluje na jutro miarę czasu. Czekaa... Czekaa, drań, daje przez siebie przepływać różnym chwilom, myślom, postanowieniom, draństwom...

Deptuła rzekł rozgłosnie: — Pani Kostryniowa.

Wówczas Bigda: — No, to co? — Nie drgnął, stał po dawnemu, zapatrzony w deseń perkalowej makaty, ozdabiającej ściany bocianiego gniazda.

Tu już nie wytrzymała sama pani Kostryniowa.—
Panie ministrze, — zawołała. Plotła, jak w takich
chwilach plotą kobiety. Zamiast mówić, o co
jej chodzi, ze łzami w oczach rozповідаła ca-
łą duchową stronę sprawy. Co, dlaczego, z jakiego
powodu. Wreszcie swe osobiste, własne pobudki
ideowe.

Takie rzeczy przed Bigdą, pobudki ideowe!

Potem o córce. Jakże miała wyznać przed
takim Bigdą, że Zuza wdała się w nieodpo-
wiednie towarzystwo! Nie wiedząc, co powiedzieć,
powtarzała pani Stanisława raz za razem:

Panie ministrze, szacny panie ministrze — panie
ministrze.

Deputa zauważył, że Bigda tyka tytuł „panie
ministrze” dość gładko. Ale to tylko pozór! Nie ta-
kie kluchy tykać będzie i nawet nie poczuje. By
wzmocnić korzystne wrażenie, oraz wogóle bo'e-
ściwość postaci, podał Deputa Stanisławie krzesło.

Ruchu tego i wogóle Deputy Bigda dalej
nie widział. Był to zły znak. Kostrynio-
wa płała się w swych prośbach, całkiem nieokre-
ślonych zresztą, pomiędzy sprawą córki a sprawą
misji, posłannictwa, ratowania poziomu i pierwia-
stka pracy.

Bardzo piękna była w tej chwili. Jej twarz
niebiesko-biała, w cieniach grubej żałoby, oto-
czona lśnieniem złotopopielatych włosów, jej rę-
ce delikatne, długie, białe! Piersi czernią opięte,
drżące; żalotne chybotanie smukłych bioder, roz-
budowanych strzeliście wśród fałdów sukni i głos

dystyngowany, zebrzący z taką dumą. Cóż wiele mówić?! Słusznie ją ludzie nazywali medaljonem.

Jeżeli Bigda zarumienił się kiedyś na jej widok w sejmie, jeżeli pragnął wogóle, a powinien był pragnąć, wyższego płodozmianu w swem życiu osobistem, no, tutaj miałby tych truflí po uszy!

Tak rozumiał całą sytuację z Kostryniową poseł Deptuła. Wypaproszyć, wyflaczyć indyczkę, ręce sobie przytem po łokcie ubabrać, — zabawa dostateczna chyba nawet dla Bigdy! A ten ćwok, nic!

Ona go od strony społecznej zajeżdża, instytucyj, organizacyj, kooperatyw, nazwisk wielkich, a Bigda na to: — Nie rozumiem, co pani do mnie mówi.

Kostryniowa płacze się dalej między pracą, misją a córką.

— Ja też mam córkę, — przerywa krótko Bigda. — Córkí trzeba pilnować.

Kostryniowa płacze się znowu idjotycznie, a nie może powiedzieć poprostu o tem czemś, najstraszniejszym, co jej rozsądza wszystkie myśli, co ją zawstydzą, poniżają. Nie może powiedzieć, że inni gorsi ludzie nie męczyli jej tak długo, nie kazali tak długo mówić!! Byli źli, straszni, ale działali szybko, nie męczyli.

— Niech pani mówi całkiem jasno i wyraźnie, — zawołał Deptuła, — proszę nic nie ukrywać!

Zaczęła od samego początku, to jest od śmierci męża. Mówiąc o śmierci męża, powstała.

Bigda nie poprosił jej siedzieć. Trwała naprze-

ciwko niego drżąca, bezradna. Podobała mu się ogromnie. Jak ta hrabina, ta jakaś dawna zabląkana Lachowska, co to wtedy, gdy dziewczki przy sianokosach nogi mu pokłuty, opatrzyła mu raz te nogi, nim go na operację wywieźli do szpitala. Tak samo podobała mu się Kostryniowa. Pamiętał ją i ze schodów sejmowych i później z gabinetu lidera Mieniewskiego. Ale Bigda miał w sobie własną sprawiedliwość. Nie ludzką, ale własną. Gdy stała tutaj przed nim pani Kostryniowa, trzymał ją tu przed sobą specjalnie dlatego, żeby sprawiedliwie rozsądzić — własną sprawiedliwością.

Taka cugowa klacz, — myślał o Kostryniowej, — a taka chłopska, pociągowa bieda, — myślał o swojej żonie. I tak się huśtał myślami od jednej aż do drugiej, tak się huśtał przez przestrzeń życia swego. Tak się huśtał w tej niesprawiedliwości. Taka dorodna klacz i takie pociągowe biedactwo. O tem myślał. Nie słuchał, co gada Kostryniowa. Rozumiał, że to Deptuła przyprowadził mu tutaj to białe, piękne ciało. Jest w tem napewno podstęp. Mniejsza o podstęp. Taka klacz i takie chłopskie biedactwo. Bigda stał wciąż nieporuszony, choć myślami się huśtał od jednej aż do drugiej, pomiędzy dwiema takimi kobietami. Doskonaliła się w huśtaniu miara czasu!

Oni, szlachta, ziemianie, zawsze tak z siebie wyłaniają na porę jakąś niby ofiarę. Złożyć ją, wykpić się taką niby ofiarą... Podjedzone, podskubane już mocno, lecz owszem, jeszcze słodkie. Takie to ich ofiary. Teraz tutaj składają przed Bigdą. Może nawet nie wiedzą, że to robią. Ale to nic, składają,

z nich wszystkich wyłoni się zawsze w stosownej chwili taka niby ofiara! Z czego wnosił pan poseł Bigda, dalej, że już przychodzi widać upatrzony czas takich owoców! Takich soczystych gruszek będzie spadało teraz do fartucha!

Gdy pani Kostryniowa zaczęła opowiadać zbyt dokładnie o panu Mieniewskim, a zwłaszcza o synu lidera w związku z córką swoją Zuzanną, Bigda przerwał. Naturalnie, że przerwał, gdyż do tego nikt się już mieszać nie powinien, jako, że to są sprawy osobiste Bigdy, jeśli brać pożądane małżeństwo Zośki ze Stanisławem na serjo.

— Będę u pani jutro, — powiedział poseł Bigda płaskim, blaszanym swoim słowem. — Jutro, przed wieczorem. Przyjdę do pani, do mieszkania.

Skinął głową, nie podał ręki, Kostryniowa odeszła bardzo godnie, drzwi nawet za sobą nie zamknąwszy. Przeciąg na chwilę załopotał perkalowymi makatami mieszkania Deptuły. Jakby się ściany obu tych pokoików uniosły i wydęły lekkim, cichem westchnieniem.

Bigda trwał dalej przed drzwiami, wiodącymi na balkon. Z czekania Bigdowego zrozumiał już Deptuła, że wieczór razem przepędzą. Że Bigda ma dziś czasu bez końca; że wieczór dzisiejszy nie będzie należał do najmilszych. Zrozumiał też Deptuła, że się audjencja oberwała dopiero wtedy, gdy Kostryniowa poruszyła sprawę syna lidera Mieniewskiego, Tadeusza.

Co tu robić, co robić, jak wyjść z sytuacji kłamiwej, skoro się nie udało to czcigodne

kuplerstwo; co tu robić i kim tu być, gdy Deptuła nie może ręczyć, polegać na Deptule, więc co tu robić gdy się Bigda opiera, Bigda zawsze, — jak kamień, Bigda nigdy łba swego nie podłoży pod nogi Lolki Romek, więc co tu robić, by się to nie wydało?... Deptuła sflaczał nagle i stroskał się ogromnie i tak stroskany podszedł ku balkonowi i tu z ziemiańskim ruchem tak niewczesnych błogosławieństw powiedział, unikając wzroku Bigdy:

— Stoisz wciąż na przeciagu i mozesz się zażyć.

Bigda, jak zawsze — nic. Pochodził, siadł i znowu chodzi krokiem swego namysłu, jakgdyby nogi z bagna gęstego wyciągał. Na to ma poseł Deptuła jedną radę: nie zważać wcale na chodzenie i robić coś innego. Co bądź. Majstrować coś, urządzać, nie mówić nic, broń Boże!

Poseł Deptuła wziął z kąta parę oleodruków w ramkach, które tu kiedyś pozostawił Kapuścik i wyszukawszy młotek, gwoźdźki, zaczął przybijać skrzętnie. Równo, równo przybijać. Potem, dla zmiany, dać sobie lekko młotkiem po palcach. Nie trafić, uderzyć się, zasyczeć z bólu!

Bigda chodzi, a Deptuła przybija. Ciężkie, leniwe kroki Bigdy, przesiewane drobnym odgłosem młotka. Młoteczek bije w ścianę uporczywie, przykładnie. Rzecz pomyślana dobrze, oraz w stosownym celu: tych kilka obrazeczków historycznych ma powiększyć urok bocianiego gniazda, odstąpionego na kilka dni rodzinie Bigdy.

Możeby wszystko udało się jak najpoczciwiej, możeby zeszło na takich pracach upiększania, gdy-

by nie sam Deptuła. Sam wszystko wkońcu zepsuł. Nie mógł wytrzymać milczenia Bigdy. Milczenie to ma do siebie, że każdy musi w niem mimowoli brać udział. Jeżeli Bigda milczy w danem miejscu, oraz wśród danych ludzi, zaraz staje się wiadomem, że on t a k o nich milczy. Że się tak cicho, w takim milczeniu d z i e j ą wśród jego myśli. I jeśli tak milcząco będą tam dłużej trwali w owem milczeniu jego, — postanowi o nich nareszcie sam, bez ich udziału...

Tego Deptuła nie mógł długo wytrzymać. Wbijając długie gwoźdźniki w ścianę, rzekł nagle: — Cegła! Gwoździć dalej nie idzie. Natrafiłem na cegłę.

Bigda nic, po dawnemu wydobywa się swym długim krokiem z bagna. Zawsze tak jest, gdy ma się do czynienia z Bigdą: nie chcesz z nim mówić, ale go błagasz wkońcu, by się raczył odezwać.

Deptuła wkrótce zacznie błagać. Pociągi przebiegają wśród dalekiego widoku stacyjnego, już się zmierzchno, już noc głęboka rozlała się nad miastem, a ten wciąż nogi wywleka z swego bagna i milczy. Póki Deptuła sam nie zacznie zeznawać ze skruczą:

— Przeprowadziłem tę kobietę, ze względu na twe plany rodzinne. Skoro Zośka przyjeżdża...

Bigda zamachał ręką, Deptuła się przestraszył, potem jeden i drugi uśmiechnęli się. Rzecz bardzo niebezpieczna: gdy tacy przyjaciele naprzeciw siebie trwają, widać odrazu w której to części przyjaźń ich jest zmylona. W owej części myśli się spotykają, bez oddźwięku. I szybko się mijają, nieroz-

sądzone wcale. A z myśli tych wytwarza się już da-
lej inny przyjaciel. Już nie ten, — inny, inny!

Dla Deptuły jest to poprostu strasznel! Jakże
się tam w nierozsądzonych myślach Bigdy przetwa-
rzać będzie dalej on, Deptuła?! Dla Bigdy taka sprawa
nic nie znaczy. Dla Bigdy człowiek nic nie
znaczy.

A Deptuła nie może dziś odnaleźć w sobie tego,
czem dotąd zawsze brał, nie może w sobie odna-
leźć swojej krzepy, żywiołu, mocy, jurności. Na-
dyma się i szuka w sobie, odmyka wszystkie skryt-
ki, — w żadnej nic nie znajduje. To okropnel!

Powiada z głupim, pustym uśmiechem: —
A chcesz zobaczyć pokoik twojej Zośki?

Bigda przytaknął. Przeszli korytarzykiem bocznym
i już są w tym pokoju, w dawnym pokoju Lolki.

— Zosia tu będzie miała bardzo dobrze i cał-
kiem po panięnsku. Patrz, jak to urządziłem skrom-
nie, ale przyjemnie chyba? — Deptuła kręcił
przełącznik, zgóry bryznęło sztywne światło na po-
kój Lolki Romek. Na widok białych skromnych ko-
roneczek pokoju Lolki Romek, przeznaczonego te-
raz dla córki Bigdy, zawrzała nagła wściekłość
w piersiach Deptuły.

— No, a te twoje dziwki? Dziwki jakies tu po-
no trzymasz? — To zawsze tak: im pytanie dziw-
niejsze, albo przykrzejsza sprawa, tem słowa Bigdy
będą płytsze i cieńsze.

Deptuła kłamie żarliwie, że dziwki były daw-
niej, teraz od czasu, kiedy Lachów robimy, dawno
już to ustało. Siły moje cale — powiada, — idą na
politykę. Bigda brwi uniośl wysoko. To znaczy, że

udaje iż nie wierzy. Ale, gdy Bigda udaje, że nie wierzy, to wierzy.

Więc niby wierzą sobie znowu?...

— A poco mi przyprowadziłeś dzisiaj tę kobietę? Tę ładną damę? Kto też to utrzymuje takie kosztowne ciała? — Bigda usiadł na łóżku po Lolce Romek, inaczej niż zwykł siadać wszędzie. Usiadł nie na ukos, ze szczególnem, jakby ojcowskiem poważaniem.

Deputa doznał w tejże samej chwili nagłego przerażenia. Poczucie bezpieczeństwa, które gromadził w sobie przybijając obrazki na ścianach, rozpierchło się doszczętnie.

Bigda, ogromny chłop, spoczął na brzegu łóżka tak leciutko, jak piórko.

— Sprowadziłem ci tę damulkę — zaczął Deputa, chcąc znów coś zelgać.

Bigda wzniesioną leniwie ręką zatrzymał dalsze słowa. Miał czas, miał jeszcze czas na odpowiedź Deputy. Teraz, gdy się do władzy dojdzie, będzie na wszystko czas.

— Możesz nie odpowiadać, — powiedział do Deputy.

Władza żadnem innem słowem nie odzywa się w myślach Bigdy a tylko swoim własnem: władza. To samo ze stron wszystkich: władza. Czyli, że możność każda i wszelaka sposobność, czyli, że czas, wszelakich przeszkód pozbawiony. Bigda rozważa teraz na łóżku swojej córki, jedy-naczki, dlaczego to zamierza wydać ją teraz zamaż? Sam tego przecież chce. Gdy wyda córkę zamaż, utraci ją. Dlaczegoż to, chwytając władzę chce się

pozbawić tego, coby mu było i co mu jest najdroższe? A chce tego, swą własną miarą czasu, którą wypośrodkował szczelnie, teraz zaś jeszcze szczękami to potwierdza, aż mu się skronie grzeją od zacisku szerokich mocnych zębów.

Pograżony w tych myślach, słyszy słowa Deputuły o Kostryniowej. Nie wytrzymał biedny Deputuła i jakże gęsto gada! Bigda rozumie, że Kostryniowa, to kura, rasowa, jak się o takich kurach w Szkole Gospodarstwa uczyła jego Zośka. Takie tam różne czubatki, czy Bantamki, Wajandoty, czy Orpingtony, też Zielononózki Polskie. Co ma to do roboty tutaj przy Mieniewskich? Nikt nie ma prawa mieszać się do Mieniewskich. Mieniewski jest dla Bigdy przeznaczony, właśnie z powodu syna, Stanisława.

Deputuła łże coś tutaj, bardzo kołuje i aż do córki dyrektorskiej sięga, jakiejś tam Kostryniównej. Tu znowu napomknienia, niby że o zamachu? Jaki zamach, na Bigdę? Wiedział Bigda, ile ma w sobie koniecznej dla wszystkich innych ludzi żywotności. Na Bigdę? No, to jakgdyby samych siebie uśmiercać nagle chcieli?!

— Chcesz zostać, widzę, — powiada nagle Bigda, — ministrem Spraw Wewnętrznych?

Czem kto chce być, a czem zostanie? Można o tem rozprawiać do udręczenia, zamęczenia. Tyle tego rozmaitego losu, tyle różnych przeznaczeń ludzkich i tyle dowolności w każdym postanowieniu! Bigda w takich znowach i konferencjach, a już specjalnie przeciw czyjemuś łgarstwu, używał najlepszego sposobu, wobec którego wszystko co opowiadali różni starzy ludzie o pańszczyźnie, albo co

Deptuła niejednokrotnie mówił o inkwizycji było niewielką wcale męką.

Sposób Bigdy był prosty: Deptuła łże? Deptuła się wymyka i kręci i kołuje i niebardzo sam wie, do czego zmierza? No, to dać się nazrec Deptule samego Deptuły, natkać mu jego samego w gardło, ile się tylko zmieści i więcej niż się zmieści, niech się tak opcha, by wkońcu musiał rzygać samym sobą! Wtedy wreszcie zmiarkuje, na którym świecie stoi i czego chce.

Taki to był ten wieczór cały i później noc, do świtu: biedny Władek Deptuła musiał smakować i żreć samego siebie aż do skutku.

Rozprawiali dziś bez kolacji, w takich chwilach Bigda do żadnych poczęstunków nie dopuszcza; bez kolacji, bez picia, o suchym pysku na samych tylko papierosach. Działo się wszystko, nibyto w zamyśleniu, zarazem jednak z tajemniczą ważnością. A równocześnie tak poprostu: jakgdyby Bigda sam nic nie mógł wymyśleć i radził się u swego przyjaciela.

Straszna, okropna męka! Bigda to chodził, przemierzał swoje bagno na długość i szerokość, to znów siadał ukosem na krzeselku, zadawał zmęczonemu Deptule w coraz to większych porcjach — jego samego właśnie, to jest właśnie Deptułę. A sam przykucnął w ciemnym kącie i mruczał. Tak mruczał, jakby się w nim słyszalnie już obracał ów pośpieszny młyn władzy, jakby się już obracał wszystkimi kołami twardymi i ostremi.

Gdy zaś Deptuła mówił nie tak, jak się widziało Bigdzie, ustawały odrazu wszystkie kółka. Koło-

wrot tracił siłę, zgrzytał, psuł się i stawał, niby czekając, aż mu pracę ulepszą, czyli właściwą prawdą i pojęciem namaszczą.

Pogwarka rozpoczęła się z tego, co sobie kiedyś powiedzieli w lawabo baru KLASA (Bigda wszystkie drobiazgi takie miał na zawsze w pamięci), po uczcie, odprawionej na cześć owych milionów hektarów, co to się wtedy Gruszka zrzygał na bigdowe kolana.

— Czem chcesz być, teraz powiesz, — zaskrzeczał Bigda swem płaskim cienkiem słowem. — Naprawdę ci się uśmiecha ten Watykan?

Wobec takiego powiedzenia Deptuła wie, że trzeba poruszyć sprawę duchowieństwa. Rzecz niebezpieczna, bo nawet sam Deptuła nie wie, co o tem trzyma Bigda? Można powiedzieć źle i wpaść. Więc Deptuła tańczy ostrożnie pomiędzy monsignorem, Bokaniewiczem, małym tutejszym klerem, klerem wielkim, sprawą reformy rolnej i ustawy małżeńskiej.

Tamten, szef, leader, Bigda siedzi w kącie i mruczy.

Przestał mruzczyć. Więc źle? Więc to nie to, co myśli Bigda! Z poczucia bezpieczeństwa zostaje tylko pot na całym ciele. Całkiem inna zabawa, nizeli u Strzęgorza. Tam się gadało wspólnie i wiedziało się dobrze, o co któremu chodzi. A tu stąpić wypada z uśmiechem nad przepaścią.

Bigda zna swoich ludzi. Żąda zawsze roboty rzeczywistej. — Jutro jedziemy, — mówi — dzisiaj se ułożymy wszelakie personalja. Co, skarb? Co będzie z wojskiem? Co ze skarbem? Co z wojskiem? Kogo dajesz na handel? No. a Wewnętrzne Sprawy? A Główny Urząd Ziemski?

Tak się to przewijało na początku bezładnie, ale później Deptuła dobrze wyczuł, że jest w tem jakiś osobliwszy porządek.

— Dobierz mi, Władek, ludzi do mego gabinetu?

Zabawa niebezpieczna. Bo trzeba wybierać, — jeśli dla Bigdy — aby się to trzymało chytrze, jak kółeczka w zegarku. Ten się obraca, a tamten porusza, a tamten innych znowu wprawia w wiadomy ruch. Tych łamigłówek ludzkich żądał od przyjaciela Bigda na wszystkie możliwości, z tem, że tu każdy będzie przycięty, przyskrzyniony. A każdy musi krwawić w przyjemności drugiego!...

— Dobierz mi członków gabinetu, gdy cię zrobimy ministrem Spraw Wewnętrznych.

Więc Deptuła dobiera ostrożnie, co którego wybierze, co którego ustali, to znów jakgdyby innych członków gabinetu przeprowadzał po lodzie. Bigda zaś mruczy w kącie i patrzy się przez dym pokoju szklanemi spojrzeniami okropnej cierpliwości. Siedzą dalej i palą i dalej kombinują. Co ze Skarbem i z Handlem, z Rolnictwem? Co ze Sprawiedliwością? Jak Poczta? Jak Koleje? Komu dajesz Rolnictwo?

Deptuła znowu przeprowadza swych członków gabinetu po gładkim lodzie. Poodpadali wszyscy. Trzeba wyszukać nowych. Ale ci ustać na własnych nogach nie mogą ani chwili. Bigda z Deptułą siedzą dalej, palą i kombinują.

Deptuła czuje teraz mydło w ustach, grubemi paluchami przebiera po koreczku z pantofla Lolki Ro-

mek, ukrytego w kieszeni. Przebiera paluchami, a w ustach czuje mydło, a bezpieczeństwo, tak błogie bezpieczeństwo spływa mu aż po plecach zimnym, śmiertelnym potem.

Bigda patrzy, mruży, radość w sobie obraca wytrawną i cierpliwą. — Czy wiesz, co myślę? — powiada znowu Bigda. — Myślę, że ty zostaniesz w tym moim gabinecie przyszłym — ministrem Wyznań i Oświaty. Doktoraty masz dwa, praktykę masz... Bierz młodzież i pchaj w nią wykształcenie! Mickiewiczów i filozofów?!

Stało się! Teraz przy Oświacie! Bigda wie, że dla Deptuły jest to najokropniejsze, obrzydłe i straszliwe. Od tego uciekł przecież, wolał być kraść, na wirówkach oszwabiać, fałszywe weksle chłopom podrzucać!

Dzik jest brunatno-ciemny. A Deptuła to blondyn. Lecz zjeżył się jak dzik. Włosy mu na łbie stają i syczy, prycha, dyszy, lezie teraz na Bigdę z podniesioną pięścią. Pięść jest biała, jak buła. I miękka jest, jak buła. Ale ogromna jest ta biała pięść Deptuły.

— A ty — ryknął nagle Deptuła, — czem ty chcesz być w tem wszystkim? — Ryknął to z taką mocą, że aż echo poleciało po uciszonych torach dalekiej stacji. Straszny był teraz. Trząst się całym ciałem, w gardle mu gulgotało niewysłowioną wolą.

— Ja w tem wszystkim, — rzekł płaskim słowem Bigda — jestem sobą.

— A ja też chcę być sobą!!—ryczy znowu Deptuła. Ryczy, jak opętany.

Bigda nic, czeka dalej. Stoi równo, jak słup. —
A nacóż to potrzebne i komu, — powiada Bigda —
abyś ty został sobą?

— Ja chcę być sobą! — wrzeszczy strasznie
Deptuła.

— No przecież, — rzecze Bigda — jesteś już
dosyć świnia.

— Ja chcę być wreszcie sobą!!!

— Nigdy nie będziesz sobą. — Bigda się śmieje
dobrotliwie. — Byłeś sobą, jak długo byłeś belfrem.
W jarzmie. Teraz, od kiedy jesteś ze mną, nigdy już,
mam nadzieję, sobą samym nie będziesz.

Deptuła kwiknął, jak skaleczona świnia. Chciał
się rzucić na Bigdę. Wtedy Mateusz opasał nagle
przyjaciela długimi ramionami i zdusił. Uśmiech-
nawszy się ciekim, dziecinny uśmiechem, zaczął
dusić opiekłą postać Deptuły miarowo, coraz silniej,
nakoniec z całej mocy, jak duszą wielkie węże. Nikt
jeszcze nigdy nie słyszał, że Bigda umie syczeć tak
donośnie. Zasyczał całym sobą, całą potęgą płuc, nie-
wyczerpaną mocą ogromnego oddechu.

— No, — teraz mów, Deptuła!

Deptuła rzezi i ślini się, wykręca. Szamoce się,
gały mu na wierzch wychodzą, już przekrwione! Big-
da uniósł ku górze to całe tłuste cielsko i jeszcze du-
si, jeszcze rozgniata w zacisku swoich ramion i jesz-
cze raz powtarza:

— No, teraz mów, Deptuła, co tu łziesz?!

Tamten wciąż jeszcze rzezi, ślinę toczy, belkoce.

Bigda zaciska swoje długie ramiona i po-
wtarza raz poraz: — No, co tu łziesz, co łziesz?!

Deptuła charcze wreszcie: — To wszystko przez kobietę...

Wówczas Bigda wali Deptułę po łbie, po karku, i jeszcze raz i jeszcze i nogą niżej krzyża. — Ja to z ciebie wybiję, bydlaku!! — Zobaczysz, jak wybiję!!

Bigda wyszedł na balkon. Otarł spoconą twarz. Przez połyskliwe tory stacji przesuwiał się jakiś błyszczący kurjer. Bigda liczył wagony: — dwanaście. Powrócił do pokoju. Pozbierał prędko z podłogi przyjaciela, złożył na łóżku i nakrył kołdrą. Otarłszy ręce perkalową makatą ścienną, dodał na odchodnym: — Teraz znów po dawnemu. Dobrej nocy.

Nie widzieli się przez cały dzień następny aż do wieczora. Bigda zostawiał ludziom zawsze dosyć rzetelnej sposobności, ażeby w nich popracowała *ich* miara czasu. Pracuje w Deptule, utwierdzi go, ukrzepi. Mateusz nie martwił się o swego kochanego Władysława. Miał co innego dziś na głowie. Załatwiał interesy. Drobne może, jak na ważność ostatnich godzin przed wyjazdem do Łachowa, ale załatwić trzeba. Takie tam sprawy różne inne i swoje. Naprzykład z HARTEM musiał załatwić, także w sprawie nawozów sztucznych.

Porządkował swe mienie osobiste. Nikomu nic do tego. Dochodziły do tych porządków jeszcze różne inne, naftowe drobiazgi. A potem znowu czekał. To jest sposobił się sam w sobie. Szedł tu, szedł tam, pogapić się, nibyto mimowoli, to znów coś kupić. W takich chwilach lubił widzieć, jak ludzie w sklepach przedmioty układają, jak kupczą, kręcą się, albo na ławkach miejskich gazetę jak se czyta taki powszedni człowiek.

Było to bardzo ważne dla Bigdy! W takich chwilach nie dopuszczał pan poseł do siebie żadnej myśli. Tylko patrzył, tylko obracał się, przechodził i znów stawał i znów szedł. Jeżeli będzie coś ważniejszego do myślenia, to myśl zjawi się sama. Byłe jej nie przeszkadzać.

Poszedł kupić chusteczek do nosa przewidywał bowiem, że się w Lachowie wypadnie bardzo spocić. Przy targach politycznych inni rzucali się, ciskali, wrzeszczeli, on był taki sam zawsze, tylko zawsze pod koniec lało się z niego bardzo. Lubił to nawet. Wtedy czuł, że nie siedzi pośród ludzi na darmo. Trwać kamieniem, a równocześnie taką wodą spływać.

Chustki kupił stosowne, duże, tanie w jaskrawą kratę. To już mógł zrobić dla swoich przeciwników: liczą, że taki chłop musi mieć zawsze chustkę kraciastą, no i zgoda, i ma kraciastą chustkę. I znowu chodził, pozwalając, aby go dobra pogoda dnia wiosennego przewietrzała dowoli. Szedł równo. Ale na zakrętach i na rogu ulicy unosił w górę ramiona. Aby się także pachy przewietrzały. Potem zaglądnął do umówionej restauracji, gdzie miał się spotkać niby ze swoim przyszłym zięciem, swym sekretarzem, Stanisławem Mieniewskim.

Było jeszcze za wcześnie. Bigda chciał bardzo jeść, wolał jednak poczekać. Bał się, że gdy się przedtem naję, nie będzie chciał rozmawiać, nawet z tym przyszłym zięciem.

Chłopak nic jeszcze nie wie. I nie domyśla się niczego. Ale że nie wie, nic z tego nie wynika. A czy to ludzie wiedzą zawsze, co ich czeka? Nie wiedzą, rzecz przychodzi i jest. Niema się nad czym zasta-

nawiać. Ale się zastanawiał Bigda. Ba, tylko gdzie się tu zastanowić? Nie lubił myśleć o rodzinnych sprawach, gdy go przyroda przewietrzała. Wtedy mu przychodziły zawsze najlepsze plany polityczne do głowy. Oszczędzał więc przyrodę dla rzeczy najważniejszych: dla planów. A o rodzinnych sprawach lubił najchętniej myśleć gdzie w ustroniu, ukryty w jakiejś norze, ciemnej knajpie. Tam się myślało o rodzinie.

Znalazłszy taką knajpkę w pobliżu dworca centralnego, zasiadł Mateusz Bigda cicho za przepierzeniem. Kazał dać śledzia, chleba razowego i wódki. I rozmyślał: no tak, Bigdowie uszlachcą się narazie!

Cieszyć się, czy żałować? Wnuk Bigdy będzie już na swym palcu nosił sygnet Mieniewskich. A czy to źle? Porządna kolej rzeczy. Uśmiechnął się: wiedział, jak sobie szlachta wylicza pokolenia, po matce i po ojcu. Wnuk Mateusza Bigdy, szlachcic, ile razy wyliczać sobie będzie, wyróżnie głową o dziadka, wielkiego Mateusza Bigdę. Chama. To dobre jest.

Nic więc tutaj Mateusz nie wymyślił. Poszedł do paradniejszej knajpy, gdzie się zmówili z Mieniewskim. Zaraz tu przyjdzie ten gładki, miejski picuś. Bigda rozważa swoje losy małżeńskie, swej żony, biednej Ludwiki, a losy tego chłopca i swej córki. Chciał rozważyć gruntownie, ale się to nie dało. Jak dawniej, tak i teraz, ile razy zaczynał tę sprawę, mienie się w to wtrzygniło. Jak mu Ludwika wniosła owe dwa morgi, wzięła go, jako drwala. Potem, jak był pisarzem gminnym. A potem, jak szedł w górę.

Żona mu kroku nigdy dotrzymać nie mogła. Życiem to przyplaciła. Cierpieniem, zdrowiem, duszą. Zamyślił się i postanowił w sobie sprawiedliwie: to dobre jest. Szkolił ją, niszczył, na wszystkie strony gwał, po swojemu hodował, ale była kobieta — jałowa. Co zaszała, to albo poroniła, albo zabiła dziecko zaraz po urodzeniu. Ocalała z tego wszystkiego jedyna Zośka.

Chłopców po Bigdzie, — ani jednego nie mogła ta kobieta wytrzymać. I z tej właśnie przyczyny nabrał Mateusz dla siebie specjalnego szacunku. Z tego wynika, że Mateusz Bigda ma się na świecie sam zaznaczyć za całą swoją krew. Los Ludwiki Bigdowej — Mateusz oceniał sprawiedliwie — był bardzo ciężki. Los Bigdowej był tak ogromnie twardy, że Bigda nigdy o tem nie myślał, a tylko myśлом takim, o tym losie, przeciwstawiał pytanie. Pytanie owo nic nie znaczyło i o nic nie pytało. Wystosowane w próżnię do nikogo.

Zawierało się w słowach: jak ma być inaczej?

Dosyć tych wszystkich myśli, bo nadchodzi ów picuś miejski, pan Stanisław Mieniewski. Bigda rozparł się jeszcze obszerniej na aksamitnej kanapce pod ścianą i jeszcze głębiej wczytał się w swą gazetę. Patrzy jednak z pod oka i doskonale widzi Stanisława, przyszłego swego zięcia. Widzi go jakgdyby już nie wzrokiem, samym brzeżkiem powieki. Dla Bigdy to wystarczy. Młodzieniec idzie, rozgląda się pomiędzy stolikami, odziany jest w ubranie szare.

Same przepaście, — powiada sobie Bigda w myśli. Bigda ma takie powiedzenia, które nie znaczą nic dla świata. Ale dla Bigdy dobre, bo co innego głośzą,

a co innego znaczą. Cóż oznaczają w tej chwili słowa, „same przepaście?” Słowa te określają krótko, że ten młodzieniec w świetle restauracyjnych okien kroczący w szarem ubraniu, blondynek czysty, umyty, zaczesany, wysoki i tak świeży, — spodem ubrania i gładkimi fałdami portek dziwne przepaści nieci wśród myśli Bigdy, a w każdą z tych przepaści można niebacznie wpaść. Wpaść, sięść i nie móc wstać.

Wpaść, sięść i nie móc więcej wstać...

Przywitali się, Bigda witał się zawsze ponuro. Dobrze to ludziom robi. Żadne tam — dzień dobry, jak się pan ma, wołanie i wykrzyki. Niepotrzebne.

Bigda witał się zawsze, jakby nowoprzybyły odrywał go od myśli smutnych, ponurych, lecz o wiele pożyteczniejszych, niż to, co przynieść z sobą zdoła ów nowoprzybyły.

Stanisław w przeciwieństwie do tylu różnych poważniejszych ludzi, nie stropił się tem przywitaniem. Ba! nigdy się nie tropił. Mateusz obserwował to od dawna. Czy się ten chłopiec może czemkolwiek stropić?

Co też ma w głowie takie smukłe stworzenie? Przywita się, usiądzie, spodenek sobie podciągnie, aby mu się materjał na kolanach nie wygniótł, brzeżkiem dłoni poprawi sobie na głowie złotego rozdziałka, pochyli się uprzejmie naprzód giętkim tułowiem, a równocześnie rozejrzy się uprzejmie po całej restauracji i zapyta spokojnie: — Czy pan prezes był łaskaw już zamówić?

Nie to, to tamto! Zawsze w każdej okazji wyczyni coś takiego ogólnego i uprzejmego, niby towarzyskiego, że Bigdzie w głowie strzyka z irytacji.

Ale nic, dobrze, niech sobie wkońcu będzie, to jest ich wychowanie. Można i tak. Zamawiają jedzenie.

Dla Bigdy w jego zwykłym codziennym sposobie, zamawiać w restauracji z karty restauracyjnej — to ryc paznogciem po tytułach każdej potrawy, a potem przez kreseczki jadłospisu jechać do odpowiedniej ceny wybranego dania. Stanisław (pewno w przyszłości Stasio) muska tylko swym migdałowym paznogciem tytuły potraw, do ceny nie zajężdza. I nie zagląda nawet.

Zamówili, spojrzeli na siebie. Bigda patrzy rzeczowo, — gdyż wedle Bigdy, z innym człowiekiem jeść razem, to rzecz pewnego zaufania. A Stasio — nie rozumie.

To są właśnie przepaście: inne już pokolenie. Na inne pokolenia jest jeden sposób wytrawny i najlepszy! Bigda używa tego sposobu zawsze: milczeć. Niech tylko oni mówią. Domówią się nakoniec do tego, co jest wspólne, musi być zawsze wspólne. A wtedy mocno za łeb!

Pan Stanisław Mieniewski, przyszły Stasiek—już mówi. Opowiada o swojej politechnice, o profesorach. Bigda ich zna. Kilku z nich to posłowie. A gdy się wdadzą w posłów, taka sama trzoda, jak każda inna. Nie, Bigda wcale nie słucha o profesorach. Ma czas. Myśli o tym człowieku młodym. Że mu odda to wszystko, co ma najlepszego. Córkę. Że temu człowiekowi szykuje całą przyszłość. Że na tego człowieka pracował widać wtedy, gdy się godził ożenić z Ludwiką, jako młody dorodny drwal. Więc, że to taka

była przyszłość jego długiej, mozolnej pracy całego życia.

Przyszłość jest niewiadoma zawsze. Spojrzał nagle na Stanisława: gdybyż to można siekierą łeb rozwalić takiej oto przyszłości! Bigda zwał szczęki. Zdjęła go wielka srogość. To ze względu na córkę. Tak mu żal było Zośki. Więc poco ją oddaje?! Oddawał ją, — bo niech Zośka nie zostanie wśród chłopów. Ma iść wyżej. Taki jest przecież rytuał wszystkiego człowieczego.

Wyżej, niżej? Czy tylko odejść ma? A Bigda sam zostanie. Tylko ze swoim nieszczęściem, żoną. Bigda straszny i święty. Ucieszył się tą myślą.

— Jedźże pan ze mną, — powiedział — papiery możemy przeglądać przy bifszykach. — Takiego samego bifszyka hamburskiego, jak sobie, postawił Bigda Stanisławowi. Teraz jedząc poważnie, przeglądał poseł Bigda rachunki i wykazy z Naszej Nafaty, gdzie prokurentem uczynił Stanisława. Nie o to tu chodziło, że rachunki były w porządku i procenty od wszystkich bruttów wykazane uczciwie, inkasowane w porę. Chodziło o to, że się Bigda godził, a mógł się zawsze na nic nie zgodzić, no i co? Tymczasem tu się godził i na rzecz samą i na człowieka.

— Pański brat ważył mnie w kooperatywie na maślanej wadze, a pan ze mną pracujesz. A w gruncie rzeczy obaj pracujecie ze mną. I z ojcem się dogadam. — Wzniósł oczy i spojrzał na twarz Stanisława. Układał sobie Mateusz i mieszał i razem zagniatał tę twarz z obliczem Zośki. Co się z takiego Mieniewskiego przymiesza, a co z niej pozostanie w pokoleniu następnem?

Czoło, czy cienkie ręce Stanisława, czy tylko oczy? Bigda rozważał, co może być korzystne w tej twarzy dla przyszłej mieszaniny. I oto nagle rozdarło się serce poselskie nad córką. Że już ta córka będzie w nowym następnym człowieku przemieszana tak bardzo!

Popili znowu piwo, oba kufle do dna. Wtedy Bigda zasadził się głęboko w zakurzony aksamit kanapki i wpatrzony w przestrzeń szklanym blaskiem oczu: — Teraz, kiedyśmy zjedli, powiedz mi pan, na kogo pracujemy? My, wasi ojce, starzy? Więc ktoś pan jest? Kto wy jesteście, to nowe pokolenie?

Stanisław poduszczykami lekkich czystych palców musnął subtelnie zgóry dłonie Bigdy. Ktoby się mógł odważyć na to? Nikt! A ten? Nic nie rozumie chyba?! I jeszcze się uśmiecha.

Bigda się nie uśmiecha. Zapadł w siebie głęboko. Czeka. Taka to przyszłość córki. Stanisław, owa przyszłość. Niechże ta przyszłość gada. Już gada.

Bigda nie patrzy, słucha. A tyle pobłażania, a tyle zlitowania, a tyle przebaczenia w tem gadaniu przyszłości. Ba! Gdyby Bigda umiał, toby się zarumienił.

Mieniewski młody gada, że wielkie rzeczy same się zawsze robią. Ojczyzna, społeczeństwo, nawet praca dziejowa, to się zawsze robiło samo, samo, wszędzie na świecie. Nie ten, to tamten, każdy się rwie do tego, a taka konkurencja jest wszędzie przy tak zwanych wielkich czynach, że niewiadomo właściwie, poco się ludzie pchają do tego tak uparcie, kiedy każdy zawsze chętnie zamieni?! Pchają się niepotrzebnie, a w nadmiernej powadze tych wszystkich spraw rze-

komych sami nie znaczą nic, nie znaczą wkońcu nic! Więc my? To nowe pokolenie, panie prezesie, my się pchać nie będziemy. Myśmy powinni żyć. Musi też chyba także ktoś sobie żyć na świecie.

Na to Bigda, na długiej szyi wyciągnąwszy daleko naprzód głowę z kołnierzyka: — Ja się pytam tak właśnie, bo nigdy czasu nie mam na to życie. Nie mam też czasu, by się przypatrzeć dzisiejszym ludziom młodym, prywatnie. A przez pana się dowiem, chociażby tutaj przy obiedzie. Dobrze i to, ma się rozumieć.

— Jest różnica ogromna, — uśmiecha się Stanisław—bo my chcemy mieć zawsze czas dla siebie. Ten wielki młyn Ojczyzny, czy społeczeństwa będzie się zawsze kręcił. Ale, gdy mnie nie stanie, kto się za mnie pokręci?

Bigda ucieszył się i mówi: — No, to tacy jesteście, jak tego jest potrzeba. To dobre jest, uważam. Dobrze. Ale, żebyś się pan swobodnie kręcił, hę, to znów inni i życia swego i kości dokładają. Zważ pan, ile w każdej czynności musi być polityki. Zważ pan. Na każdą drobną rzecz, na pudełko zapalek, na parę kostek cukru wychodzi cały układ takich, jak ja, takich, jak pański ojciec. Ile tam zawsze będzie połamanych kości! To jest przecież organizacja społeczeństwa te połamane kości.

— Niech sobie inni łamią, bo ja mogę poczekać. Niewygodnie, bym się kręcił, jak teraz? Przecież mogę się zawsze kręcić całkiem inaczej?! — Stanisław wstrząsnął głową i dobrotliwie popatrzył na prezesa.

Oto przyszłość — ucieszył się Mateusz w duchu. Zośka ma zapewniony spokój. Przewiał przez

smutek, że do takiego portu ma zawinąć jego miłość ojcowska dla córki. Rzekł więc: — Ale u was w rodzinie wcale tak nie wygląda. Tak cicho, tak pogodnie, to u was nie wygląda.

Stanisław krytykował swoją rodzinę mocno. Ze się wyrwyją zaraz do wszystkiego zaraz na wszystko skaczą, odrazu całym sobą. Po co? Życie jest znacznie spokojniejsze od człowieka. Trzeba tu iść stopniowo do ubrania, mieszkania, dorabiać się. Więc po co niepokoić samą istotę życia? Trzeba iść cicho za niem.

— Pewno, jeśli powiemy sobie, — uczył Stanisław Bigdę, — honor, ojczyzna, społeczeństwo, albo, broń Boże, sprawiedliwość, to jesteśmy zgubieni. A tyle tego ludzie tak ciągle mówią! Niepotrzebnie, bo idee, jak ludzie, muszą też odpoczywać. Powinny się też przespać od czasu do czasu!

Stanisław mówił, Bigda, jak zawsze, gdy był zadowolony z tego, co mu mówiono, trząsał systematycznie z palców. Zaginał je i łamał w stawach. Raz, — wszystkie dziesięć, i drugi raz — znów wszystkie dziesięć. Poczem ziewnął: no więc takato będzie ta przyszłość. Zasznuje mu Zośkę i nie uszkodzi wcale. Gdy znowu spojrział na tego niby przyszłego swego zięcia, pomyślał jeszcze Bigda: byle nie dawać żyć takiemu za dużo. Będzie przez całe życie skamlał u mnie i tak, będzie miał zawsze spokój.

— Nadajesz się pan bardzo do mojej pracy. — Bigda powstał, zapłacił sam za obu, oświadczył, że rodzina jego przyjeżdża dziś wieczorem i — niechże pan jutro od rana pokaże miasto tym kobietom.

Zięć nie wypadnie drogo. Więcej o tem nie my-

ślał Mateusz Bigda. Poszedł do Kostryniowej, jak było powiedziane wczoraj to znaczy, że tam przyjdzie nad wieczorem.

Na szóste piętro wyjechał windą, dał po drodze windziarzowi dziesięć groszy. Otworła służąca w białym czepku, wskazała drogę, chciała sama prowadzić, ale ją zaraz wyminął i bacnąwszy zgiętym kciukiem powyżej klamki, wszedł. Owiało go, — Bigda przecie nie patrzył nigdy na nic poszczególnego, — owiało go od razu całym ogołem miejsca, meble, szmatki, dostatki dywany. Poseł siadł nieproszony, pani dyrektora Kostryniowa naprzeciw niego.

W miejskiem ubraniu widać kobietę dokładnie, jak przez szkło. Kto za to płaci aby to tak utrzymać? Piersi, ramiona biodra, kłęby, całą skórę i takie drogie włosy?! Miała chyba przeszło czterdzieści lat, a ciało, jak dziewczyny.

Bigda zbrzydził się bardzo wobec takiego pomylenia wieków. Ale nic nie pomyślał o tem. Poco snuć myśli w takiej sprawie? Przezroczytymi źrenicami wodził po smukłych kształtach tej kobiety i tak wspominał sobie tylko, jak toto ukazuje się zwyczajnemu dziecku chłopskiemu od wczesnego dzieciństwa, taka dama, matrona.

Jak toto wożą do kościoła, jak toto siedzi zawsze w ławce kolatorskiej, jak się toto rozpiera, jak potem znów odwożą, jak toto pięknie po ogrodzie stąpa, tańczy po nocach, znów chodzi po alejach półobnażone, jak toto je srebrami zawsze, jak toto wiożą do ślubu i jak potem pięciu doktorów zwiożą, by toto rodzić mogło, a znów przez cały czas,

od dzieciństwa do ostatniej starości wszyscy to zawsze po łapach liżą.

To dobre jest: matrona!

Co gadała? Za dużo o Mieniewskich. Ale słuchał, niech gada. Chodziło mu o córkę przecież. Aby się co nie pomieszało, nie pokręciło znowu. Mieniewskiego załatwił sam, — pocóż tutaj te baby?!

Dyrektorowa Kostryniowa apelowała do posła Bigdy, jako do ministra. Znowu to samo. Aby wstrzymał komunikat do prasy. O zajściu w hotelu EKSCELSIORZE. Od tego dziś zaczęła.

Siedział przed nią spokojnie i cierpliwie w swych długich, chłopskich butach.

Te właśnie biedne chłopskie długie buty naprowadziły panią Stanisławę na inną myśl. Że tu nie trzeba żadnych filozofij, jak z tym „wielkim” Mieniewskim, że tu dojść można do swego po staremu w myśl tradycji i wiary. Oświadczyła więc Bigdzie przedewszystkiem, że choć się nazywa Kostryniowa, — któreto nazwisko tak jest głośne w sferach węglowych, — sama pochodzi ze wsi, z odwiecznej polskiej wsi.

— My ludzie wsiowi inaczej to czujemy, niż wszyscy tutaj w mieście.

Apelowała do „wiejskiego” sumienia posła Bigdy. Pochlebić i zaufać, mówić od strony najlepiej zrozumiałej. Wymóc na sobie wreszcie tę ofiarę i — mówić o pieniądzach. Aby to było przystępne, zrozumiałe, mówić prosto, serdecznie. I, — nie wstydzić się prosić.

Dlaczego teraz właśnie przypomniał się jej ów pokój biblioteki Staszica w małej, czarnej Osadzie

Górnicej?! Dlaczego teraz właśnie zdrząta najwstrętniejszym strachem swojego życia, który ją kiedyś oddał, bezsilną już, Coeurowi?! Tak, ostatecznie, była wtedy bezsilna. A dziś? Osunąwszy się nieco z klubowego fotela, jakby w poczuciu najgłębszego wstydu przysłoniła splekane oczy dłonią.

Czy przed Bigdą, czy też przed sobą samą?... Przed ofiarą z swej własnej, biednej dumy? — Zdało się pani Stanisławie, że stanie się rzecz straszna, — znowu! Znow ta przemoc potworna, poniżenie, straszny upadek... Przemoc?!... Lada chwila spadną już na nią potężne łapy Bigdy i porwie ją ten straszny chłop olbrzymi, porwie ją i znieważy...

— A cóżto, droga pani, w Boga pani nie wierzy? Któż widział tak rozpaczać? Oczywiście, — mówił powoli Bigda, — ja zrobię, co tylko będę mógł. Co tylko w mojej mocy. Ale pani, niech się ze swojej strony pomodli także trochę.

Wstał. Był to dobry kęs władzy. Poseł czuł swoje powiedzenie w szczękach, jak ów kotlet tatarski, co to się jada surowy z solą, pieprzem, cytryną i oliwą. Jak się to kiedyś Zośka uczyła o kurach do swego egzaminu? „Ujęta pod brzuch winna utrzymywać równowagę i nie opuszczać głowy nawet przy huśtaniu”.

Tę zaczynają huśtać dopiero, a gdzie to trzymają głowę?! Odstąpił wtył, znowu ruszył nogami, jak po błocie, nie zdążył się uklonić bo już wyszedł. Po drodze zaś rozważał swoje własne prorocstwo o gruszkach, które teraz zaczną spadać do fartucha. Takie matrony białe, takie sprawy, szlachectwa, szlachetności i inne faramuszeki.

I znów się huśtał Bigda, idąc w stronę dworca, huśtał się swemi myślami, od takiej damy w mleku samem kąpanej aż ku stronie żony swojej Ludwiki. Z huśtania tego wynikło jedno zdanie: — głupi osioł, Deptuła.

Bigda przyszedł na dworzec piechotą i, jak zawsze gdy do czynienia miał z koleją, na długo przed terminem. To mu się w głowie nie mieściło, żeby mógł czas zapadać tak ściśle, regularnie i żeby człowiek miał podejść pod ten czas akurat na minutę. Mateusz Bigda przyszedł wcześniej, kupił gazetę i tanih papierosów. Przestraszył się, bo mu z kiosku wydała resztę na tę samą miseczkę szklaną, na którą i drugiemu wydała. Więc miał z tem zatrudnienie niejaki i przeliczał drobne w kieszeni, a potem w portmonetce. Potem się znów przepytał u kilku portjerów, na który tor przychodzi pociąg i o której godzinie. Choć wiedział tę godzinę.

Godzina jest ta sama, a tor jedenasty.

Bigda wypatrzył tor jedenasty, daleko, aż do widocznego zakrętu szyn i odszedł znów gdzieindziej. I chodził tędy, siędy, popatrując na wieżę dworcową. Chodził między innemi torami, szynami, pociągami a tamte szyny toru jedenastego, niech czekają cierpliwie. Ciepło było, choć dawno po zachodzie. Już zmierzch. W mieście niema pór dnia i niema zmierzchu właściwego. Światło wciąż goni ludzi. Bigda wędrował ciągle i tak zastępował innym podróżnym drogę, jakgdyby go szukali, a on tak zmyślnie przed nimi uciekał.

Wymija ich, wymija, aż tu nagle zjawia się czas nadejścia pociągu. Teraz się gonić prawie zaczynają,

czas na zegarze wieży dworcowej, czas pociągu i Bigda, może nawet zapóźniony co-nieco.

Znajomi już czekają od dawna. Deptuła, Ciarach, Gruszka, Kos. Przyszli, aby powitać, kumotrowie. Gdy już dochodził do nich Bigda, przesunęła się w oknach wagonu trzeciej klasy twarz Ludwiki. Chyba, że to Ludwika?!

Mateusz nie pomyślał dotąd ani razu gruntownie o tem spotkaniu. Teraz go ogarnęło zewsząd. Pociąg zajeżdża, wagony się hamują z sykiem, a tu znowu ten odmęt dawny, niezaczęty właściwie i nieskończony nigdy na niczem, jak się to ryje ciągle, ciągle przez całe życie .

Ponad wszystkim ten fakt straszliwy: jak sobie stali kiedyś popod gruszką dziką, tam u nich we wsi. Z bratem żony sprzeczali się o miedzę. A nagle, w pewnej chwili żona, tak cicha dotąd, — rzuciła w brata małą zieloną gruszką. Jak rzuciła tą gruszką niedojrzałą i jak ta gruszka padła poodal na murawę, zaczęło się ich piekło.

Lokomotywa syknęła donośnie na przodzie wagonów, ludziska wysiadają, Bigda stoi i czeka. W oświetlonym półmroku przemija nad schodami jedna gęba za drugą, już nareszcie jest swoja twarz, Ludwika, w chustce dokoła szyi zawiązanej, w bluzce ciemnej, w grubej spódnicy, wysokich sznurowanych trzewikach. Po niej zaraz wynurzy się Zośka, — uradował się Bigda. Moja córka, — Bigda czuje te słowa dobrem, wyprobowanem szczęściem. Tak to czuje, a Zośki niema.

Ludwika zeskoczyła ze schodów i pierwsze słowa, które mówi: — Zośka została w domu.

— Gdzie została? — rzucił się Bigda naprzód.

Bigdzinie trzęsą się ręce. Widać w półoświetlonym mroku, jak na czarnem tle chustki drgają popielate dłonie. Bigda nie mówi nic. Stoi równo i czeka. Ludzie znikają po obu stronach toru, jak cienie. Deptuła, Ciarach, Kos, Gruszka uchylili kapeluszy. Kos wziął kufereczek Ludwiki, Ciarach podtrzymuje jakiś mały koszyczek.

Ludzie znikają z całej stacji, jak cienie.

Bigda patrzy w twarz żony. Twarz rzekomo spokojna a jednak, — widać prawie, — jakby się pod szczyrzeni rysami mącił krzyk z dygotaniem, krzyk z nagłą przerażoną ciszą. Bigda wciąż nic nie mówi. Nawet, jakby nie widział wcale, że się Ludwika ułapiła za głowę i biegnie znów zpowrotem do wagonu. Prezes Bigda słyszy wyraźnie słowo, — zapomniała.

Co też mogła zapomnieć? — myśli. I teraz przypomina mu się, jak tyle razy wobec żony, — ów rzut w brata, owo rzucanie niedojrzałą gruszką. Jak to upadło lekko na murawę, że się im włosy na głowach zjeżyły. Bigda czuje obecnie ten rzut, czuje to w całym ciele. Jedno małe dotknięcie!

Od owego dotknięcia, zajął się nagle w Bigdzie zleżały susz najskrytszych wspomnień. Jak mu utopiła Ludwika pierwszego syna. Jak na pogrzeb nie mieli. Jak ją Mateusz później bił pasem. Jak najprzód wytłumaczył cicho, płaskimi, cierpliwymi słowy, potem uwiązał do przegrody w oborze, a potem długo bił pasem i kijem, gdzie popadło. Potem dał jeść i zaprowadził spać.

Jak, gdy mu zadusiła jeszcze drugiego syna, prowadził ją piechotą do szpitala, czterdzieści ki-

lometrów, postronkiem przywiązaną do siebie. Gdy ludzie nie widzieli, ona zaś iść nie chciała, włókt leżącą po ziemi a mówił przytem dobre słowa nauki. Jak mu tam nagadali w szpitalu, medycyny uczonej, słów greckich i łacińskich, — puerperalne, katatoniczne, — i jeszcze jakich innych?!

Jak w nim odżyło później raz jeszcze przekonanie i znów ją pojął, lecz wtedy stłukł na zapas, nimby zdołała począć. Chciał mieć syna, ostatni dech wyganiał z żony swą ciepłą, męską siłą, że do księdza biegała z płaczem. Syn z tego był, którego udusiła, niby rzekomo we śnie.

Od tego czasu dali już sobie spokój, ale Bigda zmiarkował, że podziw, oraz ogromna zgroza rośnie z tego pomiędzy jego chłopstwem. Przeszedł wtedy na dobroć wobec żony a po niewielu latach czcili go wszyscy, że taki ma charakter. Jakby ksiądz, gdyby się księża trzymali rzeczywiście w czystości od kobiet. Dzieci go zawsze na chrzcinach całowały po rękach i tego już mniej więcej dotrzymał Bigda chłopom swoim.

Gruszka, Ciarach, Deptuła wiedzieli, po co tu miały zjechać obie, Ludwika z Zośką, do Warszawy: aby zaręczyć Zośkę, a nie mogło się odbyć bez matki, bez Ludwiki. Wiedział Gruszka z Ciarachem i Deptułą, że jeżeli Bigdowa sama tu przyjechała, no, to słuchy o tych tam sprawach miłosnych pomiędzy Zośką a synem wójta dawnego ze wsi Bigdy są całkiem aktualne. A to przecie jedyna córka! Dziś jadą do Lachowa i nie na faramuski. No, więc jakże to będzie?

Popatrzyli na Bigdę wszyscy. Stał wciąż w miej-

scu, wysoki, wielce ciemny, tylko mu twarz pobłyskiwała, jak wyklepana blacha.

Straszliwej cierpliwości człowiek, — musieli zgodnie przyznać.

Co tam mieli z powodu nieprzyjazdu Zośki na dworcu! Bigdowa zgubiła się w pociągu. Uciekła im. Czy też nie im, a uciekła przed mężem? Znalezli ją daleko, prawie na końcu stacji.

Ciarach powiadał później, że na jej widok serce mu się ścisnęło, tak podfruwiała pomiędzy blyszczącymi szynami, niby ptak postrzelony. Tam ją złapali, jak pytała o drogę jakiegoś konduktora, wracającego skądś z zapaloną latarką. Latarką tą, w czasie rozmowy, jak to bywa zazwyczaj, przekręcał ów konduktor na boki, że się i koło niego i koło Ludwiki Bigdowej światło wciąż przerywało. Zapewne, że to nic osobliwego, ale Ciaracha dreszcz obleciał na ten dziwaczny widok.

Obstąpili Ludwikę we trzech, to jest Deptuła, Ciarach i Gruszka. Znacznie później, — bo już doczekać się nie mogli, — nadszedł statecznym krokiem Bigda. Przyrównał się do żony, jakgdyby ją ogarnął swym gęstym cieniem i powiedział:

— Chodź teraz ze mną.

Nie było łatwo wytrzymać rozmowę, która się wywiązała po drodze. Ludwika wciąż o Zośce zaczynała, oni zaś ciągle wszyscy zagadywali, aby już więcej nie rozdrażniać biednego Mateusza. Szedł prosto, i na żonę nie patrzył, ale jakgdyby ciałem swym pochylonem ciągnął ją sobie naprzód.

Kiedy przyszli do bocianiego gniazda Deptuły

(nikt nie wiedział, prócz Bigdy, że to jest właśnie owe gniazdo, i skądżeby mógł wiedzieć?) i gdy się rozgościli, to jest Bigdzina rozłożyła co-nieco ze swych pozwiązywanych zajdów, spostrzegli się, tak Ciarach, Gruszka, jak i Deptuła, — że coś w mieszkaniu drzy...

Deptuła myślał zrazu, że może stara Guńkiewiczowa wyrabia jakieś sprzeciwy i tym podobne hece? Albo też może maszynkami gazowymi tak manewruje, żeby się niby extra przysłużyć i pokazać? Tymczasem nie, nieprawda! To nie Guńkiewiczowa i nie same przedmioty i nie odgłos ulicy i nie dalekie wstrząsy kolejowej stacji. A tylko tak, sama postawa Bigdy. To on przejmował wszystko tem tajnem dygotaniem.

Nie mówił nic i chodził, zawracał i znów chodził, a gdy się nagle do żony przybliżał, jakgdyby ściany miał wywalać po drodze.

Pani Bigdowa wodziła za nim malutkimi oczami, a najstraszniejsze było w tem wszystkim, że gdy się do niej zbliżał, — choć taka brzydka kobieta, — jakgdyby zakwitła dziwną, dziką pięknoscia. Jej biedna szurza twarz rumieniła się zaraz, oczy się łagodziły, gasły. Schylała przy tem głowę z beznadziejnym uśmiechem, rzekłbyś czekając ostatniego ciosu.

Jaki tam cios i skąd i za co?! Nic nie wynikało narazie z tego wszystkiego. Spokój.

Zasiedli tedy, aby zjeść kolację. Deptuła suto tutaj nastawił jedzenia, Ludwika serki przywiozła, świeże masło, czystym liściem nakryte i co tam jeszcze? Różnych różności ze wsi.

Cóż jednak takie jadło proste, tutaj w mieście i jeszcze u Deptyły, któremu sama pani Guńkiewiczowa dopomagała do zastawienia stołu?! Rydzyków tu było w occie, korniszonów aż szmaragdowych i szynki i kielbasy i pasztetowej kiszki, a dopiero prawdziwe dania, obstalowane w KLASIE, w dźwięcznych srebrnych pokrywach, od środka zaroszonych skroploną parą wonną. Było chyba czem i jak zjeżdżać na bok, z niewłaściwego tematu, tembardziej, że kto znał Mateusza, wiedział, iż go skręca ze złości.

Bigda jadł, pił, siedział przy stole skosem, wpoprzek, ale nie mówił nic. Wyglądało jakby dociekał czegoś, bardzo się starał zgłębić.. Pewno myślał o córce i było o czem myśleć, jeżeli się dziewczucha tymczasem z innym chłopcem zadała. Więc trzeba było zjeżdżać z tego tematu i o tem już nie mówić i tego nie poruszać. Mówić o wszystkim innym, o! mówić o Lachowie, mało to rzeczy do poruszenia tutaj!

Ale Bigdzina, — płakała potem, że nie mogła w t e d y inaczej. I zwierzała się później Ciarachowi, że tak jej serce wtedy przykazało: postanowiła odrazu bronić córki. Chciała zaraz załatwić, — a tu, załatwiał z Bigdą, gdy jest innego zdania nie kto inny, lecz Bigda!

Bigdzina dla czystego sumienia swego chciała załatwić tu przy kolacji sprawę córki, która to córka — i co kto może na to, — tam we wsi widzi szczęście swoje, a tutaj nie chce patrzeć.

Bigda — milczy.

Tacy gracze, jak Ciarach, Gruszka, Deptuła rozumieją, co się święci, Więc zagadują, ile się tylko da! I jeszcze jak?! Ona, Ludwika siedzi pomiędzy nimi cicha, senna i zniemożona. Już tylko dmuchać a oddychać przestanie.

Tymczasem nikt nie dmuchnął, a Ludwika zaczyna znowu sama, — dlaczego Zośka nie zechciała przyjechać.

Tak? No, dobrze, Mateusz — nic. Tamci gadają wciąż, a ten przelyka jedzenie z dziwnym chrzęstem, jakby drobniutkim rybkom głowy żywcem ukręcał.

Ciarach ma zdrowie wnosić, ba, za godzinę odjeżdżają, a tu Ludwika nagle, jak nie podskoczy od stołu! Ściąga obrus na siebie, potem puszcza, ręce rozkłada, jakgdyby już tonęła, potem zaś rzuca jedno za drugim, talerzyk, nóż, widelec, — wszystkim tem rzuca w Bigdę.

Rzuca to wszystko z okropnym piskiem, z takim okropnym płaczem. I już jej niema tutaj, wyskoczyła z za stołu, ogląda się, roztrąca krzesła, wyskakuje na balkon.

Bigda, jak trwał, tak siedzi, a tu przecież wiadomo, stąd do ziemi sześć pięter.

Wszyscy zdębieli. Całe szczęście, że Deptuła nie stracił przytomności. Poskoczył za Ludwiką, przydusił babę całym swoim ciężarem do pokręconej, żelaznej balustrady balkonu.

— Kumol! Patrzcie dobrze, — tak ją umiał zagadać, — widzicie parasol tam wdole na ganeczku?! — I pokazał jej stąd, z wysoka, ów szkielet parasola.

Zaśmiała się, boleśnie, niewyraźnie, tak dziwnie. Gruszka twierdził, że Bigdowa śmiała się zawsze! Z powodu męża, oraz z powodu Zośki. Czego on chce od Zośki? Czego on chce, Mateusz?!

Bigda zwarł tylko mocniej szczęki, aż mu się skronie leciutko wybrzuszyły. Kiwnął głową, Gruszkę z Ludwiką zostawili w tamtym pokoju, a tu zostali sami Deptuła, Ciarach, Bigda. Ci dwaj pierwsi gadali, Bigda milczał. Słuchał samego siebie w ich głosach coraz cichszych.

A tak, draniel! To jest wasz Bigda, że zaraz głos zciszacie i szeptem rozmawiacie. — Nagle Mateusz przerwał myślenie o tem. Popatrzył na zegarek. Samochód zamówiony na godzinę jedenastą trzydzieści. Za siedem minut jedenasta.

Bigda wstał, nie oglądając się na nikogo. Za siedem jedenasta, to znaczy, że już czas. Czas z odchyleniem mitręgi i poprzedniem błędzeniem i wszelakiem wahaniem: — czas Bigdy. Obliczony w nim samym tylko i na jego osobliwy użytek.

— Chcę się pożegnać, żono, — powiada Bigda cieniutkiem, płaskim słowem.

Gruszka ją doprowadził.

O nie, wcale latami, ale tak według zmęczenia i sterania, — zeschnięte zniszczone kobiecisko. Rozdziawiła ręce do tego pożegnania, jak długie i kościste. Bigda, — tak ową scenę opowiadał sam Gruszka później, — Bigda, jakby się rozkrzyżował na postaci swej żony. Objęli się, a gdy się już objęli, to teraz, jakgdyby znowu ona, Ludwika zawisła na nim, jak na krzyżu.

— Czekaj tu, bądź cierpliwa, gdy wrócę, to opowiem, — dodał Mateusz.

Gruszka, Deptuła, Kos wyszli za nim, Ciaracha zostawili na górze. Deptuła chciał powiedzieć poufnie, iż w całym wydarzeniu to jedno było dobre, że przynajmniej z Ciarachem mieli spokój. Deptuła chciał to poufnie zauważyć, ale nie śmiał. A tu Bigda powiada, gdy ze schodów schodzili:

— No, to już Ciarach wie, że nie może pojechać z nami.

Powiedzenie, to nic. Ale ton, ale sens! Aż się Deptuła skulił od tak ogromnej twardości Bigdy.

Gdy wyszli na ulicę wiadomem było, że sporo jeszcze czasu wypadnie im poczekać na auto. No, jak czekać, to czekać. Chodzą po trotuarze, ziewają i czekają. Dużo przygotowali i dużo przerobili, że nie odrazu ta rzecz się określiła, a potem, ile z tem mieli nerwów, kompromisów, ile jazgotu, wrywania wnętrzości! Wierzyć trudno, że tak ważne wydarzenie narodu, jak sprawa z Lachowem dochodzi już do końca. Krążą i tylko trącają jeden drugiego i czekają na Bigdę.

Odbił się od nich, poszedł naprzeciw do małej wędliniarni. W KLASIE, która jest po tej stronie ulicy będzie z pewnością drożej. Po chwili wyszedł Bigda z wędliniarni. Widzieli, jak odrzucał niepotrzebne papiery i już w cieniutkim tylko opakowaniu ładował jedzenie do kieszeni grubego płaszcza. Deptuła otrząsnął się, przeszedł na tamtą stronę ulicy, to jest ku Bigdzie. Gruszka z Kosem czekali pod frontowym daszkiem KLASY.

Miasto wciąż jeszcze nie śpi, Ruch, rwetes

i dzwonienie sąsiedniego kina i wielki przelot śmieci w nagłym powiewie nocnym.

— Widzisz, że jesteś, — powiedział nagle Bigda do Deptuły.

Deptuła stanął obok. Czekał cierpliwie, aż Mateusz utka w kieszeniach jadlo. Mateusz, utykając to jadlo, spoglądał w górę, na rozświetlone okna szóstego piętra, gdzie przed chwilą kolację spożywali.

— Bardzo, bardzo wysoko, — rzekł cicho do Deptuły. Odwrócił się i znowu nie czekając przyjaciela, poszedł sam pierwszy naprzód. Droga mu wypadała przez jezdnię, szerokim krwawym blaskiem wielkiej litery K, od ogłoszenia KLASA, wyświetlonego szeroko na asfalcie.

Tą samą drogą, tymże samym czerwonym szlakiem szedł za Bigdą Deptuła. Auto już podjechało. Był to wspaniały Rols-Rojs tego samego redaktora, któremu Deptuła obiecywał niedawno korzystny rozkład pociągów dla wiadomego, codziennego wydawnictwa.

Bigda kazał coprędzej siadać, nie zwłóczyć już, raz, dwa! Więc siadali kolejno, Kos, Gruszka i Deptuła. Bigda, gdy już na niego przychodziła kolej machnął zniemacką ręką, że coś ma jeszcze kupić.

Nic nie miał do kupienia. Chodził, krążył i kluczył dookoła i nogi z tłumu ulicznego, jak z bagna wyciągał. Ba, nie wiedzieli o tem, ale musiał się jeszcze koniecznie choć na chwilę zagapić. Na byle co!

Odszedł od samochodu już kilkadziesiąt kroków i stąd zagapił się na czerwone litery elektrycznego

ogłoszenia baru KLASA. Niedobrze mu się patrzyło w to ogłoszenie, gdyż ludzie raz po raz przechodzili i mylili Mateuszowi spokojną błogość zapatrzenia. Przeniósł spojrzenie powyżej liter, wysoko, na oświetlony zegar stacyjny wieży centralnego dworca.

To dobre jest — zdążył pomyśleć jeszcze. To dobre jest. — Rozwarł brązowe, szklane źrenice i pozwolił, aby mu w oczy spozierała matowa tarcza stacyjnego zegara. Spozierała mu w oczy, jakgdyby przewietrzając tęczówki i źrenice i niebieskawe białka. Aż oto nagle poderwało go z miejsca. Zdziwił się, że się zastał, samego siebie na skrajuszku chodnika. Że tu trwał z zaciśniętymi szczękami, z sztywnym karkiem, z brzuchem głęboko wciągniętym, jak kiedy ma poznawać wrogich, nieznanych ludzi.

Miara czasu! Pchało go, rwało wewnątrz, ale kroczył powoli, ba, — nie spojrzawszy nawet na auto redaktorskie. Pamiętał, wydało mu się, iż całe życie, zapamięta, jak n a k o n i e c położył rękę na klamce drzwiczek auta. Szarpnął je i zawołał:

— Jedziemy. — I już nie patrząc nigdzie, zwałił się na siedzenie potężnym ciężarem.

Auto ruszyło, a z pod Bigdy wyrwał się nagły, ochrypty skowyt. To Deptuła, Deptuła przygnieciony, którego teraz Bigda, sadowiac się gruntowniej wygarniał z popod siebie, niby drgające, oblepłe, gęste błoto.

Biblioteka

DRA MED. EDWARDA BASTYLCZUŁA

295

Edward Bastylczuła



Bertrand Russell

P O D B Ó J

SZCZĘŚCIA

CENA ŻŁ. 7.—

Dlaczego człowiek nie jest szczęśliwy? Jakie są głębsze psychologiczne podstawy zmęczenia nerwowego, nudy, niechęci do życia? Jaką rolę gra w życiu naszym szukanie podniecenia — i jaką grać powinno? Jakie jest życie uczuciowe dzisiejszego, wyzwolonego z przesądów człowieka, i co w nim wymaga zmiany? Jaką wagę mają dla nas zainteresowania nieosobiste? Jakie tkwią w każdym z nas elementy „manji wielkości” i dla czego są one lepsze, niż zbytńia skromność? Kiedy pojawia się zawiść i jaka jest jej rola? Jak trzeba radzić sobie ze zmartwieńiami, nurtującami naszą podświadomość? Czy nigdy nie należy kłamać? I co, koniec końców, uczynić możemy, ażeby osiągnąć szczęście? — Na tego rodzaju pytania daje Russell odpowiedź w swej książce: odpowiedź, którą cechuje poczucie umiaru i proporcij, czasem sporną, zawsze żywą, jasną i pobudzającą do myślenia.

„Podbój Szczęścia” jest książką zarazem poważną — i słoneczną. Cechuje ją to, co stanowi tajemnicę sposobu pisania Russell’a: prostota, nie wkraczająca nigdy w banalność i żywość, która nie jest nigdy taniem efekciarstwem. Do napisania takiej książki — o sprawach, o których wszyscy myślą, ale o których się nie pisze, — nie było i długo zapewne nie będzie człowieka bardziej predysponowanego, niż Bertrand Russell.

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

NIEZNANY KRAJ

CENA Zł. 10.-

GŁOSY PRASY

Powieść Kossak-Szczuckiej, nagrodzona pierwszą nagrodą na Konkursie śląskim, wypełnia dotkliwą lukę w literaturze polskiej. Nikt nie był bardziej uprawniony do tego, by pokazać czytelnikowi polskiemu „nieznany kraj”, tę ziemię tak nam bliską, a tak dotychczas obcą dla wielu. Powstaje z tej pięknej książki obraz Śląska w całem swem bogactwie, w całym przepychu barw. Historia tej ziemi, dzieje jej rozwoju, nieustraszona jej walka o czystość duszy narodowej — wszystko to znalazło w Kossak-Szczuckiej nie tylko sumiennego badacza i gorliwego rzecznika, lecz przede wszystkim współczujące serce, płomień miłości, ogarniającej tę ziemię od krańca do krańca.

Książka ta, zalecona do bibliotek szkolnych i żołnierskich, znaleźć się powinna w każdym polskim domu. ar.

„Nieznany kraj” zaleca się nie tylko wysoką wartością artystyczną, lecz posiada znaczenie szerszej miary: pisany gorąco, daje pokrzepienie serc. („Czas”)

Czytajmy tę książkę — niech jej tytuł przestanie być dla współczesnego pokolenia wyrzutem gnuśności, obojętności i ignorancji! *Wacław Rogowicz* („Dzień Polski”)

W epoce, kiedy każda z szanujących się kobiet-pisarek za swój obowiązek uważa pisać wyłącznie i jedynie o zagadnieniach psychiki kobiecej, odkrywając co chwilę Amerykę różnych wieków i doznań niewieścich — Kossak-Szczucka wychodzi poza ten wąski — ach, jakże wąski! — zakres zainteresowań, przechodzi śmiało, nieustraszenie do problemów szerszych, ogólnych, leżących na płaszczyźnie powszechnych zainteresowań ludzi... bez różnicy płci. Jest to indywidualność pisarska odważna — właśnie dlatego, że konsekwentnie, może nawet upornie ima się tematów, leżących poza linią banalnego zainteresowania dnia. („Kurjer Polski”)

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

HALINA GÓRSKA

NAD CZARNĄ WODĄ

CENA ZŁ. 6.-

Ten pamiętnik kierowniczk i współtwórczyni świetlicy dziecięcej dla młodzieży robotniczej Powiśla uderza prawdą psychologiczną temperamentem pisarskim i wyjątkową szczerością. Dziwna ta „powieść”, tak odbiegająca od zwykłych szablonów romansopisarskich, a przecież przykuwająca uwagę każdego czytelnika od pierwszej do ostatniej strony.

H. Górską kreśli charaktery i perypetje duchowe „Błękitnych rycerzy” prostym, czystym i niepospolicie mocnym językiem. Ton opowieści... jest znakomicie trafiony.

Gazeta Polska.

Tak a nie inaczej mogła być napisana ta istotnie radosna książka o biednych dzieciach z Powiśla.

A. Schroeder, „Czas”.

Obrazy te są bardzo prawdziwe i pisane sercem. Wycucie dobrej iskry w człowieku: którego warunki życia wypaczają zupełnie — to może największa wartość książki.

Wł. Weychert - Szymanowska, „Robotnik”.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

JAMES JOYCE

James Joyce, autor głośnej, zabronionej przez cenzurę amerykańską książki „Ulysesz”, którą obszernie omawiał Boy w Kurjerze Porannym, jest przywódcą młodej, walczącej literatury amerykańskiej.

„Od dwa lat nazwisko Joyce'a tak wysunęło się na pierwszy plan w świecie literatury, jak w świecie nauki czyha tylko nazwiska Einsteina i Freuda”.

„La nouvelle Revue Française”.

P O R T R E T A R T Y S T Y

CENA ZŁ. 9.—

H. G. Wells pisze o „Portrecie artysty”:

„Tę książkę należy nabyć i przeczytać. Może ona rościć sobie prawo do zajęcia miejsca w literaturze w tym samym stopniu, co ostatnia książka „Podróży Gulliwera”.

A L D O U S H U X L E Y

OSTRZE NA OSTRZE

I/II CENA zł. 20.—

*„Ostrze na ostrze” — to przekrój poprzez wszystkie warstwy inteligencji Anglii współczesnej. Ale znaczenie i walor tych postaci wykracza znacznie poza granice Anglii. Ta książka o inteligencji jest persyflazem całej inteligencji współczesnej, z jej nieproduktywną samoanalizą, z jej zakłamaniami i bezradnością, z jej wikłaniem się we własnych sprzecznościach i oszukiwaniem samej siebie wiarą w owocność tych zabiegów. I znów — czy to będą sprawy stosunków erotycznych, czy politycznych, świat artystyczny, czy też środowisko ludzi nauki — każda kwestja ma tu swych przedstawicieli, każda naświetlona jest krytycznie, każda daje pełnię obrazu. Czarującą w swej bezradności Marjorie dopełnia złośliwie zwierzęca „wampirzyca” Lucy; wódz faszystów Everard Webley spleta się w sposób przedziwny z komunistą Illidgem; na miarę Dostojewskiego zakrojony Spandrell z łagodnym sceptykiem Rampionem; obok skabotyniałego Sidney'a Quarlessa, ukrywającego starannie, choć bezskutecznie, swój kabotyzm, stoi otwarty i świadomy kabotyń — Burlap. *Doprawdy, tylko Anglik mógł się zdobyć na tak otwarte oskarżenie całej warstwy, do której należy; tylko Anglik mógł odmalować tak soczyste konterfekty swoich współczesnych i podsuwając im je pod nos, powiedzieć poprostu: „Oto, jacy jesteście. Nie tumańcie głów prostacków waszemi idealami, w które nie wierzycie, waszemi programami politycznemi, których nie wyznajecie, waszemi koncepcjami zbawienia świata, które niczego na świecie nie mogą zmienić. Wszystko to wymyśliście, aby okłamać samych siebie i aby wmówić światu, że jesteście jakęś jego lepszą częścią. Nie macie tu nic do powiedzenia, jesteście kłając na wymarcu”.**

Jak przedziwna jest trafność i głębia wszystkich tych portretów, z których wiele niezawodnie stanie się postaciami przysłówiowemi, jak Fallstaff lub Zagłoba, — tak też przedziwna jest zewnętrzna struktura tej powieści. Pozorne mnożstwo akcji i oddzielnych wątków stwarza ową wielopostaciowość i wieloplanowość powieści, przykuwającą od początku do końca uwagę czytelnika. Wszystkie postacie utworu, zarówno mile autorowi, jak i obce, znajdują się na pewnym dystansie od autora, — dystansie, który pozwala mu patrzeć obiektywnie i nie narzucać czytelnikowi własnych sympatyj ani antypatyj. Przerwana i jak gdyby migawkowa faktura staje się źródłem znakomych efektów artystycznych, a świetna i wytrzymała do końca harmonja oddzielnych epizodów, ubiegająca się w jedno wspólne łożysko, działa jak najświetniejszy i najbardziej skończony utwór muzyczny, jak symfonia nieskończonego bagactwa barw i tonów.

„Ostrze na ostrze” — to dzieło wielkiego artysty, głębokiego myśliciela, pisarza, który odnalazł ów najskrytszy sekret sztuki pisarskiej, jakim jest połączenie wdzięku i artystu z prawdziwą wiarą.

WŁ. ZAMBRZYCKI

NASZA PANI RADOSNA

CZYLI

„DZIWNE PRZYGODY PUŁKOWNIKA
ARMJI BELGIJSKIEJ GASTONA BODINEAU”

CENA ZŁ. 7. -

Jakie refleksje nasunęłyby się człowiekowi współczesnemu, gdyby znalazł się w świecie antycznym? Oto pytanie, które stawia Wł. Zambrzycki w tej książce.

Wprowadzając czwórkę zawodników do starożytnej Pompei, autor odśladuje nam nie tylko szczegóły codziennego życia w świecie grecko-rzymskim, lecz pozwala wniknąć w psychikę ówczesnego społeczeństwa, pozwala obserwować narodziny kultów, zwłaszcza chrześcijaństwa. Ten ostatni moment jest wprost rewelacyjny. Książka jest napisana lekko, barwnie, tryska swoistym humorem i promieniuje szczególnie atmosferą wdzięku.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

TAD. DOŁĘGA MOSTOWICZ

KARJERA NIKODEMA DYZMY

CENA ZŁ. 10. -

„Karjera Nikodema Dyzmy” jest powieścią zarówno pod względem formy jak i treści nową w literaturze współczesnej.

Autor znakomity publicysta i świetny satyryk, daje w niej na tle frapującej mocnej fabuły, śmiały przekrój dzisiejszej psychiki i obyczajowości polskiej. Z całą bezkompromisowością swego tęgiego talentu odstania i demaskuje istotne walory naszego życia publicznego i prywatnego.

Powieść T. Dołęgi Mostowicza czyta się jednym tchem tak ze względu na „sensacyjną” treść jak i na pogodną lekkość narracji, pełną rasowego humoru.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

OSTATNIA BRYGADA

CENA ZŁ. 9.-

— My wszyscy jesteśmy ostatnią brygadą wielkiej wojny, ostatnią brygadą niewoli—mówi autor przez usta jednego z bohaterów, charakteryzując w ten sposób dzisiejsze pokolenie „dojutraków”, żyjące pod dyktandem kompromisu etycznego, pokolenie łamliwych zasad i giętkich kręgosłupów.

T. Dołęga-Mostowicz, którego żywiołowy talent wstępnym bojem zdobył pełnię uznania całej krytyki i rekordową poczytność jego „Kariery Nikodema Dyzmy”, w „Ostatniej brygadzie” daje jakgdyby drugą część syntezy epoki Dyzmów. Śmiałym i wnikliwym piórem, na tle pasjonującej fabuły, maluje soczysty obraz współczesnego życia, podanego bez obłonek i wstydliwych niedomówień.

PROKURATOR ALICJA HORN

T. I i II.

CENA ZŁ. 14.-

Są to dzieje nawskroś dzisiejszej kobiety, której niewyżyta płciowość splótła się z burzliwym losem. To dzieje jej miłości do człowieka, dla którego wolność jest jedynym prawem, a życie pełne przygód jedyną namiętnością.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

Wybitne dzieła XX w.

ERICH MARIA REMARQUE
NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN 8 zł
Przekład Stefana Napierzeńskiego

RUSSELL BERTRAND
MAŁŻEŃSTWO I MORALNOŚĆ 7 zł
Przekład A. Boleś-Antoniewiczowej

PRZEBUDOWA
SPOŁECZNA 7 zł
Przekład D-ra Antoniego Pańskiego

DON BYRNE
OPOWIEŚĆ BEZ NAZWY 6 zł
Przekład Stanisławy Kuszelewskiej

ARNOLD ZWEIF
SPÓR O SIERŻANTA GRISZĘ 10 zł
Przekład Wandy Kragen

MŁODA KOBIETA
Z R. 1914 12 zł
Przekład Wandy Kragen

J. ROTH
UCIECZKA BEZ KRESU 6 zł
Przekład Józefa Wittlina

ZIPPER I JEGO OJCIEC 6 zł
Przekład Józefa Wittlina

HIOB 7 zł
Przekład Józefa Wittlina

A. HUXLEY
OSTRZE NA OSTRZE 20 zł
t. 1—II

HENRI MONTHÉRLANT
LUDZIE ARENY 8 zł
Przekład Jana Parandowskiego

MAUROIS ANDRZEJ
KLIMATY 8 zł
Przekład J. Rogowicza

KLABUND
BORGIA / RASPUTIN 8 zł
Przekład Dr. J. Bermano

J. BERNANOS
POD SŁOŃCEM SZATANA 9 zł
Przekład Aleksandra Wata

JOHN ERSKINE
PRYWATNE ŻYCIE
PIĘKNEJ HELENY 8 zł
Przekład Stanisławy Kuszelewskiej

DON PABLOS JOHN
MANHATTAN TRANSFER 14 zł
Przekład T. Jakubowicza

NAGROD

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 313450/II

JOHN



000-327034-00-0

do tej pory ukaza

Cz. I.	POSIADACZ	12.—
„ II.	BABIE LATO	12.—
„ III.	PRZEBUDZENIE	12.—
„ IV.	BIAŁA MAŁPA	12.—
„ V.	SREBRNA ŁYŻKA	12.—
„ VI.	ŁABĘDZI ŚPIEW	12.—
„ VII.	NA GIEŁDZIE FORSYTÓW	10.—
	MOZAIKA	7.—
	WE DWORZE	9.—
	PO TAMTEJ STRONIE . .	10 —

OSTATNIA NOWOŚĆ
„ŚWIĘTY“

10.—

PAMIĘTAJ ZNAK XX. ZNACZONE NIM KSIĄŻKI Z SERJI
„WYBITNE DZIEŁA XX W.“, SĄ ŻELAZNĄ PODSTAWĄ
KAŻDEGO KSIĘGOZBIORU.